PISMA
MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

TOM V.

O KAWAŁ ZIEMI.

POWIEŚĆ.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy-Świat Nr 41.
1886.

O kawał ziemi

Michał Bałucki

S. Lewental, Warszawa, 1886

Pobrano z Wikiźródeł dnia 28 sierpnia 2025

Michał Bałucki.

O KAWAŁ ZIEMI.

POWIEŚĆ.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy-Świat Nr 41.
1886.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Апрѣля 1886 года.

I • II • III • IV • V • VI • VII • VIII • IX • X
XI • XII • XIII • XVI • XVII • XVIII • XIX • XX
XXI • XXII • XXIII • XXIV • XXV • XXVI • XXVII

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

I.

Przed dworcem kolei jednéj z podrzędniejszych stacyi przechadzał się wieczorem dnia 14-go Maja jakiś podeszłego już wieku mężczyzna i niecierpliwie zdawał się oczekiwać przyjścia pociągu od strony Wrocławia, bo co chwila podchodził pod latarnią, spoglądał na zegarek, to znowu zapuszczał oczy w ciemną przestrzeń, w któréj gubiły się błyszczące szyny kolei. Staruszek był mały, chudy, zawiędły, ale ruchliwy i pełen życia. Twarz jego przy blasku latarni wyglądała jak karta geograficzna, porysowana w różnych kierunkach zmarszczkami, wśród których małe, żywe, przenikliwe oczy niespokojnie się ruszały, niby dwie krople zoxydowanego merkuryuszu. Ubranie niezbyt wykwintne i niezgrabne, a bardziéj jeszcze żylaste, poczerniałe ręce świadczyły, że to człowiek trudniący się ciężką pracą. Pomimo tego, służba kolejowa z widoczném uszanowaniem zachowywała się względem niego. Nawet naczelnik stacyi, wyszedłszy z biura i ujrzawszy go, z uprzejmym ukłonem zbliżył się do niego.

— A, pan Schmidt! — rzekł, witając staruszka. — Cóż pana do nas sprowadza? Czy nowy transport cynku wysyłasz pan do Wrocławia?

— Nie, panie. Czekam na mego chłopca.

W słowach tych przebijała się duma, radość, zadowolenie.

— Dwanaście lat go nie widziałem — mówił dalej — nie chciałem bowiem, aby sobie przerywał naukę. Skończył

politechnikę w Paryżu, potem był na praktyce w Londynie, zwiedził i Nowy York, a teraz wraca do domu.

— I obejmie pańskie fabryki, a pan będziesz mógł sobie wypocząć? Co?...

— Tak układałem sobie dawniej. Ale teraz, po głębszej rozwadze, widzę, że szkoda — by było chłopca obrócić do tego — Dla człowieka z takiem wykształceniem, jakie on ma, tu niema pola do działania. Fabryki moje nie mają wielkiej przyszłości, nie mogę ich rozwinąć tak, jakbym chciał, bo niema miejsca.

— Więc baron zawsze uparty i nie chce panu ustąpić parku?

— Nie chce — odrzekł krótko i z widocznem niezadowoleniem Schmidt.

— I niema sposobu skłonienia go?

— Będę jeszcze probował.

W téj chwili zabrzęczał dzwonek na stacyi.

— To sygnał? — spytał Schmidt, a oczy zajaśniały mu radością.

— Tak — odrzekł naczelnik — pociąg wyszedł z ostatniéj stacyi.

— I będzie tu jak prędko? — Za dziesięć minut.

— To dobrze, to bardzo dobrze. Za dziesięć minut zobaczę go. Musiał się bardzo odmienić, zmężnieć. Gdym go wyprawiał z domu, miał dopiero lat czternaście. Dziś ma już dwadzieścia sześć. To odmienia człowieka. Ciekawy jestem, czy mnie téż pozna?

Po ostatniém zapytaniu, stary Schmidt zamyślił się; myśli musiały być przyjemne, bo uśmiechał się do nich.

Wtém zbliżył się dozorca kolejowy i wręczył mu telegram.

— Do mnie? — spytał Schmidt i pobladł.

— Tak.

Drżącemi rękoma rozerwał pośpiesznie kopertę i rozwinął papier.

— A... to od mego wspólnika! — rzekł, odetchnąwszy. — Nalega o śpieszną dostawę cynku. Pisze, że z zamówieniami rady sobie dać nie może, i radzi przyjąć więcéj robotników... To niepodobna... Gdzież ich pomieszczę? Trudno ludzi, jak bydło, trzymać w kupie. A przytém... do czego?... Na tych kilka maszyn, które są w ruchu, ludzi mam dosyć. Póki się fabryki nie rozszerzą, niema co myśleć o tem.

Schował telegram do kieszeni.

— Jakże mnie przestraszył tym telegramem! — rzekł po chwili, ocierając chustką spotniałe czoło. — Myślałem, że od Adolfa, że mu się co przytrafiło w drodze.

Spójrzał znowu na zegarek.

— Za pięć minut powinien już tu być. Rzecz dziwna, jak ta skazówka dziś mi się powoli suwa. Tyle lat czekałem spokojnie, a dziś każda minuta wydaje mi się tak długą... Pokazuje się z tego, że cierpliwość stoi w odwrotnym stosunku do czasu i przestrzeni. Koleje poskracały nam przestrzenie, i dlatego dziś mniéj umiemy czekać, niż dawniéj.

— A *propos* kolei — zagadnął naczelnik — cóż słychać z pańskim projektem połączenia fabryki z naszą linią?

— Nic nie słychać — odrzekł Schmidt, rozdrażniony nieco wzmianką o tym przedmiocie. — Plan gotowy... ale

ten waryat, baron, nie pozwala prowadzić drogi przez swoje dobra i przeszkadza mi w uzyskaniu koncesyi rządowéj. Poco tacy ludzie żyją? Oni tak potrzebni na świecie, jak kamienie w ornéj ziemi.

Gwizd zbliżającéj się lokomotywy przerwał rozmowę. Naczelnik oddalił się do swoich zatrudnień służbowych, a stary Schmidt zbliżył się ku szynom kolejowym. Niezadługo ukazały się wśród ciemności czerwone latarnie lokomotywy, świecące, jak wilcze oczy, i długi szereg wagonów, które z łoskotem posuwały się po drodze, jak potworny, olbrzymi wąż, dyszący i wyrzucający z siebie kłęby dymu i pary.

Konduktor wygłosił nazwisko stacyi i dodał:

— Pociąg zatrzymuje się dwie minuty!

Równocześnie otwarło się parę drzwiczek wagonu i kilka osób wysiadło. Stary Schmidt, który oczyma niespokojnie rzucał na prawo i na lewo, zbliżył się śpiesznie do jednego wagonu, z którego właśnie wysiadał jakiś młody człowiek, i głosem stłumionym nieco wzruszeniem, zawołał:

— Adolf!

Młody człowiek zwrócił się szybko na ten głos ku niemu i zbliżył się z radością i uszanowaniem. W powitaniu ojca z synem nie było uniesienia, wykrzykników, ale w spójrzeniach ich i w tonie głosu przebijało się głębokie uczucie i przywiązanie.

Stary Schmidt poważnie pocałował syna w czoło i spytał:

— No, jak się masz, Adolf? Zdrów jesteś?

— Zdrów zupełnie, kochany ojcze — odrzekł syn,

całując go w rękę.

— A gdzie twoje rzeczy?

— Zaraz je odbiorę.

— Daj kartkę, ja pójdę po nie. Mnie prędzéj wydadzą. A może głodny jesteś? do domu kilka godzin jeszcze. Zjemy sobie tu kolacyą i wypijemy z naczelnikiem tutejszéj stacyi kieliszek wina za twój szczęśliwy powrót.

Naczelnik w téj chwili przechodził koło nich.

— Zapoznam cię z nim. To uczciwy i pracowity człowiek.

To powiedziawszy, zwrócił się do naczelnika i, zatrzymując go, rzekł:

— To mój syn.

Słowa te powiedział z dumą i zadowoleniem. Wistocie, mógł być dumnym stary fabrykant. Syn bowiem jego był wcale dorodnym mężczyzną, w pełni sił i zdrowia, które świeżym rumieńcem malowało się na ogorzałej twarzy. Była to piękność męzka, dojrzała, o silnéj budowie ciała, przypominającéj spiżowe posągi...

— Nie podobny do mnie? co? — odezwał się stary żartobliwie do naczelnika stacyi. — Wdał się całkiem w matkę. Była równie słusznego wzrostu.

Do rozmawiających zbliżył się jakiś blondyn, z bródką ze szwedzka przystrzyżoną, także w podróżném ubraniu i, podając rękę synowi fabrykanta, rzekł:

— No, do widzenia, Adolfie. Spodziewam się, że mnie niezadługo odwiedzisz: będziemy mieli wiele do pogadania...

To powiedziawszy, uścisnął rękę Adolfa i, ukłoniwszy

się lekko stojącym obok niego, odszedł ku drzwiom sali, gdzie siedziała jakaś młoda dama w towarzystwie mężczyzny.

— Któż to taki? — spadał Schmidt syna.

— To mój kolega szkolny. Wraca z Włoch, gdzie bawił przez rok cały ze swoją żoną. Mają w tych stronach majątek. Cieszę się z tego sąsiedztwa, bo to niezły człowiek, choć z wybujałą fantazyą i trochę zastarzałemi pojęciami.

Stary Schmidt nie rozpytywał się więcéj o towarzysza podróży swego syna, zbyt zajęty nim samym. Wziął od niego kartkę i poszedł w stronę, gdzie wydawano pakunki, a Adolf z naczelnikiem weszli do restauracyi. Przechodząc koło damy, siedzącéj na ławce przy wejściu do sali, Adolf ukłonił się.

— To wcale piękna kobieta — rzekł do niego naczelnik stacyi, gdy usiedli przy stole.

— To właśnie żona mojego kolegi.

— A ten przy niéj siedzący mężczyzna, to zapewne jéj brat?

— Nie; to niedawna znajomość ich z Medyolanu. Podobno poeta. Jedzie do nich na czas jakiś.

— Ładna kobieta — powtórzył naczelnik stacyi, rzucając spojrzenie w stronę, gdzie siedziała owa dama, owinięta przed chłodem nocy w ponsowy szal.

Była to jedna z tych piękności, jakie nie często się spotyka; jedna z tych, o których Dumas powiada, że mają rysunek. W ruchach miała wdziek i elegancyą, linie profilu szlachetne i czyste, twarz bladą i czarne oczy. Czoło może

trochę było zachmurzone, usta za dumne; ale umiała łagodzić tę surowość smętnym uśmiechem, który na jej twarzy miał najrozmaitsze odcienie, począwszy od takich, w których uśmiech jest tylko jałmużną, rzuconą z łaski, aż do tych, w których odsłaniają się sympatye serca. W tej chwili zmęczenie, czy znudzenie, odpędziło uśmiech, gdy mówiła do męża, który zbliżył się do niej:

— Czy są konie? — spytała.

— Są. Zaraz każę przenieść rzeczy.

— Ach, jak to długo trwa! to umrzeć można z nudów!

— Zaraz pojedziemy.

Mąż oddalił się. Dama zwróciła się do obok siedzącego mężczyzny i rzekła, krasząc słowa uśmiechem przyjaznym:

— Pan pewnie żałować musisz, żeś się dał namówić do tej podróży z nami. Znudzisz się tu okropnie. Po Medyolanie pobyt w Zalesiu — to doprawdy, tylko za pokutę przyjąć można. Pojmuję wielkość pańskiego poświęcenia.

— Nie może być mowy o poświęceniu tam, gdzie jest tylko przyjemność.

— Mówisz pan, jak grzeczność każe; ale gdyby ci teraz wybierać było wolno, z pewnością *wrócił-byś* coprędzéj do Włoch.

— Jestem pewny, że pani nie wierzysz w to, co mówisz.

Lekki rumieniec przepłynął przez alabastry jej twarzy, i nie śmiała spojrzéć w twarz mężczyzny.

Nie rozmawiali już więcéj, bo właśnie mąż zbliżył się i rzekł;

— Jedziemy.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Michał Bałucki](#).*

II.

Późną już nocą powracał Schmidt z synem do domu. Droga prowadziła ich około licznych fabryk, których wysokie kominy buchały dymem i sypały garście iskier. Pomimo, że to była noc, w fabrykach widać było światło i ruch. Adolf przypatrywał się temu z zajęciem.

— Jakie tu wielkie zmiany! — rzekł. — Dawniéj, pamiętam, stały tu nędzne wiosczyny, a dziś fabryczne osady powstały, jakby miasta jakie.

— I to w przeciągu kilku lat. Ludzie deptali tę ziemię, nie domyślając się, jakie skarby kryje w sobie; marli z głodu, gdy mogli zostać bogaczami. Potrzeba było obcych ludzi na to, którzy przemysłem stworzyli dobrobyt i wypędzili nędzę i leniwstwo.

— O ile sobie przypominam, to i ty, ojcze, brałeś w tem udział?

— I to niemały. Te kopalnie były fundamentem mojego majątku. Właśnie bowiem w czasie, kiedy poczęto robić w tych okolicach poszukiwania galmanu, wróciłem z za granicy z małym funduszem, uzbieranym oszczędnością i pracą, i myślałem otworzyć w miasteczku poblizkiem warsztat ślusarski. Tymczasem bawiłem u mego starego ojca, który był kowalem w Zalesiu.

Wtedy żyd karczmarz namówił mnie na kupienie kilku akcyi towarzystwa, zajmującego się exploatacyą galmanu. Kupiłem ośm sztuk po 75 talarów. W krótkim czasie akcye poskoczyły na 120. Rozpoczęto w kilku miejscach kopać i

budować fabryki. Interes szedł świetnie; gdy naraz w kopalniach woda się pokazała, która nietylko przerwała, ale uniemożliwiła dalsze roboty. Akcye z każdym dniem spadały przerażająco. Główny jednak powód ich spadku trzymano jakiś czas w sekrecie, a karczmarz, przez którego nabyłem poprzednie akcye, namówił mnie do kupienia jeszcze kilku, które były jego własnością. Sprzedał mi je wprawdzie bardzo tanio, bo po 60 talarów, ale zawsze było to oszustwo, bo wnet akcye spadły na 40. Zaniechano całkiem kopania, które, z powodu coraz silniéj dobywającéj się wody, było niepodobne, i akcye pozbywano za bezcen.

Byłem zrujnowany. Trzeba było rozstać się z myślą założenia warsztatu, i iść za czeladnika do kolei. Nie rozpaczałem jednakże. Już to taka moja była natura, że skoro mi się jakie nieszczęście przytrafiło, nie upadałem na duchu, ale szukałem sposobów ratunku; a gdy ratunku nie było, mówiłem sobie; co ci zmartwienie pomoże? — Ta perswazya była jak elastyczna sprężyna w méj duszy. Zgięta nieszczęściem, podnosiła się znowu niezłamana i przedsiębiorczo krzątała się na nowo.

Powoli więc zacząłem znowu w pierze porastać. O akcyach, które bez wartości prawie poniewierały się między ludźmi, zapomniałem całkiem. Nieraz jednak w święta i niedziele, kiedy moi koledzy przepędzali czas wesoło w piwiarniach i kręgielniach, chodziłem ukradkiem w stronę zaniedbanych kopalni, i tam, łażąc po gliniastych dołach i zaglądając w ciemne otwory, wypatrywałem, czy woda nie ustępuje, nie znikła jakim cudem, i rozmyślałem wtedy nad sposobami osuszenia kopalni. Było to marzenie,

dzieciństwo; a jednak myśl ta tak uczepiła się méj głowy, że nieraz we śnie zrywałem się, bo zdawało mi się, że widziałem kopalnie osuszone, mnóztwo robotników krzątających się około nich. Jak się późniéj pokazało, marzenie to moje miało swoje podstawy; w przeczuciach moich był grunt realny. W tym czasie poznałem się z matką twoją. Była ona córką właściciela piwiarni, u którego schodziliśmy się wieczorami. Dziewczyna była małomówna i dzika trochę; ale pracowita i uczciwa. Niedługiego trzeba było czasu, byśmy się poznali i pokochali. Ojciec jéj nie robił trudności, bo stary chciał już wypocząć sobie, a i łata córki nie pozwalały już czekać i namyślać się. Wkrótce odbyły się zaręczyny, a my parę miesięcy potém wesele. Ojciec odstąpił nam piwiarni. Żona trudniła się interesem, a ja pracowałem, jak dawniéj, w fabryce przy kolei.

Jednego dnia, kiedy wróciłem od roboty, zastałem w izbie gościnnéj dwóch podróżnych, którzy, pochyleni nad kartą geograficzną, żywo o czémś rozprawiali. Wyrazy: kopalnie, galman, akcye, które zachwyciłem z ich rozmowy, obudziły moje zajęcie i zwróciły moję uwagę na nieznajomych. Przysunąłem się nieznacznie i pilnie podsłuchywałem ich rozmowę. Dowiedziałem się, iż rzeczywiście przedmiotem ich rozmowy były owe zalane kopalnie, że przyjechali w celu zbadania ich i wydania stanowczego sądu o ich wartości. Na drugi dzień zażądali przewodnika, który-by im wskazał owe kopalnie. Ofiarowałem się na ich usługi, byłem bowiem ciekawy usłyszeć, co powiedzą. Jeden z nich był, jak późniéj

zmiarkowałem, inżynierem, a drugi geologiem. Obaj dokładnie obejrzeli kopalnie, badali rudę, zapuszczali sondę w jamy i zgodzili się na to, że kopalnie te w życie wprowadzone być mogą, i że mają świetną przyszłość. Serce zabiło mi mocno z radości, uśpione nadzieje odżyły we mnie, marzenie, z którem wstydziłem się wydawać przed ludźmi, zaczęło się urzeczywistniać. Nie zdradziłem się jednak z mojemi uczuciami przed nieznajomymi. Nawet przed żoną nie wyspowiadałem się z tego. Ale zaraz po odjeździe nieznajomych, zacząłem się rozpytywać o akcye, które wielu robotników i żydów w okolicy miało, a które można było nabyć za bezcen. Kupowałem też, gdzie mogłem, po 20, 30 talarów, jak się dało. Zapożyczyłem się nawet u teścia i znajomych, by jak najwięcej akcyi zgromadzić. Ludzie sprzedawali mi je z pobłażliwym uśmiechem, ruszali ramionami nad moją operacyą finansową i nazwali mię szaleńcem.

W kilkanaście jednak dni zmienili zdanie. Przybył bowiem jakiś agent domu bankierskiego z Berlina i począł się rozpytywać o te akcye. Ludziom się wtedy oczy otworzyły. Miałem w ręku przeszło trzy tysiące akcyi. Agent ofiarował mi za nie po 80, potém po 100, ale nie ustąpiłem. Niezadługo sprowadzono machiny do pompowania wody, osuszono kopalnie; fabryki jedna po drugiéj powstawały z szybkością; w przeciągu trzech lat okolica najbliższa kolei podniosła się niesłychanie; akcye poskoczyły na 180, a ja, z ubogiego czeladnika, stałem się nagle właścicielem fabryki, wartującéj dwakroć sto tysięcy talarów. Biedna matka twoja nie doczekała się już téj chwili

tryumfu mego; w parę lat po twojém przyjściu na świat umarła. Ojciec mój poprzedził ją. Kłopoty i zmartwienia familijne, zatargi z dziedzicem, który się z nim bardzo źle obszedł, dobiły go. Nie mogłem mu wtedy jeszcze nic pomódz, bo to był właśnie czas, gdy najcięższéj borykać się musiałem z losem. Kiedy mi się szczęście uśmiechnęło, stary już dawno leżał w ziemi. Nie mogąc nic zrobić dla żywego — umarłemu postawiłem grobowiec. Pamiętasz ten grobowiec, otoczony sztachetkami, pod którym nieraz bawiłeś się z piastunką? To grobowiec dziadka twego, postawiony na tém miejscu, gdzie stała kuźnia jego. Całą bowiem osadę Zalesia kupiłem od włościan. Było w tém po trochu przywiązanie do miejsca, w którém się urodziłem, po trochu chęć dokuczenia baronowi, który niechętném okiem patrzył, jak w środku jego majętności rozsiadłem się z mojemi fabrykami; ale głównie powodował mną interes, gdyż, obznajomiwszy się z praktyki z pokładami ziemi, przekonałem się, że ruda w Zalesiu większy nierównie daje procent, niż dotychczasowe nasze kopalnie. Sprzedałem więc fabrykę i, kupiwszy włościańskie osady w Zalesiu, począłem się budować. Kiedyś wyjeżdżał z domu, osada była jeszcze mała, zaledwie parę kominów sterczało nad dachami fabryk. Dziś jest ich już kilka, i wszystkie w ruchu. Pięćset robotników zatrudniam w kopalniach i fabrykach. A mógł-bym ich liczbę podwoić, gdyby można rozprzestrzenić fabryki.

— Czyż nie dało-by się zakupić coś ziemi od właściciela Zalesia? — spytał syn, który dotąd w milczeniu i z uwagą słuchał opowiadania ojca.

— Stary baron ani chce o tem słyszeć. Dym fabryczny szkodzi jego pańskiemu nosowi, warczenie machin przerywa mu sen; zamiast fabrycznych kominów, wolał — by stawiać feudalne zamki.

Fabryki moje są mu solą w oku. Różnych już sposobów używał, aby mnie się pozbyć, aby mnie zniszczyć. Raz nawet użył dość energicznego sposobu, bo odciągnął mi wszystkich robotników, dając im zajęcie w swoim majątku po bajecznie wysokich cenach. Fabryki moje ustały naraz, kredyt chwiać się począł, spólnicy chcieli mnie odstępować. Ale się jąłem wszelkich środków, aby uniknąć katastrofy. Wytężyłem całą usilność, by przetrzymać kryzys. Sprowadziłem robotników ze Szlązka, zaciągnąłem pożyczkę i walczyłem na wytrzymane z baronem.

Energia moja zwyciężyła. Baron nie był w możności długo opłacać tak hojnie robotników, zwłaszcza, że robota koło jakiéjś willi, czy zamczyska, które stawiał, skończyła się. Robotnicy zostali bez roboty, marli z nędzy i wracali do mnie, prosząc ze łzami o zarobek, a przeklinając barona.

Po tym nieudałym ataku na mnie, proponowałem znowu baronowi sprzedanie mi parku, dotykającego do moich fabryk. Nie odpowiedział nawet na mój list. Chciałem potém przez las, którym teraz jedziemy, poprowadzić koléj i złączyć ją z główną linią. Koléj taka ułatwiła-by niesłychanie transport wyrobów moich, podniosła-by wartość fabryk, a i dla okolicy była-by korzystna, zwłaszcza, że poprowadzenie jéj dało-by się zrobić małym kosztem. Droga równa, jak po stole; zaledwie kilka strumieni ją przerzyna, przez które trzeba-by przerzucić

parę mostków niekosztownych. Podałem o koncesyą do rządu; sprawa ta leżała w ministeryum czas długi, za staraniem barona. Używał wszelkich środków, aby mi koncesyi nie udzielono.

— I jakiż powód téj konsekwentnéj niechęci barona?

— Różne są powody — odrzekł Schmidt zagadkowo — najważniejszy jednak ten, że stary baron ze wstrętem patrzy na ten ruch przemysłowy, co zwolna ogarnia ich majętności, w których dotąd tuczyli się kosztem pracy innych, nie umiejąc nic, jak tylko używać życia, bawić się i wegetować.

To, co przemysł stworzył, on nazywa prozą, materyalizmem, który podkopuje ich istnienie, i dlatego obwarował się przed postępem, który gwałtem zdobywa sobie coraz to większe obszary, i postanowił walczyć do upadłego w obronie dawnych tradycyi i dawnego porządku, w obronie ideału i poezyi, którą my mamy niweczyć i tępić. Ot! dziwak i waryat.

— I niéma sposobu przekonania go?

— Nie próbowałem tego, bo-by się na nic nie zdało. Mam jednak sposób zmuszenia go do ustąpienia. Baron wydaje bez rachunku na dziwaczne zachcianki, na fantazye pańskie. To téż przeszastał całą piękną niegdyś fortunę. Dziś siedzi po uszy w rękach żydowskich. Lada chwila przyjść musi do licytacyi publicznéj. Nabyłem kilka większych wexli jego, będę więc wtedy mógł łatwo przyjść do posiadania tego parku, którego mi teraz dobrowolnie odstąpić nie chce. Kiedy walka, to walka.

Furman, wiozący ich, zdrzémnął się na koźle, konie w

piaszczystéj ziemi brodziły powoli. — Schmidt zbudził furmana i kazał mu śpieszniéj popędzać konie.

— Niezadługo staniemy na miejscu — rzekł do syna. — Las się już przerzedza. Za chwilę zobaczysz moje dzieło, moję fabryczną kolonią.

W istocie las rzedniał; przez drzewa przeglądało niebo zaczerwienione.

— Czy-by to już świtało? — spytał Schmidt, usiłując na zegarku dopatrzyć położenia skazówek.

Zaczerwienienie coraz się wzmagało i objęło połowę nieba. Starego Schmidta to zaniepokoiło i zdziwiło. Naraz (właśnie gdy wyjeżdżali z lasu) wśród czarnych kominów pokazał się złocisty płomień, który wężykiem przebiegał po dachu jednego budynku.

— To nie świt, to pożar! — zawołał Schmidt nagłe i głosem silnym krzyknął na woźnicę:

— Pędź, co koń wyskoczy!

Furman zaciął konie, bryczka skakała po kamieniach, ciągniona szparko przez galopujące rumaki. Stary Schmidt stał w bryczce, trzymając się ramienia furmana i wpatrywał się w ogień, rosnący w jego oczach. Z niebezpieczeństwem przybyło starcowi sił i życia.

— To szopa się pali — rzekł. — Nikt nie spieszy na ratunek; widocznie śpią wszyscy i nie wiedzą o niczem.

— Jakóbie! — rzekł energicznie do furmana — koło dzwonnicy zsiądziesz i pójdziesz dzwonić na gwałt, by zbudzić ludzi. Ja śpieszę z końmi po sikawkę, a ty, Adolfie, pobiegniesz do ognia i będziesz kierował obroną. Jakóbie, podcinaj konie, choćby paść miały. Tu idzie o moję fortunę.

Furman smagał konie bez litości, nagląc je do szalonego pędu, bo ogień coraz szerszym buchał płomieniem, grożąc sąsiednim zabudowaniom, a kawał jeszcze drogi oddzielał ich od fabryk. Kiedy dopadli do pierwszych domków robotniczych, pożar już na dobre się rozszalał. Woźnica rzucił lejce panu i, zeskoczywszy z wózka, pobiegł ku dzwonnicy.

Za chwilę jęk dzwonu gwałtowny, częsty, odezwał się wśród zabudowań fabrycznych; nikt jednak nie ruszał się, w żadnem okienku nie błysnęło światło na ten alarm. Echo dzwonu tłukło się wśród strasznego milczenia, które przerażało starego Schmidta.

— Co znaczy ta grobowa cisza? Nikt się nie rusza na głos dzwonu. Oślepiający blask pożaru nikogo nie obudził... W tem jest coś nadzwyczajnego.

W oczach mówiącego, oświeconych łuną pożaru, malował się niepokój i dzika energia. Lejcami i głosem naglił konie, pędząc prosto, na oślep, ku palącym się budynkom.

Kilka cieniów ludzkich zarysowało się na tle jasnego ognia i krzątało się bezradnie koło niego, nie wiedząc, co robić.

— Adolfie! śpiesz do nich! — rzekł Schmidt, zatrzymując w pędzie bryczkę — ja jadę po sikawki i ludzi.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Michał Bałucki](#).*

III.

Wśród dymu i ognia z niesłychaną odwagą się uwijał; w najniebezpieczniejszych miejscach narażał się, bez względu na siebie, i ratował familie robotników, które ogień śpiące zaskoczył. Była chwila, w któréj omało nie padł ofiarą własnego poświęcenia się. Było to koło mieszkania dozorcy, pod którém w piwnicach znajdowały się składy nafty. Ogień ogarnął już przednią część budynku, była więc obawa, że niezadługo dostanie się do piwnic i nastąpi wybuch, który powiększyłby pożar i rozniósł szeroko. Przytomny maszynista, kierujący tu obroną, wnet pośpieszył z ludźmi w stronę, gdzie wychodziło okratowane okno od piwnicy i miał zamiar zasypać loch piwniczy nawozem i częstem polewaniem go sikawkami uniemożebnić dostanie się tam ognia. Gdy się w tym celu zbliżono do okienka, spostrzeżono młodą dziewczynę, która przez kraty wyciągała ręce i rozpacznie wołała o ratunek. Była to córka dozorcy, która, w czasie nieobecności ojca, przebudzona zapewne płomieniem, co był objął już drzwi i okna, w przestrachu schroniła się do piwnicy. Ogień musiał ją tam prędko dosięgnąć, bo wraz z rękoma nieszczęśliwéj kłęby dymu tłoczyły się już przez kratę. Maszynista widział, że na wykonanie jego zamiaru już za późno. O ratowaniu dziewczyny nikt nie myślał nawet, bo się to wydawało niepodobném.

Wtém zjawił się Adolf. Na krzyk dziewczyny porwał od stojącego przy nim robotnika kilof i pobiegł bez namysłu do

okienka, wołając innych za sobą. Napróżno ludzie, obok stojący, ostrzegali go krzykiem o niebezpieczeństwie — nie zważał na to, i kilofem począł rąbać mur koło okienka, chcąc pomódz dziewczynie do wydostania się z lochu. Ten czyn szalonéj odwagi i poświęcenia obudził szmer podziwu w patrzących.

Pytano, kto to taki? — gdyż robotnicy nie znali go jeszcze. Furman, który przypadkiem nadszedł, objaśnił ich, że to syn dziedzica. To dodało wielu odwagi. Jaki-taki pomyślał sobie, że śmiało może narazić swoje mizerne życie, jeżeli syn bogatego właściciela tak ryzykownie naraża swoje. Rzucono się więc z kilofami na pomoc, odrąbano mur kolo kraty, i nietylko udało się uratować dziewczynę, ale nawet zdołano zasypać loch i wstrzymać pożar u drzwi piwnicy. Adolf wyszedł bez szwanku z niebezpieczeństwa, tylko upadająca głownia wypiekła mu czarne znamię na czole. Stary Schmidt, który właśnie przybył w to miejsce w chwili, gdy syn jego, osłonięty kłębami dymu, uderzał silnie w mur kilofem, struchlał i zesztywniał z przerażenia. Znał bowiem całą wielkość niebezpieczeństwa. Nie miał siły utrzymać w ręce węża sikawki, upuścił go bezwładnie, zostawiając innym tę robotę, a sam, nieruchomy, jakby skamieniały, stał i patrzył sztywnemi oczyma przed siebie. Nie miał nawet siły krzyknąć, ani pobiegnąć na ratunek syna. Dopiéro kiedy niebezpieczeństwo minęło, gdy okrzyk radosny robotników doleciał do jego uszu — sztywne oczy puściły łzy obfite, i stary, drżąc ze wzruszenia i płacząc, jak dziecko, rzucił się na ramiona syna, który się zbliżył ku niemu.

— Niepoczciwe, niedobre dziecko! — mówił, łkając i ściskając go — tak się narażać! A czy ty nie wiesz, że ja mam ciebie jednego tylko? Ty, ty, ty ladaco! chciało ci się zucha udawać!

— Nie, kochany ojcze; ale chciałem ratować nieszczęśliwą, a zarazem nasz majątek. Bo zdaje mi się, że gdyby pożar był się dostał do składu nafty, nie obronili-byśmy już zakładu. Wszak prawda?

Robotnicy, stojący obok i przypatrujący się téj scenie, przyświadczyli głośno.

— Pal licho zakład! — rzekł z ferworem Schmidt. — Wolał-bym stracić sto takich fabryk, niż ciebie jednego. Nie pomyślałeś o tm. A to co? — spytał strwożony, spójrzawszy na czarną bliznę na czole.

— To spalona skóra; za kilka dni zginie bez śladu.

— To twój order, moje dziecko — rzekł Schmidt z dumą i pocałował syna w spalone miejsce. — Ci, co mordują ludzi i palą miasta, nie będą mieli nigdy tak szlachetnych orderów.

— Niech żyje nasz panicz! — zawołali chórem rozrzewnieni robotnicy, podrzucając czapki w górę.

Wśród tego ogólnego zajęcia się wszystkich czynem szlachetnego młodzieńca, jeden człowiek który może najwięcéj miał względem niego obowiązków wdzięczności, stał na boku i ponuro poglądał na gromadę, otaczającą Adolfa. Był to ojciec uratowanéj dziewczyny, dozorca Jakób. Robotnicy nazywali go Mrukiem, bo stronił od ludzi i nierad z nimi rozmawiał. Zawsze ponury, milczący, zasępiony chodził, i nikt się téż nie ubiegał o jego

znajomość, bo cała jego postać odpychała od siebie i wstręt budziła. Spojrzenie miał takie, jakby dziesięć, wsi spalił; a twarz podłużna, wklęsła, jakiegoś ciemnego, blado-sinego koloru, żółtemi plamami piegów centkowana, niemiłe robiła wrażenie.

Zdawało się niepodobieństwem, żeby można być szczerym lub wesołym w towarzystwie tego człowieka. Nawet córka, co była jedyną istotą, z którą rozmawiał serdeczniéj, którą kochał, w towarzystwie jego nabrała posępności i zdziczała po trochu. Niektórzy mieli Mruka za człowieka złego i bali się go; inni mówili, że to już natura taka; ale i ci nawet nie starali się zbliżyć do niego.

Cierpiano go zaledwie. Sam właściciel go nie lubił; trzymał go więcéj z obowiązku wdzięczności; gdy bowiem ojciec Schmidta stracił miejsce w dobrach barona, Jakób dał mu wtedy w swéj chacie schronienie. Wprawdzie zrobił to więcéj dla upokorzenia starego, niż przez litość, dla pokazania mu, że musi potrzebować łaski tego, któremu córki swéj w zamężcie dać nie chciał i nieraz pastwił się wymówkami nad dogorywającym starcem; jednak Schmidt pamiętał zawsze, że ojciec jego skonał w chacie tego człowieka, i skoro przed rokiem, Jakób obdarty i zubożały, zjawił się u niego, prosząc o służbę, nie namyślał się ani chwili i dał mu miejsce dozorcy w kopalniach. Chciał przez to może także nagrodzić krzywdę, jaką dawniéj wyrządził był Jakóbowi. Gdy bowiem ten, będąc jeszcze lokajem we dworze, starał się o siostrę jego, — Schmidt, kierując się tu więcéj uprzedzeniem i wstrętem, jaki czuł do Jakóba, niż słusznością, bardziéj niż ojciec sprzeciwiał się temu

małżeństwu.

Potém siostra ta znikła bez wieści, a Schmidt z tego powodu zawsze sobie robił wymówki, że gdyby nie był kierował się uprzedzeniem, siostra jego i Jakób byli-by może szczęśliwymi ze sobą. Przyjął więc do służby Jakóba, płacąc tem niejako dług z przeszłości i nawet lepiéj go uposażył, niż innych dozorców. Nie zdołał jednak tém przywiązać go do siebie. Mruk był zawsze mrukiem, odludkiem, nie umiał ani prosić, ani dziękować.

I teraz właśnie nie mógł zdecydować się iść podziękować Adolfowi za ocalenie córki. Był wzruszony szlachetném poświęceniem się syna Schmidta, nie mógł nie czuć wdzięczności za ocalenie córki, jedynéj na świecie istoty, która nie stroniła od niego i do któréj on się przywiązał; a jednak nie mógł znaléźć czy dość śmiałości, czy chęci, by zbliżyć się do młodzieńca i powiedzieć mu słów kilka. Z niespokojnych jego ruchów i częstych spojrzeń, rzucanych w stronę, gdzie stał Adolf, widać było, że namyślał się, czy iść, czy nie iść. Ale zanim się namyślił, Schmidt z synem już odeszli do domu. Nikt nie zwracał uwagi na dziwne zachowanie się starego Mruka, nikt się nawet nie dziwił, że nie zdobył się na podziękowanie Adolfowi, tak nie spodziewali się od niego czegoś podobnego, zwłaszcza, że widzieli, iż był zajęty córką, która z przestrachu dostała konwulsyi. Nie zważając więc na niego wcale, porozchodzili się gasić dopalające się głownie. Mruk spójrzał za nimi pogardliwie, złowrogo i mruczał:

— Dlaczego żaden z nich nie zrobił tego? Dlaczego

właśnie on? Ja nie chcę im być nic winien; oni mnie dłużni być powinni.

W téj chwili córkę, którą trzymał Mruk w objęciach, opuściły konwulsye; odetchnęła ciężko, błędnemi oczyma oglądała się wkoło, usiłując sobie przypomnieć, co się z nią stało. Potém spójrzała na ojca i spytała:

— Ojcze, gdzie ten piękny pan, co mnie wyratował?

— Poszedł już, poszedł — odmruknął niechętnie stary.

— Gdzie poszedł?

— Albo ja wiem.

— Kto on jest? Ja muszę się dowiedzieć. Nie mogła-bym żyć spokojnie, gdybym mu nie podziękowała. Winnam mu życie.

— Niéma potrzeby — odrzekł półgłosem stary. — Gdyby przyszło do obrachunku między nami, to może-by się pokazało, że nie my im, ale oni mnie są jeszcze winni.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

IV.

Była już godzina — ósma rano, kiedy Schmidt wraz z synem wrócili do domu, pomęczeni i zmoknięci; suknie na nich były popalone, ręce osmolone. Skoro usiedli, Schmidt kazał podać wina. Po trudach tylu potrzeba im było pokrzepić się i posilić.

Z okna, przy którém siedział Adolf, był otwarty widok na cały obszar fabryk. Z zajęciem przechodził on okiem po wysokich kominach, schludnych domkach robotników, które stały rzędem pod lasem, wybudowane podług najlepszych planów w tym rodzaju.

— Wiész, ojcze — rzekł — że w przeciągu tych kilku lat cudów dokazałeś. Na tak małéj przestrzeni rozłożyłeś twoje fabryki tak umiejętnie i korzystnie, że ja, com widział ich tyle, nie miałbym nic do zarzucenia.

— Miejsca tylko, miejsca mi dajcie, a mógłbym moje fabryki rozszerzyć na wielką skalę. Cały plan mam w głowie, ale cóż, kiedy wszystkie moje projekta rozbijają się o tę zieloną ścianę parku.

Mówiąc to, wskazał ręką na zielony, szeroko się ciągnący las, otoczony wysokim płotem.

— Skoro mi się uda — mówił daléj — zwalić tę ścianę, na miejscu tego lasu, który dziś służy ku wygodzie jednego panka, wybuduję las kominów, pod któremi tysiące robotników znajdzie utrzymanie. Zdaje się, że niedługo będę czekał na to. Baron resztkami goni. Skoro zmiarkuję, że nie będzie już miał z czego płacić, zjawię się z mojemi

wexlami i zmuszę go, że mi ustąpi tego parku. To moje marzenie. Tę część od południa obrócę na szpital, którego nam tak brak tutaj; część parku, gdzie ta młoda jedlina się zieleni, zostawię chorym i dzieciom, a reszta padnie pod toporem do nóg przemysłu, który wkroczy z dumą w te miejsca, gdzie dotąd przemieszkiwały zbytek i rozpusta. Cieszę się na tę chwilę i okropnie byłoby mi umierać, nie urzeczywistniwszy tych moich myśli. Obok użyteczności i korzyści, jakie nam przyniesie to zwycięztwo, będę miał zadowolenie z odniesionego nad baronem tryumfu. Będzie to rodzaj zemsty.

— Zemsty? za co? — spytał.

— Za sponiewieranie ojca mego na stare lata i jeszcze za coś więcéj. Mamy z baronem kilka rachunków do załatwienia. A czy sądzisz, że dzisiejszy pożar nie z jego winy? Przysiągł-bym, że to jego sprawka.

— Ależ to niepodobna. To było-by potworném, brudném. Czy sądzisz, ojcze, że baron byłby zdolnym zrobić coś podobnego?.

— Może nie on sam, ale zawsze ztamtąd wyszedł podpalacz. Służba jego wié, jak baronowi psują krew moje fabryki, jak krztuszą go dymy moich kominów; — znalazł się więc zapewne jaki usłużny łotr, który dla przypodobania się mu, bez jego może wiedzy, zrobił na cześć jego ten fajerwerk. Bogu dzięki, że się nie udał. Straty są niewielkie, dzięki tobie, mój poczciwy Adolfie. Plan był niezłe obmyślany i naprzód ułożony, gdyż robotników, którzy byli wczoraj w karczmie w Zalesiu, pojono zadarmo wódką, lano w nich bez liczby za zdrowie kuzynki barona, któréj

imieniny obchodzono. Robotnicy, dowiedziawszy się o takiéj gratce, szli tłumnie do wsi i wracali pijani, jak niebozkie stworzenia. Dlatego tak trudno ich było zbudzić do ognia; kilku nawet popaliło się w skutek tego.

Gdy to mówił Schmidt, bryczka zaturkotała pod oknem.

— Kto tam zajechał? — spytał syna, kończąc kieliszek wina.

— Jakiś żyd.

— To Szmul zapewne.

Wyjrzał oknem.

— Tak, to on. Musi być gorzéj z baronem, skoro Szmul u mnie. To barometr, najczulszy barometr długów jego. Pewnie mi nowy wexel przywozi. Może już ostatni. Czekaj, zaraz wrócę.

Po odejściu ojca, Adolf zmienił suknie. Wyjmując ze zmokłego ubrania pugilares, dobył z nim razem bilet owego kolegi, z którym spotkał się na kolei, na którym ten wypisał mu swój adres. Adolf przeczytał adres i zmieszał się. Adres bowiem brzmiał: „Jerzy Dobromirski w Zalesiu“.

— W Zalesiu — pomyślał Adolf — miałoż-by to być właśnie tutaj, w dobrach barona?

Adolf przypomniał sobie, że Jerzy wspominał mu coś rzeczywiście o swoim teściu, baronie. To odkrycie zaniepokoiło go. Sąsiedztwo, z którego się tak cieszył wprzódy, teraz stawało się dla niego uciążliwém i przykrém. Bywać, jako przyjaciel, w domu, względem którego ojciec jego był tak źle usposobiony, przeciw któremu knuł zgubne plany — to nie zgadzało się z uczciwym sposobem myślenia Adolfa. A znowu z drugiéj

strony, dziwnie mu się to wydawało, mieszkać tak blizko kolegi, z którym kilka lat serdecznie spędzili na ławach szkolnych i nie żyć z nim, nie odwiedzić go nawet. Wypadało przynajmniéj choć raz złożyć wizytę, wytłómaczyć Jerzemu trudność sytuacyi i niemożebność utrzymania dalszych stosunków. Adolf postanowił zrobić ten krok bez wiedzy ojca, nie będąc pewnym, czy stary zgodził-by się na to, aby on był w domu człowieka, którego ojciec nie cierpiał.

Robiąc to postanowienie, Adolf miał nadzieję, że może mu się uda przez Jerzego uzyskać po dobrowolnej ugodzie odstąpienie parku, i w ten sposób usunąć powód wzajemnych niechęci. Zależałoby to głównie od charakteru barona, którego Adolf z opowiadania ojca najmniéj mógł poznać. Chciał więc sam z blizka mu się przypatrzyć i osądzić, czy może co rachować na swój plan. Chciał jeszcze tylko zasięgnąć od ojca bliższych objaśnień co do mieszkańców Zalesia, a przedewszystkiem: czy się nie mylił co do osób, czy rzeczywiście Jerzy, mówiąc o swoim teściu, miał na myśli właśnie owego barona, z którym ojciec jego tak uporczywą i długą prowadził wojnę. Pora była sposobna, bo właśnie ojciec, po dłuższej naradzie ze Szmulem, wrócił do pokoju.

— A to marnotrawca! łajdak! — rzekł stary Schmidt, wchodząc zachmurzony.

— Cóż się stało? — spytał Adolf.

— Wyobraź sobie: nie chcąc sprzedać mi parku od téj strony, by nie dopuścić rozszerzania się fabryk, sprzedał żydom las, prześliczne dęby od strony rzeki, sztuka w

sztukę po 5 talarów. To marnotrawstwo! to szelmowstwo!

Stary był oburzony. Nie wróg barona, ale spekulant, człowiek praktyczny, przemawiał przez niego.

— Ale to nie dosyć na tém. Czy wiész, co zrobił z temi pieniędzmi? Pojechał parę dni temu na wystawę ogrodniczą do Hohenheimu, czy Erfurtu, i sprowadził ztamtąd kwiatów i roślin za dwadzieścia tysięcy. Rozumiész ty takiego bzika? Dwadzieścia tysięcy!... to znaczy ośm domków, w których szesnaście familii znalazło-by wygodne pomieszczenie na całe życie; a on to wyrzucił na kwiaty, na trochę zielska, z którego połowa zniszczeje od zimna, a drugą będzie pasł swoje oczy i swoje próżność, dopóki mu się nie sprzykrzy. I ci ludzie nazywają to poezyą, idealnością! Ze wstrętem patrzą na nasze fabryki, wynalazki, stowarzyszenia, które, jak oni utrzymują, zmateryalizowały społeczeństwo i odzierają świat z najpiękniejszych złudzeń i wszelkiéj poetyczności. Bodaj czart zabrał tę ich poezyą, wylęgłą w ciemnościach średniowiecznych przesądów i w zamkach rabuśników rycerzy, co kupców obdzierali po drogach i kościoły stawiali Panu Bogu.

Adolf ze zdziwieniem przysłuchywał się mowie ojca w któréj, lubo niezgrabnie i w nieudolnéj formie, kryła się głęboka prawda. Nie uderzyła go nowość téj prawdy, bo sam nieraz szczegółowo badał ten nienaturalny, patologiczny stan, będący w tak nienaturalnym stosunku do rzeczywistości i prawdy; ale dziwiło go, zkąd ojciec jego, człowiek zajęty codzienną pracą, przyszedł do tych pojęć, do tak zdrowego na nie poglądu. Ojciec, zdaje się, zauważył to zdziwienie, bo wnet się odezwał:

— Dziwisz się zapewne, mój Adolfie, zkąd ja przychodzę do rezonowania o tych rzeczach, któremi tylko uczeni się zajmują. To téż nie z siebie je wysnułem; zawdzięczam to naszemu pastorowi. Wiele winienem temu człowiekowi — tak, człowiekowi, bo w istocie zasługuje na tę szczytną nazwę. On-to oświecił mnie w wielu kwestyach, o których wyobrażenia nie miałem; jego rozmowom zawdzięczam, że dziś widzę daléj świat po-za dymami moich fabryk; dom jego był dla mnie szkołą, a ciekawość moja przymusem szkolnym. Od niego dowiedziałem się, co wy nazywacie poezyą, ideałnością, jak wykoszlawiliście te pojęcia, jakie kaleki zrobiliście z tego. Czytałem potém kilka książek, których mi pożyczył, i zdziwiłem się, jak mogą ludzie trawić czas nad czytaniem ich, a cóż dopiero nad pisaniem. Udzieliłem mu swych uwag w tym względzie, — śmiał się pobłażliwie z ich naiwności, ale nie mógł zaprzeczyć im trafności. Wyczytałem w tych książkach, jak ci wasi poeci cudownie umieją opisywać zbrodnie, cudzołóztwo, zdenerwowane natury i — robić z tego błota bohaterów. Doprawdy, czytając te banialuki, człowiekowi wstyd, że jest tak prozaicznie porządnym człowiekiem. Według tych chorobliwych pojęć, człowiek pracujący regularnie i dający pieniądze do kasy oszczędności — to coś potwornie brzydkiego; a baron, wyrzucający tysiące na głupie kwiaty, urósłby na cudownie idealną figurę. Tfu! Bodaj was...

— Nie łącz mnie, ojcze, z tymi ludźmi — rzekł z uśmiechem Adolf — bo zupełnie podzielam twoje przekonania, i wielu dziś uczonych ma to samo zdanie.

— To mnie cieszy, bo nie chciał-bym ci narzucić mego zdania, a bolało-by mnie, gdybym widział w tobie umysłowego kalekę, podobnego do barona.

— Czy baron nie ma rodziny, że się tak nie ogląda na jutro i bezmyślnie rujnuje?

— Owszem, ma córkę, która wyszła za mąż, i jeszcze jakąś krewną przy sobie; ale te mają swój majątek. Baron jest tylko opiekunem téj drugiéj, nie wiem jednak, czy będzie się mógł w swoim czasie wyrachować się z téj opieki, bo zdaje mi się, że on nie ogląda się na to, zkąd dostać, byle dostać.

— I córka jego mieszka z mężem swoim w Zalesiu?

— Podobno. Ale tylko gościną są u niego, bo mąż jéj ma majątek w innéj stronie. Ale co nam do tego. Nie lubię mówić o tych ludziach, to mnie drażni. Ot, lepiéj pogadajmy o naszych sprawach. Chcę cię zapoznać ze stanem naszego majątku.

To mówiąc, wstał, zbliżył się do wertheimowskiéj kasy i dobył z niéj pęk papierów.

— Będzie to podział familijny — mówił z uśmiechem, rozkładając papiery — przy którym, sądzę, bez notaryusza się obejdziemy.

— Jakto? chcesz mi, ojcze, oddawać majątek jaki? — spytał Adolf.

— Bardzo naturalnie: twoję część.

— Czyż nie dałeś mi wykształcenia, sposobu zarobienia sobie na kawałek chleba? To, coś ty zapracował sobie, to twoje; pozwól teraz i mnie pracować i dorabiać się.

— Mówisz, jak uczciwy syn, mój Adolfie; ale daruj, że

ci powiem, że mówisz nierozsądnie. Gdyby każdy chciał zaczynać od początku, ludzie niedaleko-by zaszli tak w wynalazkach, jak w naukach. Na tém właśnie zależy postęp, że następcy nasi zużytkowują owoce pracy przeszłych generacyi i na nich, jak na fundamentach, budują daléj. Tak się ma rzecz i z majątkiem. Dziedzictwo to rzecz ważna, bo to dźwignia postępu, i zbrodniarz ten, kto się na nie targnie. Wiem, że nie jesteś chciwy mienia, że umiész pracować; dając cię uczyć, chciałem tego, abyś pracował. Ale inna rzecz pracować z małemi środkami, a inna z wielkiemi. Ludzi z takiemi zasobami wiedzy, jak ty, szkoda na podrzędne role dorobkowiczów, tak jak szkoda-by było generała na dowódzcę małego oddziałku, któremu-by lada oficer umiał przewodniczyć. Ja dorabiałem się małemi środkami i doszedłem do tego, co widzisz. Ty zaczniesz obracać większemi kapitałami, to téż możesz zajść bardzo daleko. To moje przekonanie i nie zmienisz go. Więc siądź przy mnie i słuchaj. Trzeba ci bowiem poznać historyą tego majątku, którego będziesz posiadaczem.

Tu wziął w rękę jeden z papierów, nieco już pożółkły od starości.

— Te cyfry — mówił, wskazując palcem — to wartości owych akcyi, o których ci wspominałem. To fundament mojéj fortuny. Suma wynosi dwadzieścia tysięcy talarów. Tyle właśnie, ile ten głupi baron wydał na kwiaty. Odtąd rozpoczyna się wzrost téj sumy coraz szybszy. Na tym papierze — mówił dalej, biorąc po kolei jeden papier po drugim — jest wartość pierwszéj mojéj fabryki: suma już wynosi sześćdziesiąt tysięcy. Po zakupnie osady, w któréj

teraz jesteśmy, cyfry już znacznie przybierają. Ot tu masz w piérwszym roku sto tysięcy, w następnym sto pięćdziesiąt, w piątym suma ta poskoczyła na pięćkroć, a obecnie wartość naszego majątku wynosi milion cztery kroć sto tysięcy talarów. Z tego ośmkroć w budynkach i machinach, reszta w papierach. Część więc twoja wynosi siedmkroć, z których cztery będę ci mógł w gotówce wypłacić.

Adolfa zażenował trochę ten obrachunek i chciał go skrócić, zwrócił rozmowę na inny przedmiot, ale stary Schmidt z pedanteryą i ścisłością kończył rzecz całą.

— Pozwól — rzekł, wstrzymując syna — zrobić wszystko dokładnie. Oto część twoja. Chcę, abyś ją zabrał do swego rozporządzenia i nauczył się robić kapitałami. Rodzice, którzy dzieciom każą czekać na spadek po swojej śmierci, podobni są do człowieka, który-by dla zyskania lepszego apetytu męczył żołądek głodem przez dni kilka. Ztąd potem upadki wielkich fortun. Mnie cieszyć będzie, gdy będę widział, jak majątku używać umiesz. Jeżeli lepiej ode mnie, skorzystam coś od ciebie; jeżeli gorzéj, to nauczę cię i poprawię. Wziąwszy część swoję, będziesz miał ręce wolne i będziesz mógł rozpocząć zajęcie według swojéj woli. Jeżeli nam się uda zwalczyć barona, rozszerzymy fabryki, a wtedy będziesz mógł wejść ze mną w spółkę. Jeżeli nie, trzymać cię tu nie będę, choć rad-bym cię miéć blizko siebie. Ale tu idzie o to, żebyś nie zmarniał. Więc cię wiązać nie będę. Świat ci otworem. Nie chcę, aby przywiązanie do mnie było ci kamieniem u nogi. Było-by to samolubstwo. Niech ono tylko będzie kotwicą dla ciebie wśród burzy życia — to mi wystarczy.

Adolf słuchał z uszanowaniem poważnej mowy ojca i, odbierając od niego papiery, ucałował ze czcią rękę jego spracowaną.

— Jeszcze jedno — rzekł Schmidt — powiédz mi szczerze, nie jak ojcu, ale jak przyjacielowi, czy nie kochasz już jakiéj kobiety?

— Nie — odrzekł Adolf z otwartością, która nie pozwalała wątpić o prawdzie słów jego.

— To dobrze. Bałem się, czy między obcymi nie uwięzisz twego serca. Takie mieszane małżeństwa są niedobre. Najlepiéj będzie, gdy w kraju wyszukasz sobie towarzyszkę życia, tak poczciwą i zacną, jak była matka twoja. Tylko radzę ci, nie odwlekać tego zbytecznie, bo wczesne ożenienie równie korzystne, jak wczesne wstanie. Oba dają zdrowie. Ale dość o tém. Nie chcę, bym na początku znudził cię morałami i naukami, byś nie powiedział o ojcu, że marudny. A teraz. Boże ci błogosław, i basta. Rzecz skończona.

To powiedziawszy, pocałował raz jeszcze syna w czoło i poszedł do swego pokoju. Skromne i proste sprzęty były w tym pokoju, więcéj trwałe, niż wygodne. Nikt-by nie powiedział, że to mieszkanie człowieka, który przed chwilą dzielił się krociami.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Michał Bałucki](#).*

V.

W kilka dni potem, Adolf w sekrecie przed ojcem wybrał się z wizytą do Jerzego.

Zaledwie minął slupy graniczne, które, groźnie patrząc na siebie z dwóch stron rowu, stały na straży posiadłości Schmidta i barona — uczuł zaraz, że się znajduje w odmiennej atmosferze. Wszystko, począwszy od herbownego znaku na tablicy, tchnęło pańską dumą, imponowało wspaniałością i gustem; wszędzie czuć było wszechwładny wpływ człowieka, który poprawiał i naginał naturę podług swoich upodobań i artystycznych fantazyi; wszędzie oko spotykało pełno niespodzianek, umiejętną stworzonych ręką. Skierowano bieg strumyka i rzucono go kaskadą po-nad sztucznie utworzoną grotą; wśród ciemnych ścian świerkowego lasu zrobiono miejsce słońcu i szerokiej polanie, na której stał modrzewiowy szałas w szwajcarskim guście; gdzieindziej znowu, po-nad gęstem sklepieniem liści, wznosiły się gotyckie wieżyczki jakiejś minki, osłoniętej bluszczem; to znowu wabiły miłym chłodem tajemnicze, ciemne aleje, ginące wśród klombów drzew, prześlicznie ugrupowanych.

W całem urządzeniu parku było wiele smaku i fantazyi; obawa jednostajności i znużenia wysilała fantazyą na pomysły najoryginalniejsze i najrozmaitsze. Park był od gościńca odgrodzony wysokim wałem, na którym w kilku miejscach przybito na słupach tablice, zakazujące przekraczania wału i chodzenia po parku pod najsurowszą

karą. Dozorcy gajowi ściśle przestrzegali tego zakazu, i niejeden z robotników Schmidta, który dla odpoczynku po pracy i odetchnienia balsamiczném powietrzem wśród ciemnych drzew, zakradł się do parku, ciężko za tę chwilową rozkosz odpokutował. To też każdy omijał z przestrachem czarne tablice; ale zato przy każdéj nadarzonéj sposobności, z przyjemnością psuł i niszczył, co się dało.

Wrogie usposobienie starego Schmidta udzielało się czeladzi. To też nieraz zapuszczano ogień w suche mchy lasu; niejedno stare, wysokie drzewo, podpiłowane ukradkiem, upadało w nocy z łoskotem. Baron wyznaczał grube nagrody za pochwycenie sprawców, co się nieraz udawało. Przychodziło przy téj sposobności często do zajść krwawych. I tak, raz gajowy postrzelił jednego z takich szkodników, nie mogąc go dogonić i pochwycić w inny sposób. Rannego, związanego, odesłano potém do sądu. W kilka dni jednak znaleziono owego gajowego powieszonego w parku. Sądowe śledztwo nie mogło wykryć, czy to było morderstwo, czy samobójstwo; mimo tego, wielkie podejrzenie ciężyło o to na osadzie fabrycznéj.

Szczegółów tych dowiedział się Addolf od furmana, który także, jak z opowiadania można było wnosić, nie należał do przychylnych baronowi.

Adolf, słuchając jego opowiadania, z goryczą myślał o tém, że te obszerne lasy, w których tysiące spracowanych ludzi mogło-by znaléźć zdrowe powietrze i przyjemność, służą tylko dla wygody zaledwie kilku próżniaków. To go oburzało i zgadzał się w myśli z planem ojca, że, bądź-co-

bądź, barona trzeba będzie zmusić do odstąpienia téj majętności. Układał sobie już w głowie, jak dla robotników, wędzących się po całych dniach w dymie i w pyle fabrycznym, stworzy tutaj oazę spoczynku i wytchnienia, jak urządzi dla nich po tych cienistych lasach spacery, restauracye, szpital dla chorych, mieszkania dla kalek i starców, ogródki dla dzieci, i mnóztwo innych projektów.

Jadąc daléj, Adolf zauważył, że pewna część parku, po lewéj stronie gościńca, otoczona była żelaznemi sztachetami. Las w tém miejscu przemieniał się w powabny ogród, urządzony zbytkownie. Przez młode świerki i przezroczyste modrzewie, które szły wzdłuż sztachet, przeglądały klomby kwiatów, altany na wzgórkach i niebieskie zwierciadło stawu. Wejście do téj części parku stanowiła brama, misternego rysunku. Przez bramę widać było szeroką, wspaniałą aleję, na której końcu stał domek myśliwski, leciuchny i nadzwyczaj elegancki. Nad bramą był napis także z lanego żelaza: „Zofijówka“. Widocznie nazwą i urządzeniem baron chciał naśladować tulczyńskie ogrody. Zofijówka urządzoną była dla siostrzenicy barona, ulubionej jego pieszczoszki. Była to właśnie ta część parku, której kończyny dotykały do zabudowań fabrycznych Schmidtów.

Adolf dziwnego doznawał wrażenia, wpatrując się w bramę i napis. W zdrobniałem i spieszczonem nazwisku owej nieznajomej Zosi kryła się jakaś tajemnicza, niewidzialna potęga, z którą ojciec i on występowali do zaciętej walki, jakby z jaką zaklętą księżniczką legendową. Czuł pewien żal do istotki, noszącej to delikatne imię,

dlatego, że, aby ona mogła tu spędzić kilka chwil przyjemnie, ojciec jego spędza bezsenne noce, a ludzie jego cierpią niewygodę i przykrość; ale, z drugiej strony, miała ona dla niego powab, pewien urok, jaki mają rzadkie rośliny zwrotnikowe, rozkwitające w cieplarniach. Wyobrażał sobie, że rzadką, niezwyczajną musi być ta istota, którą baron ukochał więcej od własnej córki, której poświęcił najpiękniejszą część swego parku.

Jeszcze nie uwolnił myśli z ciężaru żelaznych liter, gdy na zakręcie lasu, na drodze ukazała się amazonka na koniu, w czarnej sukni i w kapelusiku z zieloną woalką. Za nią jechał lokaj w liberyi.

W pełnym galopie minęła Adolfa; przesunęła się tak szybko, że ten zaledwie miał czas uchwycić spójrzeniem popielaty kolor bujnych włosów i czarne jéj oczy. Przelotne spójrzenie, jakie rzuciła, mijając go, upadło na niego, jak iskra na pokłady prochu. Zdawało mu się, że coś buchnęło płomieniem w jego sercu i wstrząsnęło nim silnie. Wrażenie to trwało chwilkę małą, jak działanie elektrycznego prądu; przeszło wnet, zostawiwszy tylko żywszy rumieniec na jego twarzy i dziwny jakiś niepokój w duszy. Obejrzał się raz jeszcze za cudnem zjawiskiem; widział, jak piękna amazonka zatrzymała się przed bramą parku, dając ręką znak komuś wewnątrz będącemu, jak potém brama się otwarła i kopyta koni zadudniły po mostku, wiodącym do parku.

— Byłaż-by to ona? — pomyślał sobie Adolf, i żelazne litery przemieniły się w myślach jego w zarumienioną twarzyczkę z popielatemi włosami i czarnemi oczyma.

Długo i mocno musiał zajmować się tém zjawiskiem, bo ani się spostrzegł, jak nagle znalazł się tuż pod bramą pałacu.

Sklepienie bramy podpierały karyatydy muskularne, nadnaturalnéj wielkości. Na wierzchu bramy, wśród wazonów z aloesami, stały dwa posągi mitologiczne, trzymające herbową tarczę, wykutą w kamieniu. Zajazd do pałacu, wysypany żółtym piaskiem, okalał strzyżony gazon, bogato ubrany w kwiaty, a na środku stała olbrzymia, malownicza brzoza z rozpuszczonemi warkoczami. Sam pałac podobny był z frontu raczéj do greckiéj świątyni, lub teatru. Kamienne schody, dwoma ramionami rozchodzące się na bok, prowadziły na balkon, podparty korynckiemi kolumnami. Nad kolumnami wznosiły się arkady, zacieniające ganek piérwszego piętra, ozdobiony kwiatami. Po bokach dwa pawilony, w kwadrat stawiane, miały szczyty ubrane w posągi, których linie wyraziście rysowały się na tle nieba.

Adolf zaledwie miał czas rzucić okiem na to wszystko; zaledwie bowiem bryczka jego zatrzymała się przed schodami pałacu, wyszedł lokaj z zapytaniem: kto i do kogo?

— Czy pan Jerzy jest w domu? — spytał Adolf, wysiadając.

— Jest w ogrodzie.

— Idź, zamelduj mnie. — To mówiąc, wręczył mu swój bilet, a sam wszedł na balkon, zkąd piękny, szeroki był widok na równiny i na jakieś miasteczko, leżące na kończynach widnokręgu.

Za chwilę pojawił się Jerzy, i po przywitaniu wprowadził

gościa do sali, któréj ściany okryte były obrazami, przeważnie szkoły włoskiéj. Adolf zauważył, że Jerzy był nieco zakłopotany i roztargniony.

— Może nie w porę się zjawiłem? — odezwał się z otwartością. — Masz zapewne jakie ważne zajęcie?...

— Byliśmy w ogrodzie. Maurycy czytał nam swój ostatni utwór: „Synowie ducha“. Prześliczne!

— W takim razie wrócimy do ogrodu. I ty nie stracisz, i ja skorzystam przy téj sposobności.

Mówiąc to, wziął kapelusz i postąpił ku drzwiom. Jerzy spójrzał takim wzrokiem na niego, jakby coś okropnego popełnił i zatrzymał go za rękę.

— Co robisz?! Czy sądzisz, że Maurycy zezwolił-by na coś podobnego? Ja sam, jedynie przez protekcyą żony przypuszczony zostałem do słuchania. Tu jedna tylko Irenka jest w łaskach u naszego poety; ona jedna umié uprosić go, aby z nami dzielił się skarbami swojéj fantazyi.

— Wszak te skarby kiedyś publikowane będą dla wszystkich; dlaczegóż więc są tak pilnie strzeżone? — spytał Adolf z ironicznym uśmiechem.

— Być może, iż to kaprys dziecinny, który jednak w takim człowieku uszanować trzeba.

— Kaprys dziecinny u człowieka, który ma niby przewodniczyć ludziom.

— Lekceważysz taki talent... — rzekł urażony i zgorszony Jerzy.

— Nie, mój drogi... to ty go lekceważysz, respektując jego kaprysy. Ty uważasz go za dziecko, ja chciał-bym w nim widzieć męża dojrzałego.

— My go tutaj uważamy za coś więcéj: za istotę wyższą.

— I kadzicie mu bez litości. Nic sądziłem, że tacy, jak ty, mój Jerzy, żyją jeszcze na świecie... Jeżeli takich jest jeszcze dosyć, to nie dziwię się, dlaczego poeci nasi, odurzeni ich pochwałami i czołobitnością, nucą jak pijani, nie wiedząc sami, czego chcą i gdzie idą. To téż potęga słowa zatraciła się wśród stosów wierszy, jakiemi ci panowie zarzucili świat.

— Nie znasz całéj głębokości talentu Maurycego, równając go z tą plejadą.

— Znam go lepiéj, niż wy tutaj; i dlatego gniewa mnie, że talent taki poszedł wygodnym, ubitym gościńcem za innymi, zamiast innych pociągnąć za sobą na przód.

— Więc znałeś Maurycego? — spytał Jerzy. — A mnie się zdawało, że w wagonie zachowywaliście się, jakbyście się nigdy przedtém nie widzieli...

— Bo téż on mnie mógł nie znać; ale ja go znałem, i to wtedy, gdy talent jego zrywał się na inne poloty, jak orzeł ku słońcu. Dziś z talentu tego została piękna forma i błyszcząca fantazya, która bawi zmysły i zachwyca marzycieli... Ale też wtedy inne sternicze gwiazdy świeciły mu. Było to w Zurychu. Kółko młodzieży zacnéj, zapalonéj, postępowéj, otaczało go, on był jéj sztandarem, jéj kierownikiem. Napisał wtedy, pamiętam, „Nasze credo”. Poemat miał siłę i ogień marsza bojowego, porywał i wstrząsał do głębi; ale bo téż w nim wypowiedział najżywotniejsze prawdy, które, zawalone przesądami i fałszem, dobywają się z wysileniem i walczą o prawo bytu... Dziś może Maurycy nie przyznał-by się do tego

poematu, który w tysiącznych odpisach krąży między młodzieżą; nie przyznał-by się może i do tego kółka, w którém żył wtedy. Dziś, jak kameleon, zmienił barwy i zasady, stał się sługą przesądów, które dawniéj kopał nogami; przeszedł do innego obozu. Ten obóz dał mu stanowisko i imię, jakiego tam szczupła garstka szermierzy prawdy i postępu dać mu nie mogła.

— Więc to jest powód twojéj niechęci do Maurycego, że się sprzeniewierzył waszym znakom. Nie uwzględniasz, że natura, tak nawskróś delikatna, wybredna, artystyczna, nie mogła istnieć w téj rubasznéj atmosferze, gdzie brutalność i szorstkość uchodzą za kardynalne cnoty.

— Dobre masz pojęcie o demokracyi — rzekł, śmiejąc się, Adolf. — Nie dziwię się, że ci nigdy nie przyszła myśl zostania demokratą. Masz o niéj wyobrażenie takie, jakie nasz chłop o piekle... Ale mniejsza o to; nie będę ci prostował tych pojęć, które, według mnie, już się przeżyły i istnieją tylko w ustach niektórych ludzi. Ja dzielę ludzkość inaczéj. Dzielę ją na pracujących i próżniaków. Co mi przyjdzie z demokraty, którego całą pracą jest szermowanie pięknemi frazesami? Wolę wtedy najwstecznieiszego arystokratę, który szkółkę we wsi postawi, bo z niéj większy pożytek, niż ze słów próżnych. Mów, jak chcesz, ale rób tak, aby z tego społeczeństwo miało korzyść; to jest moja dewiza. Dlatego i poeta, który całe życie poświęca na to, aby tworzył bawidełka, jest w moich oczach próżniakiem.

— Z tego się pokazuje, mój realisto, że w twoich oczach my tu wszyscy należymy do tego stronnictwa darmozjadów.

Nie gniewam się, mój drogi, za twoję szczerość, bo mam inne pod tym względem pojęcia. Godzę się na pracę; ale nie zapominaj, że duch ma także swoje prawa, że człowiek doskonalący się, pracujący nad podniesieniem własnego ducha, nad wykształceniem siebie samego, nie może się nazwać próżniakiem.

— Owszem. Tylko go wtedy nazwę pracowitym próżniakiem. Co znaczy praca, która nic nie tworzy? Światło, ukryte w glinianym garnku, tę samę mi czyni przysługę, co ciemność.

— Więc wszystko, co nie przynosi doraźnych, namacalnych korzyści, to nazywasz próżniactwem? Więc sztuka, którą tyle wieków, tylu ludzi czciło i uprawiało, jest niczém, stratą czasu?... Oto do czego dochodzicie, panowie pozytywiści!

— Źle mnie zrozumiałeś, Jerzy. Nie potępiam, sztuki, ale jéj obecny stan chorobliwy, nieprodukcyjny. Sztuka ma wielkie zadanie w społeczeństwie: ona uszlachetnia, zapala, podtrzymuje w nas piękne uczucia i, ukazując ideały cnoty, zachęca do ich urzeczywistnienia. Ale idzie o to, aby poezya podnosiła to, co jest istotnie piękném, dobrém i szlachetném; aby złego nie odziewała w powabne szaty i nie nadawała mu pozoru cnoty; potrzeba, aby odbijała życie, jak źwierciadło, ale nie fałszowała jego fizyognomii. Ludzkość idzie na przód, wyraz jéj i potrzeby zmieniają się, a tymczasem poezya i Kościoł pozostały w tyle, za niemi.

Poeci chwalą wciąż, do unudzenia, tę minioną przeszłość; tam widzą piękność, wspaniałość, bohaterstwo. A przecież owe olbrzymie zapasy ludzkości w dzisiejszych

czasach warte także pieśni; ludzie, co z cyrklem, łańcuchem mierniczym i łopatą zdobywają dla cywilizacyi przestrzenie ziemi, prostują drogi i budują koleje, większymi może są bohaterami, niż ci, którzy te drogi znaczyli ogniem i krwią. Poezya tego zrozumiéć nie chce; nie umié dopatrzyć ideału w bohaterze naszych czasów, bo patrzy na świat oczyma średniowiecznemi, podobnie jak Kościoł. W malarstwie także zwalona chata, ruina, nędza, silniéj przemawiają do nas, niż dostatek, ład, czystość. W muzyce, smętne tony bardziej chwytają, nas za serce, więcej się podobają. Czyż to nie jest stan chorobliwy, gust szpitalny? Czyż życie wesołe, jasne, spokojne, jest tak prozaicznem, że poezya, malarstwo i muzyka nie znajdują dla niego odpowiedniej formy? Wnioskując z dzisiejszego stanu sztuki, należało-by przypuścić, że wszelkie dodatnie, zdrowe, pełne życia twory i czyny są anormalnym stanem ludzkości; a przecież tego człowiek ze zdrowemi zmysłami przypuścić nie może. Więc należy raczej anormalności przypisać temu, co sztuka idealizuje.

Wejście lokaja, który przyniósł wodę z sokiem i cygara, przerwało Adolfowi dalszą rozprawę. Nie powrócili już do tego przedmiotu; Jerzy widocznie nie miał chęci do tego, i Adolf sam, ochłonąwszy nieco, pomiarkował, że po kilku latach niewidzenia się, rozprawa o sztuce nie była bardzo na miejscu. Obaj więc rozpoczęli rozmowę, tyczącą szczegółów ich życia. Przy pierwszem bowiem spotkaniu w wagonie, Jerzy tak był zajęty żoną, a Adolf krępowany obecnością obcych osób, że zaledwie kilka slow zamienić ze sobą mogli. Teraz dopiero Jerzy mógł spytać Adolfa, co

porabia, jaki zawód obrał sobie w życiu.

— O ile sobie przypominam — mówił — miałeś wielki talent do malarstwa.

— I zużytkowałem go po swojemu: poświęciłem się mechanice. Dziś maluję plany fabryk i machin.

— Ty mechanikiem? Teraz się nie dziwię temu, coś wprzód mówił. Nietylko słowem, ale i czynem poparłeś zasady twoje.

— Wynikły one z mego wychowania. Ojciec mój jest człowiekiem w całem tego słowa znaczeniu praktycznym. Chowając się pod jego okiem, wcześnie przyzwyczaiłem się patrzéć na wszystko ze stanowiska utylitarnego. Korzyść stanowiła wartość rzeczy. Nie myślałem tylko o korzyściach materyalnych, ale także i o moralnych; jednak zawsze rzeczywistych. Otóż, takiém okiem patrząc na drogi, które się przede mną otwierały, przeniosłem mechanikę nad sztukę, bo mnie rozum praktyczny przekonał, że fabryka, którą zbuduję, koło któréj stukilkudziesięciu robotników znajdzie sposób do życia, a kraj pożydek, większą będzie miała wartość, niż obraz, choćby znakomicie namalowany, na który patrząc, doznają chwilowego wrażenia, pochwalą, że piękny, a po latach kilku zapomną. Powolne i słabe działanie sztuki na ludzi — nie zadowolniło mnie i pchnęło na praktyczną drogę.

— Wobec tych teoryi, wstyd-by mnie było przyznać się do zawodu, który obrałem sobie za cel życia, gdyby nie to, że jestem najmocniéj przekonany, że sztuka, mniéj widoczne, ale pożywniejsze i istotniejsze korzyści przynosi ludzkości. Świat długi czas obywał się bez machin i fabryk,

ale nie mógł żyć bez sztuki. Uczucie, jeżeli nic jest konieczniejszą, to przecież szlachetniejszą potrzebą ludzkości, niż dobrobyt. A cóż podtrzymuje, ożywia, uszlachetnia to uczucie, jeżeli nie sztuka? Ta sztuka, którą radzibyście wykreślić z dziedziny potrzeb ludzkich.

— Przepraszam — przerwał mu Adolf. — Sztuki nie wykluczamy, ale ją uważamy tylko za środek, nie zaś za cel. Wszak dobrobyt stworzył sztukę. Dobrobyt ten był udziałem pewnych klas, które stały się potem mecenasami sztuki. Dziś dobrobyt ten chcemy rozciągnąć na masy.

— Pomimo praktycznego kierunku, znać w tobie słuchacza hejdelberskiego uniwersytetu, mój Adolfie. Umiesz rozmowę przeistaczać w dysputę filozoficzną. W taki sposób nie dowiesz się nigdy, jaki zawód sobie obrałem.

— Masz słuszność — rzekł Adolf, spostrzegłszy się, że znowu rozmowa weszła na dawne tory. — Więc obrałeś sobie zawód?

— Obrałem muzykę. Kształciłem się długi czas w Medyolanie, u najlepszych mistrzów uczyłem się kompozycyi. Kilka utworów moich muzycznych było drukowanych i krytyka nieźle je przyjęła. Marzeniem mojem teraz jest napisać utwór większy — operę, do której libretto obiecał mi Maurycy.

— Abutilon zanieś pod oranżeryą, a tu postaw różę! — odezwał się donośny głos tuż pod drzwiami szklanemi, prowadzącemi z sali do ogrodu.

Adolf spojrzał w tę stronę.

— To mój teść nadchodzi — rzekł Jerzy, objaśniając go.

— Baron Liwocki?

— Tak. Zaraz mu cię przedstawię.

— Proszę cię, przedstawiając mnie, albo opuść całkiem nazwisko moje, lub je zmień — rzekł Adolf z pośpiechem, zniżonym głosem.

— Czemu? — spytał Jerzy zdziwiony.

— Później ci to wytłómaczę.

Czasu nie było na bliższe objaśnienie, gdyż baron ukazał się we drzwiach.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

VI.

Postać i charakter barona były mieszaniną dwóch natur. Dusza wykwintnego artystycznego smaku, zamknięta w otyłém ciele szlacheckiém, to może najwłaściwsze określenie barona, najlepszy klucz do odgadnienia różnych sprzeczności i dziwactw jego. Dumny i pomiatający ludźmi, umiał być uprzejmym i grzecznym, a nawet z pewnym respektem dla artystów i ludzi utalentowanych; flegmatyczny i ociężały z natury, żywił dużo zapału dla sztuki; pobożny, ultra-katolicki w zachowaniu formalnem przepisów Kościoła, w życiu był poganinem czystéj krwi epikurejczykiem, w szlachetniejszém pojęciu téj szkoły. Jego zamiłowanie sztuki miało ten charakter przeważnie. Lubił muzykę, malarstwo, rzeźbę, poezyą, piękne widoki, kwiaty i t. d., bo to przyczyniało mu przyjemności, dawało sposobność przepędzenia czasu w sposób miły i zajmujący, urozmaicało mu życie. Poetyczna więc natura jego była całkiem zmysłowa. Sztuki nie uważał za boginią, ale za odaliskę, lubo może sam nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego. Lepiéj jeszcze może scharakteryzujemy artystyczną stronę barona, skoro powiemy, że sztuka była dla niego rodzajem miękkiéj, wygodnéj sofy, na któréj ociężały duch jego odpoczywał i słodkim oddawał się marzeniom.

Zresztą był niezłym człowiekiem, a jeżeli robił źle, to więcéj była w tém wina zasad, w których go wychowano, niż złego serca. A przytém dodać trzeba, że wiele złego szło na jego rachunek, choć się stało bez jego wiedzy i woli.

Baron był nawet litościwym, miłosiernym, już to przez religijność, już dlatego, że widok nieszczęśliwych nieprzyjemne mu robił wrażenie; radził im więc, jak mógł, dla własnéj przyjemności. Miał przytém szlachetne popędy i nigdy nie splamił się podłością, brzydkim czynem, któryby tarczy jego herbowej zakałę przyniósł. Takim był baron.

Adolf z zajęciem przypatrywał się tej ciekawej postaci, o której dotąd tyle ciekawych a sprzecznych słyszał wieści. Pierwsze wrażenie było wcale niezłe; baron nie wydał mu się tak potwornym i strasznym, jak mu go przedstawiali ci, co go nigdy z blizka nie widzieli.

— Adolf Szmi... — tu niewyraźnie powiedział Jerzy nazwisko, rumieniąc się z powodu tego.

— Jak? — spytał baron, u którego nazwisko miało niepospolitą wagę.

— Adolf Szmitowski — rzekł Adolf, wyręczając Jerzego.

— Mój kolega szkolny — dołożył Jerzy.

— Czy nie z Przemyskiego? — spytał baron.

— Nie; moja rodzina ze Szlązka pochodzi.

— To nie znam. Proszę siadać.

Skłonił się niedbałe i przeszedł do dalszych pokoi, nie zwracając więcej uwagi na gościa.

Jerzy się zawstydził za to znalezienie się teścia; chciał go wytłómaczyć przed Adolfem i rzekł:

— Zajęty jest ogromnie swemi kwiatami, które sprowadził z Erfurtu. Ma w tem upodobanie, posunięte do zdziecinniałości.

— Słyszałem o tem — rzekł Adolf, aby uspokoić

zakłopotanego Jerzego.

— Ale dlaczegóż nie powiedziałeś mu swego właściwego nazwiska?

— Było-by to równie dla mnie, jak dla barona nieprzyjemném. Po moim odjeździe możesz mu prawdę powiedzieć; gdyż, jak się zdaje, wizyta moja tutaj się nie powtórzy. Dziś przyjechałem tylko głównie dlatego, aby ci to powiedzieć.

— Ależ dlaczego? — spytał Jerzy zdziwiony.

— Mój ojciec jest właścicielem fabryk, graniczących z parkiem.

— Więc to twój ojciec?

— Tak.

Rozmowę ich przerwało wejście barona. Powrócił do salonu, trzymając w ręku wazon z różą bengalską.

— Patrz, Jerzy! — rzekł zasępiony — taka cudowna róża, taki rzadki exemplarz, i więdnieje. Myślałem, że jéj szkodzi słońce, kazałem przenieść pod balkon. Ale tam jeszcze gorzéj. O! połowa liści uschniętych.

— Pozwól pan — rzekł Adolf, zbliżając się do wazonu i pilnie obserwując łodygę.

— Pan się znasz na ogrodnictwie? — spytał baron.

— Trochę. Słuchałem kilka kursów jednego z najzdolniejszych ogrodników. W taki sposób łatwo przyszedłem do posiadania wielu sekretów ogrodniczych i leczenia wielu chorób roślinnych.

— Czy więc pan nie domyślasz się, czego brak mojéj róży?

— Owszem. Uważasz pan te małe, blade punkciki na

zagięciach łodygi? Pod mikroskopem pokazały-by się nam one w kształcie grzybków, które wyciągają pożywne soki z rośliny i niszczą naczynka. Za pomocą pewnego rozczynu, który baronowi przesłać mogę jutro, będzie można łodygę oczyścić i uwolnić różę od tych niebezpiecznych sąsiadów.

— Bardzo panu jestem wdzięczny — rzekł baron z dziecinną radością. Chciał nawet uścisnąć mu rękę, ale się wstrzymał, nie wiedząc, z kim ma do czynienia. Oprócz bowiem tego, że był kolegą Jerzego, i to ze szkół publicznych, nic więcéj o nim nie wiedział.

— W taki sposób — mówił daléj baron — możebyś pan i innym roślinom moim mógł zaradzić? Sprowadziłem je z niemałym trudem z Erfurtu po to tylko, aby patrzéć na ich powolne konanie. Kadzę im, jak umiem, ale nic poradzić nie mogę. Ja i mój ogrodnik wyczerpaliśmy już wszystkie sposoby. Szczególniéj żal mi storczyków. Jeden z nich Zosia bardzo lubiła, to też chodziłem koło niego, jak około dziecka; ale dziś spostrzegłem ze smutkiem, że kwiat już żółknąć zaczyna. Wolałbym niewiedzieć co stracić, niż ten storczyk. Zosia jeszcze nie wie nic o tém, nie miałem odwagi jéj powiedzieć.

Adolf, słysząc te lamenta nad więdniejącym storczykiem, wypowiedziane całkiem na seryo, przyznać musiał, że baron pod tym względem zdziecinniał. Uspokoił go, zapewniając, że, o ile będzie w możności, pomoże mu w utrzymaniu przy życiu tych kosztownych kwiatów.

— W taki sposób, jeżeli Jerzy nie będzie miał nic przeciwko temu, może-byś pan zechciał zaraz obejrzéć pacyentów?

Jerzemu ta propozycya była owszem na rękę; dawała mu bowiem możność powrócenia do altany i delektowania się „Synami ducha“ Maurycego. Uciecha jego była tém większa, gdy się dowiedział, że czekano na niego z czytaniem. Jerzy uściśnieniem ręki podziękował Maurycemu za tę grzeczność. Mniéj może był-by wdzięczny, gdyby był uważniéj przypatrzył się twarzy swéj żony. Alabastry nie rumieniły się, ale płonęły purpurą i drżały ze wzruszenia. Zajmującą widać musiała być rozmowa, która takie kolory dobyła na twarz Ireny. Czekanie więc nie było poświęceniem tak nadzwyczajném.

Nie chcąc podejrzliwym czytelnikom zostawiać pola do domysłów nad treścią rozmowy w nieobecności męża, powiem sam, że Maurycy spowiadał się Irenie ze swojéj miłości dla jakiéjś Włoszki. Romans cały w ustach poety nabierał niesłychanego uroku; był to poemat, opowiedziany prozą, niewykończenie nadawało mu jeszcze więcej powabu i tajemniczości, bo pozwalało domyślać się wielu szczegółów.

Irena z nadzwyczajnem zajęciem i uwagą słuchała mówiącego; dumną była z tego, że się zwierza przed nią człowiek niezwyczajny z najgłębszych tajemnic serca; zazdrościła nieznajomej kobiecie jego miłości tak silnej, poetycznej; oburzała się. na nią, litowała nad nim, i przy tem wszystkiem doznawała pewnego rozkosznego zakłopatania, niepokoju, błądząc po tych tajemniczych labiryntach męzkiego serca, gdzie odbijały się o jej uszy echa niedawnych pocałunków, szeptów miłosnych, wyznań, przysiąg. Rumieniło to jej wstydliwość i rozbudzało dziwne

jakieś uczucia.

Każde oglądanie pamiątek wzbudza w nas pewne trwożnie głębokie uczucie, cóż dopiero pamiątek miłosnych, do których oglądania i słuchania ją jednę wybrał Maurycy. Kobieta w takim razie instynktowo czuje się wyższą w oczach mężczyzny od tej, o której on jéj opowiada; wierzy, że, opisując jej miłość do innej kobiety, gdy mówi: kocham ją, jak dawniej, już jej nie kocha. Między słuchającą a opowiadającym wyradza się wtedy związek sympatyczny, po którym, jak po moście, przechodzą wygodnie różne uczucia, które przedtém przepaście dzieliły.

Biblia upostaciowała tę najniebezpieczniejszą pokusę w drzewie wiadomości dobrego i złego. Między wiadomościami, jakich wtedy wąż Ewie udzielił, zapewne musiało być także zwierzenie miłosne. Zwierzenie działa jak narkotyk, usypia duszę i ubezwładnia jéj czujność.

Nie chcę przypuszczać, że Maurycy umyślnie, z wyrachowaniem, użył tego czaru; poznawszy go bliżéj, przekonamy się, że robił to bezwiednie, że natura jego miękka, nerwowa, potrzebowała takiego zwierzenia się, współczucia, dotknięcia delikatnéj ręki niewieściéj do świeżéj rany. Mimo tego, a może właśnie dlatego, narkotyk silniéj działał na nerwy Ireny. Była upojona, odurzona, wzruszona, rozstrojona, cała pod wrażeniem słów miłosnych. Gdyby w téj chwili Maurycy ośmielił się był przycisnąć ją do serca, dotknąć ustami jej czoła, nie była-by może znalazła w tém nic nadzwyczajnego, tak duszą wsłuchała się w podobne sceny, zespoliła siebie z kobietą, o

któréj Maurycy opowiadał.

Wejście męża wyrwało ją z tego niebezpiecznego stanu. Podczas kiedy Maurycy rozmawiał z Jerzym, miała czas uspokoić się i przyjść do siebie.

— Któż to przyjechał? — spytała po chwili.

— Adolf, mój kolega

— Nie znam — rzekła krotko, obojętnie.

— Kilka dni temu spotkaliśmy się z nim na stacyi kolei. Pamiętasz?

— A! ten z rumianą twarzą — odezwał się Maurycy, krzywiąc się przytem niezadowolniony. — Ten człowiek na nerwy mi działa swojem kwitnącem zdrowiem i zadowoloną twarzą. Nie lubię takich natur herkulesowych, które dziś chyba są potrzebne tylko na tępienie befsztyków i sznycli po restauracyach. Zdaje mi się, że dusze takich ludzi muszą siedzieć w ich muszkułach, a życia ich celem odżywianie i konserwowanie tych muszkułów. W hodowli koni takie rasowe exemplarze mają swoję wartość, ale pomiędzy ludźmi nie pojmuję ich potrzeby.

Wątła i zwiędła komplexya Maurycego tłomaczyla poniekąd to jego rozdrażnienie przeciw Adolfowi. Dowiedzionem jest, że ludzie słabego zdrowia, szczególniej zagrożeni chorobą piersiową, czują pewien wstręt do ludzi silnych i zdrowych, podobnie, jak go mają ubodzy do bogatych. Wstręt ten tłómaczy się pewnym żalem, zawiścią, a wreszcie chorobliwym stanem nerwów. A Maurycy był do wysokiego stopnia nerwowym. Pod wpływem tego nerwowego rozstroju, kierował się więcej sympatyami i antypatyami, niż rozsądkiem. Do Adolfa od pierwszej

chwili powziął był odrazę i nie taił się z tém nawet przed Jerzym, choć wiedział, że to jego szkolny kolega.

Jerzy, jakkolwiek widział niesłuszność zarzutów, jakiemi Maurycy obsypywał Adolfa, nie bronił go, ani tłómaczył, znając uparte usposobienie poety, który nie lubiał być przekonywanym o niesłuszności i oporem rozdrażniał się jeszcze więcéj. Nie odpowiedział więc nic i usiadł, czekając na rozpoczęcie czytania.

— Czy pojechał sobie już ten gość? — spytała Irena, która podzielała całkiem antypatye Maurycego przeciw Adolfowi.

— Nie. Ojciec twój zabrał go do oranżeryi. Jestem więc wolny i mogę daléj przysłuchiwać się czytaniu.

— Nie będę czytał więcéj; nie czuję się usposobionym — rzekł rozkapryszony Maurycy i schował manuskrypt.

Rozmawiali jeszcze czas jakiś o rzeczach obojętnych, a potém przeszli do salonu. Jerzy z obowiązku gospodarza poszedł do oranżeryi odszukać Adolfa.

Irena i Maurycy zostali znowu sami. Oboje czas jakiś milczeli.

Irena usiadła do fortepianu i wzięła kilka akordów, potém spuściła głowę i zamyśliła się.

— Co panią tak zasępiło? ~ spytał Maurycy, zbliżając się ku niéj.

— Myślę o pańskiéj Włoszce.

— Jak pani jesteś dobrą!

— Dobroć moja nie wróci panu tego, coś pan stracił.

— Może, tracąc mało, zyskałem wiele: pani współczucie, przyjaźń.

— Przyjaźń!? — Roześmiała się jałowo, z przymusem. Potém, nagle zwracając się ku niemu, spytała: — Czy pan wierzysz w przyjaźń pomiędzy mężczyzną i kobietą?

Maurycy chwilę się namyślał; potém odrzekł, spuszczając oczy przed jéj bystrém spójrzeniem:

— Nie wierzę.

— I dlaczegoż pan mówiłeś to, czego nie myślałeś?

— Bo nie miałem innego wyrazu na oznaczenie tego uczucia spokojnego, jakiego doznaję przy pani. Tamta miłość szarpała nerwy, paliła mnie zazdrością...

Irena czy się domyślała reszty, czy słyszéć nie chciała; uderzyła silnie w klawisze i zagrała jakiś urywek z Beethovenowskiéj sonaty. Kiedy skończyła, zwróciła się do Maurycego, stojącego za nią, i spytała:

— Kiedy pan widziałeś się z nią raz ostatni?

— Na kilka dni przed wyjazdem z Medyolanu.

— Więc ona była w Medyolanie?

— Przyjechała z ciotką swoją po wyprawę.

— A ja pana gwałtem wyciągnęłam z Medyolanu. Jakże pan musiałeś ini złorzeczyć!

— Zrobiłaś mi pani tem łaskę, za którą błogosławić panią muszę. Dłuższy pobyt w Medyolanie był-by nad moje siły. Był-bym się strawił gorączką, albo zwaryował. Wtedy nie wyobrażałem sobie, jak można żyć bez niej.

— A dziś? — spytała i zawisnęła oczyma na jego twarzy.

— Dziś dziwię się, jak mogłem kochać.

— I czujesz pan, że bez niej możesz być szczęśliwym?

— Jestem nim.

— Nie rozumiem pana — rzekła, spuszczając oczy na

nuty i przewracając kartki z pośpiechem.

— Czy mam się tłómaczyć jaśniej?

Udała, że go nie słyszy i zwróciła rozmowę na inny przedmiot.

— Słyszałeś pan duet z opery mego męża?

Ostatnie słowa powiedziała z naciskiem.

— Nie.

— Podaj mi pan, zagram go panu.

Maurycy ściągnął brwi zachmurzony, poszedł do biurka i, wziąwszy z niego nuty, zbliżył się do Ireny. Wyciągnęła rękę po nuty; on zatrzymał je czas jakiś, patrząc na nią dziwnym wzrokiem.

— Będę szczerszym od pani — rzekł.

— A to w jaki sposób? — spytała z udaną, naiwnością.

— Pani powiedziałaś mi przed chwilą, że mnie nie rozumiész; a ja odpowiem pani, że zrozumiałem. Służę pani: oto nuty *męża!*

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

VII.

Tymczasem Adolf z baronem odbywali naradę w oranżeryi nad więdniejącemi roślinami. Główną przyczyną chorobliwego stanu, jak się pokazało, było nieumiejętne obchodzenie się. Ogrodnik bowiem barona nadzwyczaj szczupłe posiadał wiadomości; baron jednak nie chciał przyjąć zdolniejszego, bo stary Franciszek był jego ulubieńcem i ślepo wykonywał jego rozkazy, a baron lubił takie poddajne natury, posłuszne jego zachceniom, zwłaszcza w rzeczach tyczących się ogrodnictwa, bo tu baron miał pretensye do znawstwa. Wistocie, czytał dosyć książek, traktujących o tym przedmiocie, ale wyczytane teorye nie udawały się w praktyce i dlatego, pomimo wielkich nakładów, cieplarnie barona w nędznym znajdowały się stanie.

Adolf, jako znający te rzeczy z praktyki, podał mu kilka skutecznych rad, mianowicie co do krzyżowania gatunków, zaprawiania ziemi chemicznemi czynnikami, które korzystnie działają na rozwój i kolor roślin, i zastosowania do niektórych roślin szkieł kolorowych. Szczególniej bardzo się baronowi podobał projekt urządzenia cieplarni w kształcie stopni, pod któremi przechodząca rurami woda, w miarę spadku, udzielała roślinom coraz to mniejszego ciepła. W taki sposób można było, grupując rośliny wedle potrzeby ciepła, łatwym sposobem utrzymywać dla nich odpowiednią temperaturę.

Adolf obiecał mu przysłać dokładny rysunek takiej

cieplarni. Baron był uszczęśliwiony i w dobrym humorze; słuchał z uwagą rad Adolfa, których ten udzielał mu z taką jasnością i precyzyą, że baron na chwilę przypuszczał, iż może kolega Jerzego jest ogrodnikiem z powołania i przyjechał tutaj w nadziei dostania obowiązku. Nie śmiał jednak głośno wypowiedzieć swego domysłu. Zachowanie się bowiem Adolfa, pełne taktu, ogłady i znajomości form towarzyskich, w wątpliwość podawało ten domysł.

Za przybyciem Jerzego rozmowa przeszła na inne pole. Baron zauważył, że gość jego był oczytany i posiadał obszerny zasób wiadomości.

Z oranżeryi wyszli na taras, zkąd widok był na cały ogród, urządzony w guście angielskim. Na tarasie biła fontanna, która szumiącą kaskadą spadała po konchach kamiennych, trzymanych przez olbrzymich trytonów, do basenu, otoczonego posągami nimf. Adolf zachwycał się urządzeniem ogrodu, umiejętnem grupowaniem drzew, i udzielił baronowi kilka uwag i poprawek, mianowicie względem kierunku niektórych ścieżek i odsłonięcia kilku odleglejszych widoków, co dało-by się zrobić przez wycięcie kilku drzew.

— Ależ pan widocznie specyalnie poświęcałeś się ogrodnictwu! — odezwał się baron, pełen podziwu.

— Nie, panie baronie; zajęcia moje niewiele pozwalały mi zajmować się tem. Ale lubię ogrodnictwo i dlatego nie mogłem się oprzeć pokusie bliższego zapoznania się z niem.

— Czem-że on tedy się zajmuje? — pomyślał sobie baron, nie mogąc z rozmowy gościa wymiarkować, kto on

taki, i jaki jest właściwie rodzaj jego zatrudnienia. Samego nawet Jerzego zdziwiła obfitość wiadomości i trafność sądu, jaką posiadał Adolf w przedmiotach, nienależących całkiem do zakresu jego powołania. To też, kiedy na chwilę zostali sami, wyraził mu w tym względzie swój podziw.

— Zdaje mi sic, mój kochany — rzekł do niego — że twoje studya techniczne bardzo ucierpieć musiały na tem zamiłowaniu, z jakiem snadź oddawałeś się innym naukom. I nie dziwię się temu wcale. Dla duszy, tak pełnej ognia i zapału, cyfry i machiny musiały się wydawać bardzo suchą strawą. Oddawałeś się im więcéj może z obowiązku, przez wzgląd na ojca.

— Omyliłeś się. Nauki techniczne studyowałem z zapałem, z miłością; znalazłem w nich bowiem prawdę, pewność i grunt. Wprawdzie był czas, że miałem zamiar poświęcić się historyi i filozofii; ale po kilku latach zmieniłem ten zamiar. Nabłąkałem się po różnych systematach filozoficznych, po zawiłych i mglistych drogach spekulacyi i nie znalazłem nigdzie prawdy bezwzględnéj, nie domacałem nigdzie dna. Każdy systemat mówił mi co innego, każdy historyk napinał fakta do swych teoryi i poglądów. Ten sam chaos, tę samę sprzeczność widziałem w pojęciach estetycznych. To téż błąkałem się odurzony, zrozpaczony, po tych krętych drogach myśli ludzkich, szukając napróżno wyjścia. Aż w końcu dałem za wygrana i wziąłem się do nauk przyrodniczych i matematycznych. Tu mam wprawdzie tylko okruchy prawdy; ale prawdy rzeczywistéj, namacalnéj, nie opartéj na mrzonkach, na urojeniach fantazyi, na osobistych

domniemaniach, jeno na doświadczeniu. Wstecznik i postępowiec, legitymista i rewolucyonista, Francuz i Niemiec, zgodzić się tu musi na jedno, że dwa a dwa cztery, że suma kątów w trójkącie równa się dwom prostym. Na takich podstawach budując, jestem pewny trwałości budowy; podczas gdy systemat filozoficzny, budowany na wątłej podstawie myśli, kwalifikującej się lada chwila do szpitala waryatów, nie daje mi żadnej gwarancyi trwałości.

— Więc potępiasz te olbrzymie zapasy myśli ludzkich z zagadkami życia, które rozwiązać pragnie? Niczem są dla ciebie tytaniczne prace ducha, usiłujące zdobyć sobie niebo, wieczność, odgadnąć drogi przeznaczenia i dojść do źródła tego wszystkiego, co jest?

— Owszem; mam szacunek dla usiłowań, ale żal mi daremnej pracy, czasu. Ja, człowiek praktyczny, pytam przedewszystkiem o rezultat pracy. A rezultaty tutaj, w porównaniu do czasu straconego, do sił zużytych, tak małe, że kiedy widzę dawne systemata filozoficzne, co, jak zużyte, stare maszyny, leżą gdzieś w kącie zapomniane, i pomyślę, że tysiące ludzi lata trawiło nad ich budowaniem mozolnem na to tylko, aby się przekonać, że na nich ludzkość nie dojedzie do mety — żal mi tych ludzi, żal ich pracy.

— A ja mam cześć dla tych ludzi, ho w usiłowaniach ich, aczkolwiek nieraz bezskutecznych, było coś bozkiego, nieśmiertelnego; podczas gdy wasza filozofia pełza po ziemi i ludzkość uważa za maszynę. Przyznaj, że to rzemieślnicza, warsztatowa filozofia.

— Przyznaję. Ale jeżeli naszę filozofią przyrównałeś do

rzemieślnika, pracującego w warsztatach, to przyznać także muszę, że ludzkości większy pożytek przyjdzie z tej prozaicznej pracy, niż z owych gimnastycznych szermierek ducha z niewidzialnemi, niepochwytnemi potęgami. Nie potępiam ich, ho one były historyczną koniecznością w rozwoju ludzkości; ale nie mogę im przyznać pierwszeństwa, a szczególniej użyteczności wobec dzisiejszej filozofii pozytywnej. Ludzkość, jak ptak zamknięty w klatce, rzucała się z wysileniem na żelazne pręty, chciała przełamać je i dojść myślą za granice grobu i śmiertelności. Obecnie przekonała się, że tych zapór nie przełamie, i wzięła się do pracy w ciaśniejszym obrębie, do wynalezienia *modus vivendi* w oznaczonej czasem i ziemią przestrzeni.

W tej chwili baron zbliżył się do nich i zaproponował powrót do salonu. Zastali tam panią Irenę, siedzącą przy fortepianie, i Maurycego, który w drugim kącie salonu siedział zachmurzony nieco i przeglądał gazety. Irena obojętnym, sztywnym ukłonem przywitała wchodzącego gościa; Maurycy także niewiele zadał sobie trudu w okazywaniu mu grzeczności; a że Jerzego coś zatrzymało na chwilę w drugim pokoju, więc na baronie ciężył obowiązek bawienia gościa. Obowiązek ten był mu o tyle przykry, że nie wiedział, z kim ma do czynienia, co dla barona, sądzącego ludzi podług urodzenia, było rzeczą niemałej wagi. Kilka razy dotykał umyślnie stosunków familijny eh, ale gość krótkiemi i niedość jasnemi zbywał go odpowiedziami. Barona ta niepewność w pocieszne wprawiała zakłopotanie. Nie wiedząc o czem mówić,

zabawiał gościa pokazywaniem mu obrazów, gęsto rozwieszonych po ścianach. Baron był dumny z posiadania tych obrazów, między któremi było kilka cennych oryginałów. Nie sądził jednakże, iż gość będzie umiał ocenić ich wartość. Tymczasem, ku wielkiemu zdumieniu barona, Adolf nietylko, że bez objaśnień poznawał pęzeł, że w kilku obrazach, które baron miał za oryginały, poznał tylko dobre kopie, wykazując zarazem, gdzie się oryginały znajdują; ale przytem, w sądzeniu szkół i pojedynczych mistrzów, okazał tyle znajomości przedmiotu, tyle trafności sądu, że baron, który spodziewał się znaleźć w nim profana, był olśniony, oszołomiony tem niespodziewanem odkryciem.

— Ależ pan mówisz o tych rzeczach — rzekł — jak skończony artysta. Czy pan i tą sztuką zajmowałeś się od niechcenia?

— Tą już więcej na seryo. Sam nawet malowałem.

— I nieźle malował — odezwał się Jerzy, wchodząc właśnie do salonu.

— I dlaczegóż zaniedbałeś pan swój talent?

— Aby zostać technikiem i budować fabryki — odpowiedział za niego Jerzy.

— Jakto? pan jesteś technikiem? — spytał baron. — Tego był-bym się najmniéj domyślił. Widziałem w panu tyle smaku estetycznego, tyle poczucia piękna...

— Czy sądzisz pan, panie baronie, że nauki techniczne zatracają w nas to poczucie?

— O! zatracają, zatracają! nie wytłumaczysz mi pan tego. Może jesteś wyjątkiem, rzadkim wyjątkiem; ale w

regule ludzie twojego zatrudnienia są prozaiczni, zmateryalizowani, zimni. Wy to nazywacie postępem. Jednak ja wolę nie znać postępu, a zostać przy ideałach piękna, przy marzeniach moich, choćby złudnych. Wolę ten świat złudzeń, tajemnic i uroków, niż ten wasz odmierzony, odważony, wyrachowany, odarty ze wszelkiéj poetyczności, świat kupców, spekulantów i fabrykantów.

— Czyż cyfra i miara odejmują co piękności? Muzyka polega na bardzo ścisłym rachunku; natura rozwija się według stałych praw, gwiazdy poruszają się w oznaczonéj przestrzeni czasu, a przecież to nie zmniejsza ich uroku.

— Dla nas, co żyjemy zachwytem, natchnieniem; ale nie dla was, którzy samego Boga radzibyście odmierzyć, i zważyć, i zużytkować.

— A więc utylitaryzm masz nam pan za winę?

— Tak. Wszystko, co nie przynosi korzyści, dla młodego pokolenia jest niczem: poświęcenie, uczucie — to dziś liczmany bez wartości. Okropne czasy!

— Więc baron przypuszczasz, że ludzkość cofa się wstecz; a mnie się zdaje przeciwnie. Ten tak zwany przez panów wiek materyalny nie wyziębił uczuć, ale je zużytkował praktycznie, jak ogień lub inne żywioły; nie zniweczył poezyi, ale ją zrealizował.

— Zrealizował poezyą? — spytał Maurycy z ironią.

— Tak jest. Legendy średniowieczne mówiły o ludziach z siedmiomilowemi butami, o geniuszkach, co w sekundzie przelatywały ogromne przestrzenie, budowały brylantowe pałace. Legendy te były-by zostały kłamstwami poetycznemi, gdyby nasz wiek nie dał im

prawdopodobieństwa. Nasze koleje, telegrafy, podziemne tunele, światła elektryczne stworzyły w rzeczywistości to, co poezya wymarzyła tylko. Szczęście ludzkości, do którego wzdychali poeci, zaczyna się dziś urzeczywistniać w stowarzyszeniach, kasach oszczędności, spółkach. Wiek nasz zatém, tak potępiany przez wielu, jest może poetyczniejszym, niż owe wieki uprzywilejowanéj poezyi. Tam pisano poezyą, dziś ją tworzą. Dlatego ci, co dzisiaj tylko piszą poezye, są anachronizmem.

Przytyk ten skierowany był wprost do Maurycego, zrozumiał go dobrze, ale przyjął w pogardliwem milczeniu. Zbyt się cenił i wierzył w siebie, aby miał się bronić. Za to Irena nie mogła powściągnąć się, by nie odpowiedzieć Adolfowi w jego imieniu. Tonem nieco drwiącym odezwała się:

— W taki sposób pan, malując bohatera nowszych czasów, zrobił-byś go z ważkami w ręku lub łańcuchem mierniczym.

— Zaręczam pani — odrzekł z uśmiechem Adolf — że dla ludzi, rozumiejących istotną poezyą, byłby to większy bohater, niż ten, co krew ludzką przelewał. Przyjdą czasy, w których rzeźnik, zabijający wołu z konieczności na pożytek bliźnich, większym będzie człowiekiem, niż ten, co dla nasycenia żądzy sławy mordował ludzi i niszczył miasta.

W odpowiedzi była cierpkość i ostrość, która, lubo pokryta grzecznym uśmiechem, nie mniej była dotkliwą. Irena uczuła się obrażoną i zmarszczyła lekko brwi. Jerzy chciał załagodzić tę sprawę i zagadać, ale nie wiedział naprędce, co powiedzieć. Na szczęście, drzwi się otwarły i

weszła szybkim krokiem do salonu, rumiana jeszcze z umęczenia, amazonka, siostrzenica barona — Zofia.

Adolf przestał mówić; dusza jego teraz przeniosła się do oczu. Patrzał i zapomniał,gdzie jest, co go otaczało. Amazonka, wszedłszy, pobiegła ku baronowi, podała mu twarz do pocałunku, potem, skinąwszy lekko towarzystwu, rzuciła się na kanapę.

— Wody z sokiem! — rzekła do lokaja. — Ach, jestem zmęczona, zachwycona i rozciekawiona.

— O! — rzekł baron, patrząc na nią z zajęciem — tyle uczuć naraz!

— Mam państwu coś bardzo pięknego opowiedzieć.

— Posłuchamy chętnie. Tymczasem pozwól sobie przedstawić. Pan... jak się nazywa... Szmitowski, wszak tak? kolega Jerzego.

Na chwilę zatrzymała trzpiotka na przedstawionym swoje czarne oczy, skinęła główką i mówiła dalej:

— Tobie się to bardzo podobać będzie, wuju, a! i panu Maurycemu. Ty będziesz podziwiać, a pan Maurycy to opisze w poemacie. Dobrze?

— Z wielu łokci ma być poemat? — spytał Maurycy.

— Pan drwisz, a ja mówię na seryo. Opowiem bowiem państwu jeden czyn bardzo piękny, pełen poświęcenia, który się wydarzył w okolicy.

— W okolicy? — spytał baron. — Tu, czyn jaki bohaterski, a to ciekawe! I gdzież się to stało?

— W fabryce Schmidta.

— Znowu ten Schmidt. Uwzięłaś się męczyć mnie tém nazwiskiem, które, wiész, humor mi psuje zawsze. Ja umrę

kiedy na tego człowieka! On widocznie postanowił zamęczyć mnie. Turkotem machin swoich zakłócił spokój moich najpiękniejszych ustroni, zadymił, zakopcił mi łasy i ogrody, zapowietrzył całą okolicę temi fabrykami. Och! nienawidzę tego człowieka!

Jerzy spójrzał niespokojnie na Adolfa, jak przyjmie te słowa. Adolf słuchał spokojnie, z oczyma spuszczonemi ku ziemi.

— Ależ tu nie tyle o Schmidta idzie, jak o Salkę — rzekła Zofia niekontenta, że jéj przerwano.

— Jakiż związek ma Salka z tym człowiekiem?

— Wiecie państwo, że w przeszłym tygodniu był u Schmidta wielki pożar.

— Nie tak wielki, skoro nie uciszył tych przeklętych machin — mruknął baron.

— Otoż w pożarze tym o mało Salusia nie straciła życia. W przestrachu bowiem schroniła się do piwnicy, gdzie był skład nafty. Biedną dziewczynę czekała śmierć okropna, bo ogień po schodach zbiegał już do piwnicy, z której nie było wyjścia. Przez okratowane okienko wołała nieszczęśliwa pomocy; ale nikt nie chciał się odważyć zbliżyć do niéj, bo spodziewano się, że lada chwila nastąpi explozya. Gdy wtém zjawia się człowiek — ale proszę państwa uważać, bo to doprawdy zajmująca historya.

Słowa te skierowała opowiadająca do Maurycego, który podczas jej opowiadania półgłosem prowadził rozmowę z Ireną. Zawezwany w ten sposób niespodziewanie do uwagi zmieszał się i rzekł:

— Ależ słuchamy.

— Warto posłuchać; takie rzeczy nie codzień się zdarzają. Otoż zjawia się człowiek, który, nie dbając na grożące niebezpieczeństwo, rzuca się z siekierą, czy tam czemś, na ratunek nieszczęśliwej, wyrębuje okratowane okno i ocala moję drogą Salusię.

— Dzielny i zacny chłopak — zawołał baron. — Cóż pan na to, panie Szmitowski? Według teoryi pańskich, czyn taki nazwać-by może trzeba szaleństwem? Praktyczności i rozumu w nim za grosz dopatrzyć się nie można.

— Jakto? pan mógł-byś nie pochwalić takiego czynu? nie unosić się nad nim? — spytała z rodzajem oburzenia Zofia, mierząc zarumienionego Adolfa zdziwionym wzrokiem.

— Jeżeli państwo pytacie mnie o ocenienie tego czynu — odrzekł Adolf — to nie mogę go nazwać, jak tylko szaleństwem i nierozsądkiem. Ten człowiek dla niepewnego ocalenia biednej dziewczyny, narażał nietylko siebie, ale może byt swojej rodziny. Był to więc czyn nierozważny; ale potępić go nie można, choć-by dlatego, że to było zapomnienie się.

— Zapomnienie szlachetne — rzekł Jerzy z naciskiem.

— I jakąż nagrodą udarował ów Schmidt tego zacnego chłopca? — spytał baron.

— Żadną — odrzekła Zofia i chciała coś dalej mówić, ale przerwał jej baron, mówiąc:

— Byłem tego pewny. Gdzie taki człowiek umiał-by ocenić podobny czyn!

— Ależ wuju, tym młodym człowiekiem był właśnie syn Schmidta.

— Syn?

To objaśnienie pomieszało baronowi szyki. Nie wiedział przez chwilę, co powiedzieć. Potem odezwał się, spuszczając z tonu:

— Proszę! Nie był-bym przypuszczał, że taki dorobkowicz może się zdobyć na podobne poświęcenie.

— Bo też to nie było poświęcenie, panie baronie — odezwał się Adolf. — O ile słyszałem, syn Schmidta nie tyle ocalenie dziewczyny miał na myśli, jak raczej składu nafty, którego pożar obróciłby w perzynę jego i ojca jego mienie.

— Tak, to co innego — rzekł baron.

— Można się było spodziewać podobnych motywów — dodał drwiącym tonem Maurycy.

— To nieprawda! — odezwała się rumiana oburzeniem Zofia — on nie wiedział, że tam była nafta.

— W takim razie nie znał także niebezpieczeństwa, na jakie się narażał — rzekł znowu Adolf.

— Jakto? gdy cały dom był w płomieniach? O! nie przekonacie mnie państwo, że ten człowiek nie poświęcił się. Trzeba słyszéć Salusię, z jakiém ona uwielbieniem mówi o tym człowieku. Rada-bym go poznać i podziękować mu za to.

— Salusia exageruje — powiedział baron. — Blizkość niebezpieczeństwa powiększała czyn zwyczajny w jéj oczach do nadzwyczajności. Wolę zgodzić się na zdanie pana Szmitowskiego tym razem, bo nie mogę przypuścić, aby syn bogatego dorobkowicza chciał się narażać dla ocalenia biednéj dziewczyny.

Całą tę historyą obrócono w śmieszność, poczęto nawet żartować sobie z bohatera, co bardzo gniewało Zofią, która do ostatka broniła swego protegowanego. Jeden tylko Jerzy milcząco podzielał jéj zdanie. Zbliżył się do Adolfa i, ścisnąwszy go za rękę, rzekł po cichu:

— Teraz cię rozumiem. Widzę, że lepiéj robisz, niż mówisz.

— Wszak ci wytłómaczyłem powód mego poświęcenia.

— Nie uwierzę. To było poświęcenie szlachetne.

Niedługo potem Adolf wstał i pożegnał całe towarzystwo. Baron odjeżdżającego zapraszał najgoręcéj, by powtórzył wizytę.

— Moja oranżerya czekać będzie niecierpliwie na pana — rzekł, ściskając mu rękę — a szczególniéj storczyk Zosi. Musisz go pan koniecznie wyleczyć, jeżeli chcesz przeprosić naszę demokratkę za dzisiejsze sponiewieranie jéj bohatera.

Adolf nie wymawiał się, ani obiecywał wyraźnie. Ukłonił się zakłopotany, zaambarasowany, niewiadomo czy zaproszeniem barona, czy spójrzeniem Zofii, i wyszedł. Jerzy odprowadził go do bryczki.

— No, kiedyż przyjedziesz do nas? — spytał wsiadającego.

— Powiedziałem ci, że nigdy. Nie chciał-bym nadużywać łatwowierności barona i kłamać dłużéj. Przyjadę chyba we właściwym charakterze.

— To niepodobna. Nie chciał-bym cię narażać. Zostawmy starego czas jakiś w błędzie. Może to na dobre wyjdzie. Baron jest popędliwy i uparty, ale da się rozzbroić,

gdy kto chwyci go za serce. A on dla ciebie był bardzo łaskaw. Kto wié, czy to zbliżenie się nie oszczędzi i ojcu twemu wiele przykrości; czy baron nie zechce zrobić dla syna to, czego nie zrobił-by dla ojca.

— Tą nadzieją gotów-byś mnie uwieść. Jakże rad-bym, gdyby mi się to udało!

— Więc czekamy cię. Ja incognito twoje zachowam do czasu w sekrecie.

— Do widzenia więc — rzekł Adolf i pojechał.

Wracając do domu, myślał o pięknéj protektorce demokratycznych bohaterów. Kto wié, czy chęć zobaczenia jéj nie więcéj namawiała go do powtórzenia wizyty u barona, niż słowa Jerzego i jego obietnice.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

VIII.

Na zachodniéj stronie fabryk Schmidta, w parkanie, okolającym posiadłość barona, była furtka, zasłonięta zaroślami. Adolf, objeżdżając nieraz fabryki, zauważył, że po-za te zarośla wchodziły nieraz drobne dzieci robotników, nadzwyczaj schludnie ubrane, z obrazkami lub książkami w ręku. Dzieci szły zwykle z dorosłą dziewczyną. Była to ocalona przez niego z pożaru, Salusia. Głębokim ukłonem oddawała zawsze cześć swemu wybawcy, gdy go mijała. Adolf ani domyślał się powodu; nie zapamiętał bowiem wcale rysów ocalonéj dziewczyny, a nikt nie zwrócił na to jego uwagi. Dziwiły go jednak częste wycieczki téj dziewczyny z gromadką dzieci w stronę zarośli. Dziwiło go tém więcéj, że dzieci, wszedłszy w zarośla, ginęły mu z oczu i nie widać ich było więcej, choć zarośla ledwie z kilku krzaków się składały, Rozciekawiony tem tajemniczem znikaniem dzieci, posunął się raz w tę stronę za niemi. Wszedłszy między zarośla, wytłómaczył sobie zagadkę, zobaczywszy furtkę, prowadzącą do wnętrza parku. Furtka była zamknięta. Zajrzał więc przez parkan i zobaczył dwie zakonnice, chodzące po ogrodzie wśród dziatwy, śpiewającej pieśni nabożne. Podczas gdy dzieci śpiewały, zakonnice myły je, czesały, ubierały lub uczyły. Salusia pomagała im w tych zatrudnieniach. Gdy ukończyły tę robotę, wtedy dzieci, ubrane w białe fartuszki, na których świeciły krzyże na szerokich, niebieskich wstążkach, stanęły rzędem, potem uszykowały się w pary i poczęły

maszerować po ścieżkach ogrodu, klaszcząc w takt rękoma i śpiewając znowu jakąś pieśń pobożną, ułożoną w formie marsza.

Ciekawie i zabawnie wyglądało to wojsko liliputków. Najstarsze bowiem mogło mieć najwięcej lat cztery, a były takie, co i po dwa liczyły. Adolf z zajęciem przyglądał się różnym manewrom wojskowym tych niedorosłych krzyżowników, aż mu znikły za drzwiami. Zaintrygowało go to bardzo i, powróciwszy do domu, nie zaniechał spytać się ojca, kto zajmuje się tą gromadką dzieci i pozwala im wchodzić do parku barona. Schmidt na to pytanie skrzywił się niechętnie i rzekł:

— A to ta panna z Zalesia robi sobie takie zabawki.

— Siostrzenica barona? — — spytał Adolf, więcej na domysł.

— Podobno... Sprowadziła dwie Felicyanki i komedye wyprawiają z dziećmi...

— Ja tego, przyznam ci się, ojcze, wcale za komedyą nie uważam. Widziałem, jak starannie te zakonnice zajmują się dziećmi, które w domu pewnie bez dozoru-by zostawały, i byłem zbudowany ich troskliwością i opieką. Więc to panna Zofia założyła tę ochronkę?... Nie myślałem, że to rozpieszczone dziecko umie się tak poważnemi rzeczami zajmować...

— Bawi ją to i dlatego się zajmuje. Ci panowie z nudów wymyślają różne zabawki, które nazywają dobremi uczynkami.

— Było-by to wistocie dobrym uczynkiem dla naszych robotników, gdyby wszystkie ich dzieci mogły korzystać z

dobrych chęci baronówny...

— Nigdy nie zechcą, bo Felicyanki chcą gwałtem protestanckie dzieci chrzcić na swoję katolicką wiarę. Widzisz więc, że nie bez powodu baronówna jest tak łaskawą. Chce się zabawić w apostołkę i gwałtem nawracać dziatwę, żeby potem z Rzymu sobie jaki odpust lub relikwie wyprosić.

Adolf nie odezwał się więcéj; wiedział, jak w kwestyi religii, wolności sumienia, ojciec jego był drażliwym, jak oburzała go wszelka przymusowa propaganda; dlatego nie ciągnął dalej rozmowy, by nie drażnić ojca. Ale stary Schmidt, raz wszedłszy na tę drogę, nie opuścił jej, by przy sposobności nie wyrazić swego oburzenia względem barona i całej jego partyi.

— Wierz mi, mój Adolfie, ja się boję tych ludzi, nawet gdy dobrze robią, bo zawsze wietrzę w tem zdradę lub samolubstwo. Ci ludzie nie umieją nic robić bez interesu. A ich interes niezawsze z pożytkiem drugich chodzi w parze.

— Są jednak wyjątki... — wtrącił delikatnie Adolf.

— Nie wierzę. Na pokoleniu tem cięży złe, odziedziczają je po przodkach, oni już rodzą się zbrodniarzami...

— To już nieco za wiele, mój ojcze — rzekł Adolf z uśmiechem.

— Jakto? wątpisz? A czem urosły ich fortuny? Pracą ludu, krwią jego i potem. I czyż sądzisz, że na takiej fortunie nie cięży przekleństwo, nie ciężą łzy i cierpienia?... A pomyśl przytem, co ci ludzie robią z owemi fortunami, na co się rodzą?... Aby używać i nic więcej. Karty, metresy i wojaże... to treść ich życia... Wobec nędzy ogólnej, czyż to

nie zbrodnia?... Kto używa a nie pracuje, ten u mnie zbrodniarzem, bo okrada społeczeństwo. Cieszy mnie, mój Adolfie, że w tobie nie dostrzegłem skłonności do czepiania się klamki pańskiej, do spinania się na ich progi, jak to robi wielu majętnych dorobkowiczów, którzy za szczęście sobie uważają uścisk hrabskiej dłoni, lub skoligacenie się choćby z metresą hrabiego, albo starą i szpetną księżniczką. Bolałoby mnie bardzo, gdybym dostrzegł w tobie podobną słabość. Wolałbym, żebyś się ożenił z córką prostego robotnika, niż z jaką damą salonową, która-by nosem kręciła na twoje urodzenie, z obrzydzeniem patrzała na ręce twego ojca, zczerniałe od pracy... Dzięki Bogu, że, o ile mi się zdaje, podzielasz w zupełności moje zasady.

Adolf nic nie odpowiedział; nie mógł zdobyć się na odpowiedź, a słowa ojca paliły go, jak świece, po twarzy. Na szczęście, wszedł służący i przyniósł gazety, stary Schmidt więc nie zauważył pomieszania syna i silnego rozpalenia twarzy. Wziął gazetę i przejrzał najprzód kursa, następnie ceny targowe, a potem wiadomości polityczne i rozmaitości.

Czytając rozmaitości, zachmurzył się; wzrok jego niespokojnie począł przebiegać po wierszach gazety, a na twarzy malowało się silne wzruszenie.

— W Dolnej Hucie — rzekł do syna — znowu bunt robotników; spalono fabryki, a Müller w starciu z robotnikami zabity. Ja mu to przepowiadałem, że jego nieludzkie postępowanie zły koniec weźmie. Jednak to zawsze wielkie nieszczęście. Szkoda człowieka. Był nieludzki, ale tęga głowa.

— I jakiż powód buntu? — spytał Adolf, nieznający jeszcze dokładnie stosunków miejscowych.

— Robotnicy żądali podwyższenia płacy, a on im jeszcze umniejszył, wiedząc, że, dla braku zarobków okolicy, będą musieli przystać na cenę, nałożoną przez niego. To robotników oburzyło. Rzucili się na dom Müllera, podpalili. Wśród zgliszczów znaleziono ciało jego, jak pisze gazeta. Trup był tak na węgieł spalony, że nie można było rozeznać, czy zginął od pożaru, czy z ręki ludzkiej. Wiadomość o tym wypadku zgubnie oddziała na inne fabryki. Taki przykład działa zaraźliwie. Szczególniéj, że nie brak pokątnych agitatorów, którzy rozdmuchują niechęć robotników do właścicieli. I u mnie pojawił się tu niedawno taki podżegacz; ale ludzie moi wypędzili go.

— Więc chciał ich również namawiać do buntu?

— Tak. Aby żądali ode mnie podwyższenia płacy.

— A ile robotnik bierze tutaj?

— W kopalniach dziesięć srebrnych groszy, w kuźnicach dwanaście.

— To bardzo mało. W Anglii...

— Naszych fabryk nie możesz porównywać z angieskiemi — przerwał mówiącemu Schmidt — tu inne stosunki. Powiąż nasze fabryki z główną linią kolei, jak w Anglii, a wtedy będziesz mógł robić porównanie.

— Jednak zawsze wynagrodzenie to ogromnie małe za dziesięć godzin ciężkiej pracy.

— Dwanaście godzin — poprawił go ojciec.

— Dwanaście godzin? To niepodobna! Nic dziwnego, że robotnicy słuchają podszeptów swych doradzców. Że tu nie

buntują się, to dlatego, że obchodzisz się z nimi, jak ojciec, że w potrzebie znajdują pomoc u ciebie.

— Dodaj i to, że ceny produktów tu są dosyć nizkie.

— Tak; ale ceny te były dawniej jeszcze niższe; dziś, o ile widzę z gazet, poskoczyły znacznie w górę, a płaca za robotę została ta sama. Wiesz, ojcze, radził-bym nie czekać, aż robotnicy upomną się o swoje prawa, i podnieść cenę.

— To niepodobna. Cóż-by na to powiedzieli okoliczni właściciele? Okrzyczeli-by mnie za buntownika, podżegacza. Miał-bym ich wszystkich przeciw sobie.

— Ale miał-byś za sobą robotników. Czyn twój był-by moralnym przymusem dla innych.

— Jak widzę, mój pan syn jest gorliwym agentem „Internacyonału“ — rzekł Schmidt pół-żartobliwie, pół-seryo.

— Nie, ojcze; jestem tylko agentem sprawiedliwości. Jeżeli pracą tych biednych robotników bogacimy się, jeżeli ty sam zdołałeś w krótkim czasie dorobić się takiego majątku, słuszna rzecz, aby i ci ludzie mieli jakiś udział w korzyściach.

— Gdyby się im raz zrobiło ustępstwo, kto wie, jak daleko posunęli-by swoje wymagania. Ludzka natura jest chciwa; popuszczanie jéj cugli, ustępstwo wszelkie, nie zadawalnia jéj, ale rozzuchwala. Zamiast podwyższenia płacy, wolałbym wznieść dla nich kilka zakładów pożytecznych. Niech-no skończę z baronem, a wnet się tém zajmę.

— A tymczasem może nastąpić wybuch. Odwłoka tu niebezpieczna. Cóż poczniesz, skoro wystąpią z żądaniami?

Czyż nie lepiéj uprzedzić ich? Czyn twój, teraz spełniony, będzie się nazywał dobrodziejstwem; potém — tylko ustępstwem. No, cóż, ojcze?

— Zostaw mi kilka dni do namysłu. Muszę rozważyć te rzeczy. Nie byłem na nie przygotowany.

— Wszak jutro masz mnie przedstawić robotnikom, jako swego wspólnika. Jutro więc najlepsza pora będzie po temu. No, cóż?

— Jutro? — spytał Schmidt syna, namyślając się. — Niech będzie jutro. To dzień twoich urodzin i imienin. Niech to więc będzie dla ciebie wiązaniem, podarunkiem. Dla ciebie tedy zrobię to ustępstwo. Widocznie nie chcesz zostać milionerem.

— Będę nim, będziemy obaj, mój ojcze. Ci ludzie z wdzięcznością oddadzą nam to, co dla nich zrobimy... w dwójnasób oddadzą. Będzie to tylko pożyczka na dobry procent.

— No, pamiętaj, mój Adolfie, że u ciebie upomnę się o te procenta.

— Oddam ci je, ojcze, z wdzięcznością — rzekł syn, całując rękę ojca i ściskając ją serdecznie.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

IX.

Tego dnia wieczorem niezwykły ruch panował w fabryce Schmidta.

O tym czasie zwykle wszyscy robotnicy rozchodzili się do domu, żądni spoczynku po całodziennéj pracy. Tymczasem dzisiaj zatrzymywali się na ulicach, zbierali w gromadki i radzili. Oznajmiono im bowiem, że jutro, z powodu imienin syna właściciela, będą mieli święto, dzień wolny, który jednak przy wypłacie rachować się im będzie. Radość więc była niemała, bo stary Schmidt nigdy w podobny sposób imienin własnych nie obchodził. Radzono więc, jak-by wyrazić młodemu panu swoję wdzięczność i uczcić dzień jego imienin.

Nie wszystkie jednak gromadki radziły o tém. Niektóre z nich jakieś poważniejsze prowadziły rozmowy. Ponure ich twarze, tajemnicze miny i skryte szepty, które milkły za nadejściem obcych, kazały się domyślać czegoś złego. Gromadki te rozmawiały o świeżych wypadkach w Dolnéj Hucie, udzielano sobie nawzajem szczegółów rozmaitych, powiększano je w potworny sposób i robiono uwagi. Wiadomość o tych wypadkach w dziwny i niewytłómaczony sposób dostała się do fabryk Schmidta. W gospodzie ktoś podrzucił numer gazety, donoszącéj o tém. Miejsce to w gazecie było obwiedzione czerwonym ołówkiem, by nie uszło uwagi czytających. Nikt nie wiedział, kto ten numer podrzucił, choć śledzono pilnie. Jedni oburzali się na te wypadki, inni przyjmowali je

wątpliwém milczeniem, a byli i tacy, którzy przyznawali robotnikom z Dolnéj Huty zupełną słuszność. Ci ostatni odsunęli się od reszty i nad czémś naradzali się z wielkiém zajęciem. Stary mruk, Jakób, był także między tymi, i od czasu do czasu dorzucał do rozmowy ogólnéj swoje uwagi. Do późnéj nocy przeciągnęły się narady téj gromadki. Dopiero przed północą rozeszli się, z obawy, by nie zwrócić na siebie uwagi stróżów nocnych. Rozeszli się więc po dwóch, po trzech.

Jeden z robotników odprowadził Jakóba do jego mieszkania i tam czas jakiś zabawił. Po północy wyszli obaj. Robotnik udał się na prawo, drogą, która prowadziła do domków mieszkalnych.

Jakób chyłkiem posunął się wśród ciemności ku fabrykom. Pod pachą trzymał coś białego, dużego, coś jak papier lub płachtę. Stanąwszy koło głównej fabryki, obejrzał się pilnie naokoło, potém czas jakiś nadsłuchywał, czy kto nie idzie, a zabezpieczywszy się pod tym względem dostatecznie, podczołgał się ku drzwiom głównym, rozwinął ów papier i przylepił na bramie.

Dokonał tego z niesłychaną szybkością, poczém prędko oddalił się w przeciwną stronę, okrążając umyślnie fabryki, by z innéj strony dostać się do domu i nie spotkać się z nikim.

Noc była księżycowa, spokojna, ciepła. Adolf, który po dziennym upale czuł się nieco zmęczonym i narzekał na ból głowy, wyszedł odetchnąć trochę świeżém powietrzem. Przechodził właśnie polem, przez które chyłkiem przekradał się Jakób. Cień człowieka, przesuwający się tak

ostrożnie, zwrócił uwagę Adolfa. Postąpił za nim pośpiesznie kilka kroków i zawołał:

— Kto tam?

Cień pośpiesznie usuwać się zaczął i zniknął w cieniu, jaki drzewa parku rzucały na ziemię. Niezadługo dał się jęk słyszéć w tamtéj stronie. Adolf rozciekawiony, poszedł za głosem; w jęku bowiem była prośba o ratunek. Nie zważając wcale na niebezpieczeństwo, mając za jedyną obronę kij okuty, rzucił się na pomoc.

Zbliżywszy się do miejsca, zkąd głos dochodził, spostrzegł w świeżo wykopanym dole człowieka, usiłującego się wydobyć z wody i błota, którem dół był u spodu zalany. Był to Jakób. Nie chcąc być widzianym przez Adolfa, ukrył się w jednym z dołów, które kopano, szukając wody. Ziemia wilgotna i miękka obsunęła się pod nim i spadł na sam spód. Dół był na kilka łokci wypełniony wodą, spód był grzązki i miękki tak, iż Jakób coraz niżej zapadał. Przerażony, począł wołać o pomoc, nie zważając już na nic, bo woda sięgała mu już po usta. Nie dużo brakło, aby całkiem go zalała. Napróżno czepiał się ścian dołu — wilgotna i miałka ziemia nic dawała mu żadnego punktu oparcia, a niespokojne usiłowania wydobycia się pogorszały jeszcze położenie. Na szczęście, Adolf nadbiegł mu z pomocą. Wyszukawszy silne oparcie dla nóg swoich, schylił się ku dołowi i podał Jakóbowi laskę swoję. Z jej pomocą mruk wydobył się z błota i wody na wierzch; Adolf podał mu rękę i za chwilę wydostał na bezpieczne miejsce.

Jakób był tak zmokły, osłabiony i przestraszony, że nie mógł ustać na nogach i upadł na ziemię.

— Ktoż ty jesteś? zkąd? — pytał go Adolf.

Jakób wahał się, co odpowiedzieć; nie wiedział, czy przyznać się, czy nie; w końcu, pomyślawszy, że i tak Adolf kiedyś zobaczy go w kopalniach i pozna, zdecydował się powiedzieć prawdę i rzekł:

— Jestem dozorcą z kopalni.

— I cóż tu robiłeś po nocy?

— Wracałem do domu.

— Dlaczegóż uciekałeś przede mną?

— Myślałem, że to jaki zły człowiek.

Adolf uwierzył tłómaczeniu i nie pytał dalej.

— Jak-że się nazywacie? — spytał po chwili — i gdzie mieszkacie? — Nie pytał przez ciekawość, ale dlatego, że go chciał odprowadzić, widząc osłabienie jego.

— Nazywam się Jakób.

— Wstańcie, pomogę wam dojść do domu — rzekł po chwili Adolf, widząc, że Jakób, z oczyma spuszczonemi w ziemię, siedział i nie zabierał się do powrotu.

— Zostawcie mnie tak tutaj; odpocznę nieco i sam się zawlokę do domu. Chłód nocy mnie nieco orzeźwi.

Adolf nie nalegał. Przypomniał sobie, że ojciec mówił mu przed kilku dniami o tym człowieku, jako o odludku, który nie cierpi ludzi. Nie narzucał mu się więc z pomocą i odszedł.

Zaledwie znikł wśród budynków, Jakób zerwał się i pobiegł szybko w stronę fabryki, gdzie był przed chwilą przylepił ów papier. Czy przez wdzięczność dla Adolfa, czy przez bojaźń, by nie padło na niego podejrzenie, chciał zedrzeć ów papier z bramy. Było to bowiem wezwanie

robotników do buntu w tych słowach:

„Upomnijmy się o nasze prawa; nie dajmy się wyzyskiwać kapitalistom! Niech żyje internationał!“

Z myślą zdarcia tego ogłoszenia wrócił Jakób pod bramę fabryki. Zbliżywszy się jednak do niej na kilkanaście kroków, cofnął się z przestrachem i ukrył za węgłem. Przy blasku bowiem księżyca, który jasno oświecał tę stronę, zobaczył stróża nocnego, stojącego tuż pod bramą i usiłującego odczytać litery na karcie.

— Późno już — mruknął Jakób i uciekł chyłkiem do domu.

Stróż, po przeczytaniu, zeskrobał halabardą papier z bramy i poszedł dalej szukać, czy więcej podobnych ogłoszeń gdzie niema.

Tymczasem Jakób wrócił do domu, rzucił się na posłanie i niespokojnie przewracał się, nie mogąc zasnąć. Nad ranem dopiero sen go zmorzył; gdy się przebudził, był już dzień jasny. Córka jego wracała już zkądś, ustrojona świątecznie. Na ulicy słychać było radosną wrzawę i okrzyki.

— Gdzieś ty była? — spytał Jakób ponuro — co znaczy ten strój?

— Chodziłyśmy wszystkie winszować młodemu panu. Teraz właśnie robotnicy wszyscy tam poszli. A ty, ojcze, nic pójdziesz z nimi?

— Nie; jestem trochę niezdrów; zostanę w domu.

— Dziś w wieczór właściciel wyprawia nam ucztę na cześć syna. Przed domem jego zastawiono już stoły i ubrano ganek w girlandy. Powiadają, że stary pan przygotowuje robotnikom jakąś niespodziankę.

— Będzie on miał niespodziankę! — pomyślał sobie mruk i odsunął się od okna, niekontent ze śpiewów i wesołości, która dolatywała z ulicy do jego uszu.

Całe rano nie wychodził z mieszkania. Po obiedzie wyprawił córkę z domu, która chętnie przyjęła ten rozkaz, bo właśnie miała prosić ojca o pozwolenie wyjścia. Po jej oddaleniu, niektórzy robotnicy poczęli schodzić się do mieszkania mruka, i tam zamknąwszy się, naradzali się i coś knuli. Uradzono, że wieczorem, podczas uczty, kilku wystąpi z żądaniami podwyższenia płacy; a gdy stary Schmidt odmówi, czego byli pewni, wtedy zbuntują rozochoconych robotników i rzucą się na właścicieli.

— Ty będziesz z nami? — spytał mruka jeden z robotników.

— Nie, ja nie mogę. Zostanę na uboczu, ale wam pomogę lepiej, niż gdybym był z wami.

— W jaki sposób?

— Zobaczycie. To moja rzecz.

Robotnicy nie pytali więcéj; znali nienawiść mruka do Schmidta i wierzyli, że ich nie zawiedzie.

Po ich odejściu, Jakób długo stał w oknie i w ponurem milczeniu przysłuchywał się radosnym śpiewom, dochodzącym go z daleka.

— Cieszcie się, śpiewajcie mu i uśpijcie tem jego czujność. Będzie on miał gorzkie przebudzenie! i on, i ojciec.

Po chwili namysłu rzekł:

— A może-by syna ocalić? On ocalił mnie i dziecko moje. Ale jak? Niéma sposobu. Musi i on pokutować za

ojca. Powiedziałem sobie: zniszczę ich — więc zniszczyć muszę. Nie chciał on być moim szwagrem, to ja będę czém inném dla niego. Siostra zeszła na psy — on zejdzie na dziada.

Pomimo takiego odgrażania się, widać było pewne wahanie w twarzy Jakóba, w miarę, im chwila stanowcza bardziéj się zbliżała. Czuł całą ohydę postępowania swego względem Schmidta, i choć wmawiał w siebie, że ma prawo mścić się na nim za krzywdę, jakiéj doznał od niego, to jednak głos wewnętrzny osłabiał to przekonanie. Prawda, że odmówieniem ręki siostry zadrasnął Schmidt głęboko serce jego, bo Jakób kochał niezmiernie tę dziewczynę. Ale od tego czasu tyle już lat minęło, że Jakób mógł zapomnieć o tej urazie, i miłość z nienawiścią miały czas w proch się rozlecieć. Jakóba już nie to właściwie jątrzyło, ale to, że człowiek, którego on nienawidził, zbogacił się tak bardzo, że mu się wszystko szczęśliwie wiodło. To go bodło, to podsycało nienawiść jego. Ani dobrodziejstwa, jakich doznawał, ani podwójne uratowanie jego i Salusi przez Adolfa, nie mogło ułagodzić i zniweczyć mściwości jego, owszem, w miarę ich dobrodziejstw, nienawiść jego rosła; do wściekłości go to doprowadzało, że tyle winien ludziom, których niecierpiał. Nienawiść jego przechodziła w szał, w rodzaj zaślepienia. Widząc, jak każde złe, które im chciał wyrządzić, obracało się na jego szkodę, jak, chcąc ich z dymem puścić, o mało własnej nie stracił córki, a kopiąc dołki pod nimi, sam w nie wpadł, i z tych nieszczęść oni dopiero ratować go musieli, — rozpalał się coraz to лvięk8zym gniewem. Szukał sposobów, któremi mógł-by

dosięgnąć tych ludzi, nasycić zemstę swoję. Może, gdyby mu się to było udawało, uspokoił-by się, żałował nawet tego. Niepowodzenie pobudzało go do coraz nowych wysileń; w miarę im mniej miał powodów nienawidzieć ich, zaciekłość jego stawała się większą, chciał bowiem nią zagłuszyć głos sumienia, co go zatrzymywał i odradzał.

Jakób, jak mógł i umiał, oszukiwał siebie,by się nie zrzec zemsty, którą karmił się od lat tylu. I dziś wmawiał w siebie, że, buntując lud przeciw Schmidtom, mści się słusznie na nich za własną krzywdę.

Ze zmierzchem wyszedł z domu, wziąwszy ze sobą parę garści słomy, oblanéj żywicą. Miał zamiar ukryć się z tém w poblizkich budynkach Schmidta i podpalić je, skoro będzie miarkował, że nadejdzie stosowna chwila do zrobienia popłochu i zamieszania.

Tém chciał pomódz wspólnikom swoim i ułatwić rozpoczęcie buntu.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Michał Bałucki](#).*

X.

Podczas gdy Jakób przygotowywał skrycie zgubę obudwom Schmidtom, córka jego drogą koło zarośli śpieszyła do parku. Na znak przez nią dany, służący otworzył furtkę i wpuścił dziewczynę do ogrodu; służący był stary i jak gołąbek siwy. Baron osadził go tutaj na łaskawym chlebie, oddając go na usługi swéj siostrzenicy, do której stary Mateusz był niezmiernie przywiązany. Miał domek swój niedaleko furtki, a jedynym obowiązkiem jego było otwierać i zamykać tę furtkę, jakotéż zamiatać stancye, w których w dnie pogodne musiała się dziatwa, przychodząca z fabryki, uczyć. Dziatwa lubiła bardzo starego Mateusza, bo był zawsze uśmiechnięty, wesoły, i każdemu dał dobre słowo. Najwięcej tych słów dostawało się Salusi; może dlatego, że to była ulubienica panny Zofii, a stary Mateusz podzielał zupełnie sympatye swój pani i kochał to, co ona kochała, a nienawidził, czego ona nie lubiła. To też i teraz, z dobrotliwym, przyjemnym uśmiechem przywitał wchodzącą dziewczynę i spytał:

— Znowu się tu włóczysz! ty, ty, nic dobrego. Salusia pokłoniła mu się i uśmiech za uśmiech oddała.

— Cóż-to? sama dziś przychodzisz? — spytał znowu Mateusz — a gdzież twoje drobiazgi?

— Zostały w domu; dziś u nas święto i uroczystość.

— O! a ja myślałem, że wy chyba nigdy nie świętujecie. Tak tam u was wiecznie turkoce, wiecznie robotę słychać.

— Dziś u nas imieniny panicza.

— Panicza? Cóż wy to za panicza macie?

— Syn naszego właściciela.

— To tak mów! syn fabrykanta, a nie żaden panicz.

Mateusz tem nazwiskiem raczył tylko herbowne dzieci.

— No, idź, wytłómacz się dobrodziejkom, które są bardzo zdziwione.

Salusia poszła ku ochronce, gdy naraz w alei zobaczyła swoję opiekunkę, pannę Zofią, galopującą na arabczyku. Zofia, gdy ją spostrzegła, zatrzymała konia i powtórzyła Salusi to samo pytanie, jakie jej już zadał Mateusz: dlaczego sama dziś przychodzi?

— U nas dziś uroczystość — odrzekła — imieniny młodego pana. Świętujemy więc, a wieczorem będzie uczta. Ja przyszłam tylko na chwilę powiedzieć to panience i prosić o bukiet.

— Więc dziś imieniny jego? — spytała z zajęciem Zofia — tego, co ci życie uratował?

— Tak, tego; i dlatego chciałam panienki prosić o kwiaty.

— Tu niełądne kwiaty. Poślę po piękniejsze do pałacu. Taki człowiek wart pięknych kwiatów. Chodź za mną, napiszę list do wuja.

Skierowała konia ku letniemu pałacykowi i jechała stępo, aby nie wymijać dziewczyny.

Salusia była przedmiotem szczególniejszej opieki i względów Zofii. Roztrzepana i żywa dziewczyna miała anielskie serce i lubiła opiekować się biednymi. Wybór padł przypadkiem na córkę dozorcy. Jej-to nawet zawdzięczała baronówna myśl założenia ochronki. Stało się to zaś w ten

sposób:

Pewnego dnia, baronówna, przechadzając się po parku, usłyszała z drugiej strony parkanu prześliczny a donośny głos. Rozciekawiona, zbliżyła się de parkanu i przez szpary zobaczyła piękną dziewczynę, biednie ubraną, która, otoczona kilkunaściorgiem dzieci, bawiła się z niemi, śpiewając im różne pieśni, to znowu opowiadając im jakieś historyjki. Baronówna nie namyślała się długo. Nie umiała czekać: to, co jej się podobało, chciała mieć natychmiast. Tak ją przyzwyczajono.

Dziewczyna jej się spodobała; głos jej należał do rzadkich altowych głosów. Zofia więc postanowiła zająć się młodą dziewczyną i zaraz rozpoczęła z nią przez parkan rozmowę, przy której końcu kazała dziewczynie jutro o tym czasie przyjść do bramy parku. Lokaj czekał tam już na nią i zaprowadził do letniego domku.

Baronówna, po bliższej rozmowie, jeszcze bardziej przylgnęła do dziewczyny, gdyż ta okazywała wiele sprytu, a przytem łagodności i uczucia. Baronówna nazwała ją „przytulijką” dla jej serdecznego i lgnącego do ludzi charakteru. Postanowiła zająć się jej losem, i w tym celu wysłała swego lokaja, Mateusza, do jej ojca.

Dziewczyna nie bardzo była od tego. Chętnieby zamieniła była smutny pobyt w mieszkaniu ponurego Jakóba na serdeczną opiekę wesołej baronówny. Ale ojciec nie chciał pozwolić na to, pomimo nalegań i obietnic baronównej. Żadne namowy nie pomogły. Uparcie stał przy swojém. Nawet, gdy baronówna chciała jego wraz z córką zabrać do siebie, odrzucił tę propozycyą, przekładając

pozycyą dozorcy w fabrykach Schmidta nad wygodne życie w parku. Miał jakieś powody do tego, z których nie chciał się nikomu zwierzyć. Raz tylko, gdy córka do próśb innych dołączyła i swoje, odrzekł jéj szorstko:

— Nie chcę, nie chcę. Baronówna-by sądziła, że nam łaskę robi, — a to ja jéj łaskę robię. Milczenie moje miliony dla niéj warte. Mateusz wié o tém dobrze. Ale milczenie do czasu tylko. Przyjdzie kiedyś chwila obrachunku z baronem, i nie będę milczał. Wdzięczność dla baronówny mogłaby mi być przeszkodą do tego. Nie chcę więc za nic jéj być wdzięcznym.

Córka z tych słów niewiele się domyśliła; zrozumiała tylko, że ojciec nie pozwoli na przeniesienie się do pałacu. Baronówna nie mogła zrozumiéć tego dziwactwa; gniewało ją to i niecierpliwiło; ale nakoniec zgodzić się na to musiała. Zobowiązała tylko dziewczynę, aby do niéj codzień do parku przychodziła. Tam sprowadziła pianino z zamku i zajęła się sama uczeniem śpiewu, a potrochu i edukacyą dziewczyny. Ażeby zaś skrócić jéj drogę, kazała w parkanie, dotykającym do fabryk, zrobić dla niéj furtkę. Ale dzieci robotników, przyzwyczajone do towarzystwa śpiewaczki swojéj, tęskniły do niéj i nieraz pod parkan z płaczem podchodziły, wołając za nią. Dziewczynie było przykro, że bawić ich nie może; ale nie śmiała wyspowiadać się z tego swojéj opiekunce, by jéj nie obrazić. Aż raz Zofia sama to spostrzegła i zaraz przyszło jéj na myśl założyć dla tych dzieci ochronkę. Jednę taką założyła już była we wsi. Nietrudno jéj było uprosić barona, by jéj pozwolił urządzić drugą podobną w parku. Baron

wprawdzie niekontent był, że do jego posiadłości wciskać się będzie w ten sposób żywioł fabryczny, którego nie cierpiał i unikał; ale że Zofii niczego odmówić nie umiał, więc zdecydował się część parku poświęcić na ten użytek, zastrzegł sobie tylko, ażeby dzieci nie przekraczały granic oddzielonego dla nich ogródka, i aby w dnie, w których on będzie zwiedzał Zofijówkę, nie pokazywały mu się na oczy.

Tak więc powstała ochronka. Z początku wiele dzieci garnęło się do niéj, bo tam znajdowały zabawę i opiekę; ale gdy rodzice ich spostrzegli, że dziatwa przy zabawie przesiąka katolickiemi pojęciami zakonnic, że wraca do domu obładowana krzyżykami i obrazkami świętych, — protestanckie familie zakazały dzieciom tam chodzić. Gronko więc się zmniejszyło. Zofia nie domyślała się powodu. Salusia nie śmiała jéj tego powiedzieć. A gdyby nawet była powiedziała, Zofia nie była-by pojęła, jak mogą rodzice nie chcieć, aby ich dzieci były po katolicku wychowywane. Zofia bowiem była ultra-katoliczką i nie pojmowała życia bez kościoła katolickiego.

W czasie kiedy sic nasza powieść rozpoczyna, ochronka istniała już trzy miesiące. Salusia pomagała w niej zakonnicom, a, w niektóre dnie, gdy Zofia miała czas przybyć do parku, brała od niej lekcye śpiewu, w czem znakomite robiła postępy.Dzisiejszy dzień stanowił wyjątek. Zamiast śpiewem, obie zajęły się układaniem bukietu dla solenizanta, do którego kwiatów dostarczył im baron z pałacu, nie wiedząc, rozumić się, dla kogo były przeznaczone. Najpiękniejsze róże zrabował ogrodnik z ogrodu, by dogodzić panience, którą bardzo lubił. Zofia

sama układała bukiet. Salusia pomagała jej w tej pracy.

— I pięknym jest ten wasz pan? — spytała wśród zajęcia Salusi.

— O, piękny, panienko! bardzo piękny. W oczach u niego tyle łagodności i dobroci, że człowiekowi się chce do nóg mu rzucić za to, że tak dobrze mu z oczu patrzy. On takie ma oczy dobre, jak panienka. Wy-byście się nadali oboje...

Zofia zarumieniła się z powodu tej naiwnej uwagi dziewczyny i udała, że jej nie słyszy.

— I cóż będziecie robili na tej uroczystości? — spytała po chwili.

— A cóż... będą się bawić, tańcować...

— A ty nie będziesz tańcować?

— Nie wiem. Ale ja wolała-bym patrzeć na niego.

— Dziwna jesteś, moja przytulijko... Mówisz o nim, jak o jakim świętym...

— Bo też on świętym dla mnie, panienko, od czasu, jak mi uratował życie. Ja wtedy miałam go prawie za Boga samego...

— Bluźnisz, Salusiu — odezwała się surowo nieco Zofia, zgorszona tem porównaniem.

— Nie bluźnię, panienko — odparła dziewczyna — bo czyż to nie sam Pan Bóg zesłał mi go wtedy? Kiedy sobie wspomnę tę chwilę okropnego strachu, gdy za plecami czułam już gorący płomień, który miał mię zaraz ogarnąć, a przed sobą widziałam ludzi, cofających się z przerażeniem ode mnie i czytałam w ich oczach, że już niema dla mnie nadziei, że muszę zginąć; aż tu nagłe on zjawił się i

poskoczył na ratunek... o! panienko, wtedy nie mogę mówić o tym człowieku inaczej, tylko, że mi go Pan Bóg zesłał. W głosie jego zdawało mi się wtedy słyszeć głos Pana Boga samego.

Dziewczyna mówiła te słowa ze łzami w oczach i z takim zapałem i zachwytem, że on udzielił się i słuchającéj; i ona czuła uwielbienie dla nieznajomego. Starała się otrząsnąć z tego wrażenia i odezwała się wesoło:

— Twój wybawca został dostatecznie za swój czyn nagrodzony, bo pozyskał w tobie protektorkę dla siebie. Kto cię słucha, musi mimowoli kochać go.

— I bez mego gadania kocha go wielu, bo on każe się kochać swojém postępowaniem. Niedawno jak przybył, a już tyle dobrego zrobił. Pozaprowadzał ulepszenia w domach robotników, urządził parową pralnią, za co go wszystkie kobiety błogosławią; w kuźnicach posprawiał kamienne zasuwy do pieców, przez co robotnicy nie pieką się, jak dawniéj, i nie tracą wzroku od gorąca. Zgoła, gdzie stąpnie, wszędzie rad-by ludziom pomódz, ulżyć im pracy, uprzyjemnić życie.

— Zaczynasz mnie coraz więcej rozciekawiać, moja droga. Mam ogromną chęć poznać tego dobroczyńcę waszego.

— O! warto, panienko. Takich ludzi nie codzień się spotyka. On-by się panience bardzo spodobał.

Zofia wybuchnęła szczerym śmiechem.

— Może-byś mnie i wyswatała za niego? Dziewczyna posmutniała na te słowa i rzekła poważnie:

— To nie.

— Czemu? Czy była-byś zazdrosną o niego?

— Dla panienki? o! uchowaj mnie Boże. Ale mój ojciec raz po pijanemu spytał mnie, czy panienka nie ma jeszcze narzeczonego. Ja powiedziałam, że nie. Wtedy ojciec mój powiedział: to szczęście dla barona. Dzień, w którym ona będzie miała iść za mąż, będzie niebardzo przyjemnym dla niego. — Nie wiem dlaczego, ale przestraszyłam się bardzo téj groźby i boję się téj chwili. Ojciec mój nie mówi nigdy na wiatr.

— Dziecinna jesteś. Ojciec twój plótł po pijanemu, sam nie wiedząc co. Cóż-by mogło za nieszczęście przynieść wujowi zamęzcie moje? chyba to, że się rozłączymy. Ale czyż to konieczne? Możemy się nie rozłączać wcale.

Tak rozmawiając, ukończyła Zofia bukiet. Bukiet był wspaniały i misternie ułożony. Przypominał rysunkiem aksamitne dywany. Na środku, wśród ciemnych bratków i róż, bieliły się z werben i gwoździków cyfry solenizanta. Zofia z upodobaniem i zadowoleniem spojrzała na bukiet; potém, dając go Salusi, rzekła:

— No, masz; wybawca twój powinien być kontent z tego bukietu. Czy sama go będziesz oddawać?

— O, sama! i do tego nauczyłam się kilku wierszy, które mi dał pastor. Boję się tylko, że nie będę śmiała mówić wobec niego i pomylę się.

— Szkoda, że nie będę mogła widzieć tej uroczystości. Coraz więcej zbiera mnie chęć pójścia tam.

— Ach, panienko złota! jakby to było dobrze! — zawołała ucieszona Salusia, ściskając ją za nogi. — O, chodź, panienko!

— To-by było zabawne. Ale-by mnie poznano. To się nie da zrobić.

— Nikt nie pozna. Tyle będzie ludzi. Zresztą można się odziać chustą.

— Albo przebrać za wiejską dziewczynę — rzekła Zofia, uradowana tym pomysłem. — To-by było wyborne! oryginalne! Prawda?

Salusia nie odpowiedziała nic, ale w oczach jéj jaśniała radość wielka. Całowała po rękach z uciechy swoję protektorkę.

— Ty będziesz przy mnie, to mi doda śmiałości — mówiła dalej Zofia.

— I odprowadzę potem panienkę.

— Tak. Więc dobrze, pójdę. Ale trzeba, żeby w pałacu nic o tém nie wiedziano. Baron nie pozwolił-by nigdy na coś podobnego. Po herbacie wymknę się niepostrzeżenie do parku z panną służącą. Mateusz odprowadzi mnie do furtki. A przy furtce ty będziesz czekać na mnie. Albo nie; toby było za późno. Napiszę do pałacu, że dziś herbatę pić będę z zakonnicami i wrócę późniéj. Potém przyznam się wujowi do tego niewinnego kłamstwa i przeproszę go. To będzie najlepiéj. Ty wracaj do domu, a o zmroku czekaj mnie przy furtce.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Michał Bałucki](#).*

XI.

Przed mieszkaniem Schmidtów na podwórcu pozastawiano stoły, powbijano do ziemi gałęzie świerkowe, pozapalano lampy kolorowe. Podwórzec wyglądał jak świetny ogród.

Wieśniacy z poblizkiéj wioski, niewiasty i dzieci, gęstym wiankiem otaczały go, oczekując z niecierpliwością rozpoczęcia téj niezwykłéj uroczystości. Niezwykłéj dlatego, że stary Schmidt nie lubił podobnych obchodów, utrzymując, że one nietylko właściciela narażają na stratę, ale i dla robotników są demoralizujące, bo rozleniwiają i odstręczają ich od pracy. To téż zamiast festynów, zwykł był zawsze jakąś kwotę pieniężną przeznaczać do podziału między robotników w dnie uroczyste. Dziś jednak odstąpił od zwyczaju; szło mu bowiem o przedstawienie syna, wprowadzenie go uroczyste, jako współwłaściciela; chciał więc, aby ten dzień był pamiętnym dla wszystkich.

Równo ze zmierzchem dała się słyszéć od strony fabryk muzyka, za którą postępował tłum robotników świątecznie postrojonych. Stanąwszy przed oknami własciciela, głośnym okrzykiem powitali solenizanta, który wyszedł przed dom na ich powitanie wraz z ojcem, pastorem i kilku urzędnikami ze stacyi kolei żelaznéj, którzy tego dnia umyślnie przybyli w gościnę. Robotnicy zaśpiewali chórem pieśń górniczą, poczem wystąpiła Salusia z kilku dziewczętami, ofiarując solenizantowi bukiet. Ten przyjął go z miłym uśmiechem zadowolenia. Podczas deklamacyi,

którą Salusia, rumieniąc się mocno, wygłaszała, Adolf przypatrywał się z zadziwiniem bukietowi przez nią podanemu. Obok staranności układu, zwróciły jego uwagę wspaniale róże, które przed kilku dniami podziwiał w ogrodzie barona. To go zastanowiło. Dziwnie spoglądał na bukiet i na dziewczynę.

Gdy się to działo na przedzie, od tylu wśród ciemności, kilku z tych robotników, którzy niedawno temu byli w mieszkaniu mruka, zebrało się w kupkę i porozumiewało między sobą tajemniczo. Szło o to, który z nich wystąpi z żądaniami, gdyż ten, na którego los wypadł, nie stawił się. Jeden wypychał drugiego, tłómacząć się, czém mógł; żaden nie miał odwagi być piérwszym. Do napadu na dom każdy z nich był przygotowany; w pobliżu ukryli w trawie narzędzia i broń, ale rozpocząć nikt nie śmiał.

Kiedy się tak naradzali wśród gwaru ludzi i dźwięków muzyki, naraz zapanowało w zgromadzeniu milczenie. Ta nagła cisza zmieszała ich, spojrzeli po sobie, potem po drugich, i spytali;

— Co to?

— Uciszcie się! stary Schmidt chce mówić! — odezwał się ktoś z tłumu.

Spiskowi spojrzeli w tamtę stronę, i rzeczywiście zobaczyli starego Schmidta, stojącego na stole, a obok niego jego syna.

Stary Schmidt chwilę jakąś patrzał po zgromadzonych, jakby szukał słów do przemowy, jakby czekał na zupełne uciszenie się; potem tak przemówił:

— Przyjaciele moi! Przed kilku tygodniami

przedstawiłem wam syna mojego; dziś przedstawiam go wam jako wspólnika mojego, a waszego starszego.

— Niech żyje! — zawołali chórem wszyscy, wyjąwszy owych w zmowie będących, którzy ponurem milczeniem przyjęli tę nowinę.

Schmidt tak daléj mówił:

— Nie potrzebuję polecać wam, byście go słuchali i kochali; on sam zmusi was do tego swojem postępowaniem. Pokochacie go, gdy go poznacie, ho nietylko własny zysk, ale i wasze dobro ma na celu. Przekonaliście się o tém już trochę, choć niedawno bawi wśród was. Dziś daje wam nowy dowód dbałości o was. W dniu swoich imienin nie myślał o sobie, ale o was i, wejrzawszy w wasze położenie, w wasze potrzeby, wstawił się za wami, żądając dla was ulgi i pomocy. Z jego-to namowy, przez przywiązanie do niego, zgodziłem się na podwyższenie wam płacy, a zmniejszenie godzin roboty. Odtąd dziesięć godzin tylko dziennie pracować będziecie. Robotnicy w kopalniach pobierać będą po dwanaście, a w kuźnicach po czternaście srebrnych groszy.

Ogromny, potężny okrzyk radości dobył się z piersi wszystkich, nie wyłączając owéj ponuréj gromadki, w tyle stojącéj. Nie mieli już powodu do niezadowolenia; obietnica Schmidta przewyższała ich żądania i uwalniała ich od ostatecznych środków, na które zdobyć się nie mieli odwagi. To téż głośnym okrzykiem dziękowali ojcu i synowi i podrzucali w górę czapki z uciechy. Tłumnie rzucono się do Adolfa z podziękowaniem, podniesiono go na rękach do góry, całowano jego ręce i szaty, kobiety z

daleka błogosławiły go i płakały z radości.

— A co, panienko? piękny widok? nieprawda? — spytała Salusia, podchodząc do baronówny, która w ubiorze wiejskiéj dziewczyny przypatrywała się téj scenie. Była cała wsłuchana, zapatrzona, wzruszona, łzy szkliły się w jéj ciemnych oczach.

Wszystko, co ją otaczało, co widziała, było dla niéj tak niezwykłe, przestraszało ją i zachwycało zarazem. Piérwszy raz znalazła się tak blizko ulicznego tłumu, w otoczeniu ogorzałych twarzy, poczerniałych i spracowanych rąk, prostéj odzieży, szorstkich słów. Dotąd widywała to wszystko z daleka z balkonu lub powozu, widywała tych ludzi kłaniających się jéj uniżenie. Dziś nie znać jéj było wśród tłumu, między wiejskiemi dziewczętami znikła, jak bławatek wśród tysiąca bławatów. Ta niezwykłość położenia bawiła ją, ale i przestraszała zarazem. Za łada ruchem tłumu zdawało jéj się, że ją zgniotą, rozszarpią, roztrącą. Wolała-by była uciec z téj ciżby na przestronne miejsce i z daleka przypatrywać się. Ale znowu bała się, by przez to nie zwróciła na siebie uwagi, by nie była poznaną. Zresztą z miejsca, w którem stała, mogła daleko lepiéj wszystko widziéć i słyszeć, a wszystko zajmowało ją bardzo. Nadewszystko chciała dobrze przypatrzyć się wybawcy swéj „przytulijki“, i niecierpliwie czekała wyjścia jego z domu. Jakże się zdziwiła, gdy w wychodzącym poznała gościa barona, który przed kilku dniami w pałacu potępiał przed nią swój własny postępek. Teraz zrozumiała, dlaczego to robił, zrozumiała także pobłażliwość, z jaką słuchała słów jego, które w innym razie oburzały-by ją

bardzo. Było to jakieś bezwiedne przeczucie, które wzbraniało jéj żywić jakieś niechęci dla niego.

— Więc to był on sam... — powtarzała w myśli i rumieniła się sama przed sobą, przypominając, z jakim entuzyazmem mówiła o jego czynie.

— Ale dlaczegóż ukrywał się z nazwiskiem swojem? — spytała po chwili. Odpowiedź była nietrudna. Niechęć barona do jego ojca dostatecznie to incognito tłomaczyła. Trudniej było jej odpowiedzieć sobie, dlaczego on koniecznie pragnął być w domu barona?

Nie miała jednak czasu łamać sobie głowy nad tem; cała bowiem jej uwaga zajęta była Adolfem. Od czasu, jak się pojawił przed domem, nie spuszczała z niego oczu. Przypatrując mu się coraz lepiej, przyznać musiała, że Salusia nie przesadziła, mówiąc o nim z takiem uwielbieniem. Szlachetność malowała się na jego twarzy, w całej postawie. Obok energii i siły męzkiej, dojrzałej, widać było uprzejmą łagodność, pobłażliwy uśmiech, który ujmował serca dla niego.

Zofia nie mogła mu się dość napatrzyć. Wyróżniał on się wśród całego tłumu, uwidoczniał się bardziej, niż wszyscy. Jego prawie tylko widziała. Uważała, z jakiem zajęciem przypatrywał się bukietowi Salusi, a wtedy serce jéj biło mocno, jakby się bała, że odgadnie rękę, która układała kwiaty. Mimowiednie zasłaniała twarz chustką, by jej nie odszukał oczyma wśród tłumu, nie poznał. A kiedy robotnicy na rękach podnieśli go w górę, a on z tej wyżyny poglądał naokoło z uśmiechem pełnym słodyczy i miłości, — Zofia w zapomnieniu otworzyła także usta, jakby chciała

głos swój zmieszać z głosem ogólnej radości, i wyciągnęła rękę do góry. Zdawało się jej, że widzi pochód tryumfatora. I wistocie był to tryumfator, który zwyciężył tysiące serc. Zofia w niemym zachwycie stała, zatopiona w tym widoku. To też nic dziwnego, że nie słyszała mówiącéj do niéj Salusi, nie uważała nawet, że ta się przy niej znajduje.

Dopiero kiedy Adolf zniknął jéj z oczu wśród robotników, kiedy muzyka marsza zagrała, Zofia odetchnęła, jakby przebudzona ze snu, spójrzała wkoło siebie i, zobaczywszy Salusię, rzekła:

— Jesteś tu?... to dobrze.

— Widziała go panienka?

— Widziałam — odrzekła i, ściskając dłoń dziewczyny, mówiła po cichu: — Dziękuję ci, Salusiu, żeś mnie tu przyprowadziła.

Muzyka z marsza przeszła w narodowy taniec, ochocze pary stanęły wnet w kole. Pomiędzy niemi zjawił się znowu Adolf i, wodząc oczyma wśród ludzi, spytał donośnym głosem:

— Gdzie jest młoda dziewczyna, co mi ten bukiet podała?

— Córka Jakóba?

Wszystkich oczy szukały dziewczyny i zwróciły się wnet w tę stronę, gdzie stała ona z Zofią. Ta ostatnia zadrżała, zdawało jéj się, że ją poznają. Zasłoniła się jeszcze staranniéj chustką.

Tymczasem Adolf zbliżył się ku nim i, biorąc za rękę zapłonioną Salusię, rzekł słodko:

— Chodź moja droga, zaczniemy taniec...

Robotnicy weseli, głośnem „hurra!“ przywitali pierwszą parę.

Zaledwie jednak kilka razy przetańczyli wkoło, nagłe wszystkie pary zatrzymały się, jakby zaklęte, wszystkich oczy zwróciły się z przerażeniem w stronę fabryk, zkąd czerwona łuna rozszerzyła się na niebie i oświeciła nagłe okolicę. Równocześnie dał się słyszeć jęk dzwonu, bijącego na alarm.

— Pali się! pali się! — zawołano i tłumnie rzucono się w tamtę stronę.

Powstał hałas, zgiełk, wrzawa, zamieszanie nie do opisania. Ludzie w pośpiechu potrącał! się i tłoczyli, krzyki i rozkazy krzyżowały się i mieszały w powietrzu, płacz dzieci i lament niewiast splątały się z resztą głosów w potworną, przerażającą melodyą, w któréj dominował jednostajny, głęboki jęk dzwonu.

W chwili popłochu i zamieszania Salusia coprędzéj porzuciła swojego tancerza i pobiegła do Zofii, by ją uspokoić. I rzeczywiście, Zofia była mocno strwożona. To nagłe przejście z wesołości do katastrofy onieprzytomniło ją. Nigdy jeszcze nie znajdowała się w podobnym przypadku; to téż wszystko w jéj oczach przedstawiało się potworniej i bardziéj przerażająco, niż było wistocie. Zobaczywszy przybiegającą ku niéj Salusię, chwyciła się jéj obu rękoma, i sztywnemi oczyma wpatrywała się z przerażeniem w łunę i słuchała krzyków ludzi, krzątających się koło ognia.

— Chodźmy, panienko — radziła Salusia — ja podprowadzę panienkę do furtki.

— Nie, nie, czekajmy — mówiła nieprzytomnie, ściskając konwulsyjnie dłoń dziewczyny — chcę wiedzieć, jak się to skończy. Czy on poszedł tam?

— Kto? panienko?

Zofia spójrzała na Salusię zdziwiona, że jéj nie rozumie. Zdawało się jéj, że wszyscy, tak jak ona, o Adolfie tylko w téj chwili myśléć powinni. Pytanie Salusi oprzytomniło ją nieco; zawstydziła się, że mimowoli zdradziła się i zapomniała, i spytała już spokojniéj nieco:

— Czy pan Adolf poszedł tam także?

— Piérwszy tam pobiegł.

— Piérwszy?... A jeżeli mu się co stanie?

— Nie daj Boże! — rzekła Salusia, składając ręce.

W téj postawie, jedna wyczekującéj, natężonéj, a druga modlącéj, wyglądały obie kobiety końca pożaru. Obok nich zostało tylko kilka matek, tulących i uspakajających swe dzieci, i pastor, który z okna domu poważnie i ze smutkiem przypatrywał się pożarowi.

Powoli łuna blednąc i skurczać się poczęła. Co chwila ktoś przybiegał od pożaru z wieścią pocieszającą, że niebezpieczeństwo minęło, że zapaliły się tylko składy drzewa, ogień był szeroki, ale nietrwały, i ugaszono go łatwo przy pomocy tylu ludzi.

Coraz więcej ludzi wracało od pożaru przed dom. Za chwilę wrócił i Adolf z ojcem, otoczeni drużyną robotników, radujących się, że niebezpieczeństwo minęło.

— Patrz, nic mu się nie stało!... — rzekła Zofia uradowana do Salusi. — Teraz możemy wracać do domu.

Zaledwie to powiedziała, gdy w bocznej ulicy dał się

słyszeć gwar i krzyk, i za chwilę ukazało się kilkunastu robotników, wlokących gwałtem jakiegoś obszarpanego człowieka.

— Co to? kto to? — pytano zewsząd.

— Podpalacz! podpalacz! — odpowiadali przybyli, podnosząc za włosy głowę opierającego się i szamocącego zbrodniarza.

Salusia spojrzała i przeraźliwie krzyknęła. Był to jej ojciec — Jakób... Od początku uroczystości czatował on w poblizkich budynkach i nasłuchywał pilnie hasła buntu. Skoro go doleciał głośny okrzyk, którym robotnicy dziękowali swemu właścicielowi, był pewnym, że bunt już rozpoczęty, i w téj chwili podpalił gmach, w którym się znajdował. dla wzniecenia tem większego popłochu, pobiegł do dzwonnicy bić na alarm, a potem ze smolnemi wiechciami słomy udał się w inną stronę fabryk, wołając po drodze:

— Biegnijcie! tam bracia wasi walczą o swoje prawa! Śmierć Schmidtowi!

Żądza zemsty tak go zaślepiła, że nie widział, iż nadbiegający ludzie z zadziwieniem i zdumieniem przysłuchywali się tym krzykom jego, mając go za waryata; dopiero kiedy spostrzeżono w ręku jego pęki słomy, gdy któryś ze stojących krzyknął: to on podpalił fabrykę! — rzucono się na niego i, mocując się z nim, przyprowadzono przed dom Schmidta. Tu już nie bronił się, ani szamotał. Skoro zobaczył, że pożar ustał, że ci, których sądził nieżywymi, żyją, że wspólnicy jego teraz groźne pięście przeciw niemu podnoszą, widział, że niema nadziei

uratowania się i poddał się w ponurem milczeniu losowi.

Oburzenie na niego było tak wielkie, że skoro tylko się pojawił, rzucono się ku niemu i poczęto bić, szarpać, kopać. Kto wié, czy-by nie skończył był pod razami robotników, gdyby nie Adolf, który, widząc to, poskoczył w środek roznamiętnionego tłumu i, odpychając rękoma napastników, zawołał gromkim głosem:

— Stójcie! precz od niego! Jakiém prawem go bijecie?

— To łotr! podpalacz! udusić go! — wołano zewsząd.

— Jeżeli zawinił, sąd go ukarze. Wy, gdybyście to uczynili, byli-byście tylko zbrodniarzami. Wy nie macie prawa sądzić i karać. Ten człowiek może być niewinny.

— On niewinny!... — Głośny, ironiczny śmiech zatrząsł piersiami wszystkich, i znowu chciano rzucić się na niego. Chcieli tego szczególniéj ci, którzy niedawno jeszcze byli jego wspólnikami. Obawa, by ich nie wydał, podsuwała im myśl zatłuczenia na miejscu starego mruka.

Ale Adolf nie dopuścił tego; własną piersią zasłaniał ponurego, milczącego zbrodniarza i z pomocą kilku ludzi udało mu się przeprowadzić go przez wzburzone tłumy do sieni.

Tu dopiéro rozpoczęto z nim śledztwo, któremu Adolf nie był przytomny. Wrócił on do robotników, podziękować im za pomoc w ugaszeniu pożaru i uspokoić ich, a zarazem usiąść z nimi do wspólnéj uczty.

W pół godziny potém przybył także ojciec do niego.

— I cóż? przyznał się? — spytał Adolf.

— Przyznał. Słusznie nie cierpiałem tego człowieka. Była to żmija, która milczkiem kąsała mię za moje dobro.

— I cóż z nim myślisz zrobić, ojcze?

— Oddam do sądu, skoro tylko będzie można go przewieźć. Dziś niepodobna. Zbity jest okropnie. Trzeba nawet obawiać się o jego życie. Cały czarny ad razów. Nie chciał-bym, żeby umarł. Potrzebny będzie bardzo do śledztwa. Wygadał się bowiem, że to nie on sam robił. To była formalna zmowa. Kto wie, jak-by się było skończyło, gdybyśmy nie byli uprzedzili niezadowolonych podwyższeniem płacy. Tobie za to muszę podziękować, Adolfie. Zwalniam cię już z procentu, który sobie zastrzegłem z mojego ustępstwa dla ciebie. Wrócił nam się sowicie procent z kapitałem.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

XII.

Po powrocie z owéj tajemnéj, nocnéj wycieczki, baronówna dziwnie się zmieniła. Trzpiotowata i lekka przedtém, teraz spoważniała, zamyślała się często. Oprócz innych powodów téj zmiany, był jeden główny. Zofia podczas uroczystości w fabrykach miała sposobność przypatrzyć się z blizka życiu czynnemu, pracowitemu dwóch ludzi, którzy sami przez się umieli stworzyć dla siebie i dla tysiąca biednych źródło zarobku i bytu. Porównywała ich życie ze swojém i z życiem tych, co ją otaczali, i widziała ogromną różnicę. Przekonała się, że w porównaniu do fortuny, jaką posiadali, do stanowiska, jakie zajmowali — nic prawie nie zrobili dla drugich; że życie ich całe, pomimo idealności pozornéj, było tylko wegetowaniem samolubów. To ją gryzło, martwiło, bolało, to sprawiało jéj niezadowolenie i czczość. Nieraz w takich chwilach zrywała się, kazała siodłać konia i wyjeżdżała to do ochronki, to do wioski; tam zaglądała do chat, sypała hojną ręką datki dla biednych, pomagała do polepszenia gospodarstwa, sprawiła dzieciom nową odzież i tym podobne czyniła dobrodziejstwa. Ale po kilku tygodniach przekonywała się, że jéj czyny przepadały w ogólnej nędzy i niedbalstwie, jak krople wody w piasku, bez śladu, nie widziała owoców swoich usiłowań, i to ją zniechęcało, niecierpliwiło. Gniewało ją, że ona, dziedziczka bogatych włości i majątku, chcąc zrobić ludziom dobrze, nie umié; że dwaj fabrykanci, ludzie bez przeszłości, bez imienia, bez

stosunków, znaczą więcéj w społeczeństwie, niż ona, że praca ich dla tych łudzi tak błogie wydaje owoce. Nie umiała sobie téj wątpliwości rozwiązać, i nikt nie umiał jéj tego wytłómaczyć, że tylko systematyczna, ciągła praca z pewnym planem i jasną dążnością podjęta, jest produkcyjną, że jałmużna nie jest dobrodziejstwem, a oderwane chwilowe napady dobroczynności są podobne do gwałtownych burz letnich, które obfitą ulewą więcéj nieraz szkody, niż pożytku, przynoszą.

Te trapiące myśli o nieudolności własnéj prześladowały ją i nie dawały jéj spokoju. Nieraz napadała ją chęć cały majątek zapisać na dobroczynne cele: pozakładać szkoły, szpitale, a saméj iść do służby. I kto wié, czy-by nie ziściła była tych szalonych projektów, gdyby majątek miała w swych rękach.

Ale Zofia zostawała jeszcze pod opieką barona, on zarządzał majątkiem, który miała po matce, i była pewną, że rozśmiał-by się z jéj planów i nigdy-by nie pozwolił na ich urzeczywistnienie. Musiała więc trzymać w sekrecie pomysły swoje i nie spowiadała się z nich przed nikim, wiedząc, że ją-by wyśmiano.

— A jednak tak żyć niepodobna! — mówiła do siebie niecierpliwie. A przecież tyle lat żyła tak, przecież i dawniéj widziała koło siebie nędzę, nieszczęście, i pozwala im spokojnie istniéć obok siebie, żyjąc sama swobodnie, wesoło, zbytkownie. Cóż ją tak nagle zmieniło? co jéj otwarło oczy? Może nie umiała-by na to odpowiedziéć, może nie zdała jeszcze sprawy z tego przed sobą samą. Wyręczymy ją przed czasem i powiemy czytelnikom to

czarowne zaklęcie, co zdziałało przemianę, odsłonimy ten talizman, co piersi jej nowem ożywiał życiem i przeczytamy imię, które niewyraźnie zarysowało się na niem. Imię to: Adolf.

Baronówna sama nie domyślała się jeszcze, jak to imię zaciężyło jej na sercu. Zdawało się jej, że tylko zasługi tego człowieka tak ją zajmowały, opętały prawie i zachęcały do naśladowania. Tymczasem rzecz się miała inaczej. Zasługi, choćby nierównie większe, niż te, które położył Adolf, przeszły-by pewnie niespostrzeżenie przed jej oczyma, gdyby ich dokonał człowiek inny, który-by jej nie obchodził. Nie czyny, ale osoba przemówiła do niej i pociągała ją za sobą. Zofia podjęła szlachetną rywalizacyą, siliła się sprostać mu, bo chciała go być godną.

Taka była geneza jej odrodzenia; nie wiedziała jeszcze o tem, jak dziecię w dniu urodzin nie wić, kto mu dał życie. Świadomość ta przychodzi później dopiero.

Obecnie zdradzała się tylko tem, że Zofia była ciekawą wieści z fabryki Schmidtów. Na przekór jednak jej życzeniom, wieści nie było żadnych, gdyż Salusia od tego czasu nie pokazała się w ochronce. Doniesiono baronównie, że pielęgnuje chorego ojca, który leży zamknięty w śpichlerzu i pilnie jest strzeżony. Z obawy, aby przez córkę nie porozumiewał się ze wspólnikami, strwożono ją także i nie pozwalano jej mieć styczności z ’ ni.

W taki sposób Zofia przez kilka tygodni nic a nic nie słyszała o Adolfie, nie miała nikogo, z kimby o nim rozmawiać mogła. Kilka razy zaczynała o nim rozmowę z Jerzym i z wujem. Ale wuj ograniczył się do kilku ogólnych

pochwał dla młodego człowieka, a od Jerzego dowiedziała się tylko, że się poznał z Adolfem w Paryżu, że wtedy Adolf poświęcał się malarstwu, a potem obrał sobie zawód techniczny.

Ta ostatnia wiadomość dużo jej dała do myślenia. Porzucił malarstwo, a obrał sobie zawód techniczny. Dlaczego? Człowiek taki rozsądny i szlachetny nie zrobił tego bez powodu. Porzucił sztukę dla rzeczywistości. Zofia usiłowała odpowiedzieć sobie na to pytanie. Rozmyślanie nad tem rozwijało nadzwyczajnie jej umysł, naprowadzało na wiele głębokich prawd, nasuwało jej wiele pytań innych, któremi w podziwienie i kłopot wprawiała otaczających.

I tak, jednego razu, gdy baron był zajęty zawieszaniem jakiegoś krajobrazu, który mu świeżo nadesłano z monachijskiej wystawy, Zofia przyszła do niego i, oparłszy się o poręcz krzesła, machinalnie przypatrywała się jego robocie. Myśl jej widocznie czem innem była zajęta. Po chwili zapytała poważnie barona:

— Mój wuju, powiédz mi, dlaczego my właściwie żyjemy na świecie?

Baron spojrzał na nią zdziwiony, jak na waryatkę. Pytanie wydawało mu się nadzwyczaj dziwaczném. On nigdy jeszcze nie uczynił sobie podobnego pytania, to téż nie umiał na nie odpowiedzieć.

— Dziwna z ciebie dziewczyna... na co?... hm... na co?... abyśmy żyli i drugim dobrze czynili.

— A ci, którzy nie mogą czynić dobrze, dlaczegóż ci żyją?

— Ależ uwzięłaś się, moja kochana, z takiemi

pytaniami! Nie wiedzieć zkąd ci one przychodzą do głowy.

— Bo chciała-bym wiedzieć, dlaczego żyjemy, a wtedy-bym wiedziała, jak żyć.

— Alboż ty źle żyjesz, moje dziecię? Jesteś dobra, posłuszna, uczynna, robisz tyle dobrego dla biednych. Sumienie nie powinno ci nic wyrzucać w tym względzie.

— Otoż właśnie, że wyrzuca. Robię dobrze biednym, ale przez to bieda nie zmniejszyła się na świecie, nie znikła nawet z naszéj niedużéj włości. Więc musi być inny sposób zaradzenia temu.

— Powinni pracować.

— A dlaczegóż my nie pracujemy?

— Jakto nie pracujemy? Czy nie widzisz nas ciągle zajętych: mnie, Jerzego, Maurycego, choć wszyscy jesteśmy w tym stanie, że mogli-byśmy nic nie robić.

— No tak, to prawda, że robimy, Ale eo świat ma z tej naszej pracy? Ty, wuju, zajmujesz się ogrodem, sztukami pięknemi, skupujesz obrazy — dajesz więc zarobek wielu ludziom. Ale, naprzykład, pan Maurycy pisze, Irenka śpiewa, Jerzy komponuje — to prawda; ale jaka korzyść z tej ich pracy? co świat ma z tego?

— Jakto co? Sztuka podnosi narody, uszlachetnia, cywilizuje.

— Tak, czytałam o tem; ale w życiu nie widziałam tego nigdy prawie. Najczęściej lichy obraz lub słaby wierszyk rozpalał ludzi do czynu, zachęcał do modlitwy. Arcydzieła więcej bawiły ludzi, niż podnosiły. Naprzykład ten obraz, który teraz wieszasz, wuju: powiedz mi, czem on podniesie ludzi, uszlachetni? Dlaczego malarz namalował starą, pół-

zapadłą chatę, nędzę?

— Może, żeby tkliwe serca pobudzić do litości.

— A tobie przyszła taka myśl litośna, wuju, gdyś patrzał na ten obraz?

— Ależ, moja droga, przestań-że raz zadawać mi tak dziwne pytania! Zkąd u ciebie coś podobnego się wzięło? Pewnieś do jakiej przemądrej filozofii dorwała się w biblioteczce.

— Nie, kochany wuju; pytania te wysnułam sobie sama z jednego pytania, które sobie kiedyś zadałam, i rada-bym, żeby mi kto na nie odpowiedział; bo z tego, co sama widzę, nabrałam przekonania, że my żyjemy tak, na oślep, bezmyślnie; że robimy dużo rzeczy niepotrzebnych, uczymy się dużo niepotrzebnych rzeczy, które zwyczaj podniósł do pewnej godności i przywiązał do nich pewną wagę, jak nasz szwajcar, Jan, do swojej laski urzędowej; że otaczamy się wielu drobnostkami, bez których moglibyśmy się obejść łatwo. A natomiast zaniedbujemy wielu rzeczy ważnych, istotnych, które stanowią rdzeń życia i wiodą do celu. Otoż mnie właśnie idzie o ten cel, o proste drogi do niego.

— Moja Zosiu, zostaw te łamigłówki filozofom.

— Ja też nie mam pretensyi do ich rozwiązania; ale chciała-bym, aby mi kto podał rozwiązanie, do którego-bym mogła życie zastosować. Pytałam się o to Jerzego, Maurycego, ale mnie zbyli śmiechem, lub mówili mi tak mglisto, niepewnie, że poznałam z tego, iż oni sami w tem niepewni. Miała-bym jeszcze ochotę spytać tego pana... Szmitowskiego; to podobno bardzo wykształcony i czynny

człowiek. Nie prawdaż?

— Ależ nie rób-że dzieciństwa. Gotów się roześmiać; weźmie cię za dziwaczkę, której się w głowie przewróciło.

— Nie, on tego nie zrobi — odrzekła ze stanowczością. — I dlaczego? Czyż ma prawo śmiać się z nas człowiek, którego pytamy o drogę? A ja tylko drogę chcę wiedzieć. Nie wiesz, wuju, czy on tu będzie u nas?

— Powinien-by... obiecał. Mam mu podziękować za twoje storczyki i w wielu rzeczach poradzić się jeszcze. Jerzy miał podobno list od niego, w którym donosi mu, że w tych dniach będzie, że jakieś ważne czynności wstrzymywały go dotąd.

Zofii ta wiadomość widocznie była przyjemną, bo rozpogodziła jej twarz zasępioną. Chodziła czas jakiś po pokoju, potem zbliżyła się znowu do barona, który, nadelektowawszy się obrazem, otrzepywał teraz z kurzu biust Nerona, arcydzieło jakiegoś włoskiego dawniejszego rzeźbiarza. Promień słońca, który przez roletę wcisnął się do pokoju, oświecił przepysznie głowę. Baron unosił się nad grą światła na rysach posągu.

— Patrz — mówił do Zofii — ile tu życia, jaka przepyszna gra muskułów! Artysta, który stworzył to arcydzieło, od kilkuset lat w grobie, a dzieło jego mówi wciąż do ludzi, żyje. Piękno, które wlał w ten marmur, myśl, którą nim wyraził. Bóg wić, ile lat będzie się odzywać z tego posągu i zachwycać ludzi. Widzisz, czem jest sztuka. Sztuka — to nieśmiertelność.

Zofia słuchała go niby uważnie, ale nie słyszała nic z tego, co mówił; myśl jéj czem innem zajęta była, i w chwili,

kiedy baron oczekiwał od niéj potwierdzenia swego zdania, ona niespodziewanie zagadnęła go:

— Powiédz mi, wuju, dlaczego ty nie zakładasz fabryk w swoich dobrach?

— Zosiu! co ty dziś nie wygadujesz! Zkąd tobie znowu fabryki przyszły do głowy?

— Powiadają, że tam, gdzie są fabryki, podnosi się dobrobyt ludu, cywilizacya jego. I wistocie, fabryki muszą być dobre, bo nietylko, że korzysta z nich kraj, że przemysł się rozwija, ale i mieszkańcy znajdują stały zarobek; a to ważna rzecz przecież. Gdybyśmy tu mieli fabryki, lud nie cierpiał-by takiéj nędzy na przednówku, jaką teraz cierpi.

— Fabryki? tu, u mnie? — rzekł baron — przenigdy! Małoż macie tych fabryk? A toż spójrzyj po naszéj okolicy. Wszędzie, zamiast dawnych zamków, sterczą kominy fabryczne, które poprzerastały wieże kościelne. Fabryki zadymiły nam, zaczerniły naszę piękną ustroń, wytrzebiły lasy; wszelkiego rodzaju exploatatorowie poryli nam, jak krety, nasze łany zielone, zasypali je żużlami i węgłem, najpiękniejsze widoki oszpecili woalami kolejowemi i słupami telegraficznemi, gorączka złota i przemysłu wydała śmiertelną wojnę pięknu i sztuce, i wszędzie je niszczy, tępi, wypiera. Co nie przynosi zysku, to niepotrzebne. Duch niech z głodu umiera, byle-by ciało miało swoje wygody. I oni to nazywają cywilizacyą! Dopóki ja żyję, taka cywilizacya nie wejdzie tutaj; chronić będę od niéj ten mój zakątek, niech przynajmniéj tu u siebie żyję po dawnemu, otoczony tém, co piękne, wzniosłe, co mi przypomina nieśmiertelność, bozkość. Starożytni mieli gaje, poświęcone

bogom, do których ludziom wzbroniony był przystęp; — moje dobra będą rodzajem gaju, poświęconego poezyi, sztuce, i żaden komin fabryczny, pod karą świętokradztwa, nie wejdzie do nich.

— Nie przeczę, wuju, że dusza nasza, że uczucie, a wreszcie zmysły nasze potrzebują swego pokarmu, potrzebują się czémś pokrzepić, odżywić, podnieść. Ale idzie o miarę, o pewną proporcyą przyjemności do pożytku, ażebyśmy nie mieli za wiele, gdy inni mają za mało, albo nic. Jaką objętość ma Zalesie?

— A tobie na co to wiedzieć?

— Odpowiem ci, skoro mi powiesz.

— Sam nie wiem dokładnie. Zdaje mi się, że dwa tysiące morgów ornego pola, a cztery tysiące lasu.

— Więc aż taki obszar ziemi zajmuje nas kilkoro, podczas gdy inni nie mają nic. Taki obszar dla wygody kilku ludzi, a inni nie mają tysiącznej cząstki tego na konieczne potrzeby.

— Jak widzę, panna Zofia została komunistką. Może masz zamiar wywłaszczyć mnie i rozdać ziemię twoim protegowanym sankiulotom?

— Nie było-by to przecież nic złego, kochany wuju. Jednak nie o tem myślałam. Chciałam cię tylko spytać, dlaczego, mając takie obszary ziemi, nie chcesz cząstki małej odprzedać Schmidtom?

— Więc do tego zmierzamy! Schmidt, nie mogąc nic wskórać u mnie, ciebie wziął za protektorkę.

— Omyliłeś się, wuju, w domysłach. Nie znam wcale tego człowieka; ale, rozmawiając wczoraj z rządzcą o tem,

przypadkiem dowiedziałam się, że stary Schmidt kilka razy już robił ci korzystne propozycye względem nabycia kilkuset morgów dla rozprzestrzenienia swych fabryk. I czemuż nie chcesz przystać na to?

— Baron nie sprzedaje, bo nie chce uchodzić za bankruta — odrzekł nieco napuszyście. — Darować mógł-bym, ale darować nie chcę fabrykantowi, który podstępnym sposobem wślizgnął się w środek moich posiadłości i zapowietrzył okolicę fabrycznym dymem.

— A jednak na takiem rozprzestrzenieniu fabryk zyskało-by Zalesie. Ludzie z naszej wsi znaleźli-by tam zarobek. Przytém, jak słyszę od Salusi, Schmidt nietylko na fabryki potrzebuje tego lasu: chce on tam założyć szkołę, szpitale. Czyż takich poczciwych zamiarów nie powinniśmy wspierać?

— Ty wierzysz w uczciwość tych spekulantów? Zakładać chce szpitale, bo go dużo kosztuje utrzymywanie chorych robotników w mieście.

— Jakkolwiekbądź, zawsze to dobrze z jego strony, że pamięta o swoich robotnikach, że chce im uprzyjemnić ich los. A my, co powinniśmy wspierać takie cele, bo mamy możność po temu, bo urodzenie i stanowisko obowiązuje nas do tego, my właśnie przeszkadzamy.

— Jakto? więc chcesz, żebym kilkaset morgów najpiękniejszego parku, urządzonego z takiém staraniem, oddał na łup siekiery tych fabrykantów? bym twoję Zofijówkę otoczył kominami i zadymił sadzami? Czy ty pomyślałaś, co-by to było?

— Może spokojniej-bym czas tam przepędzała przy

turkocie machin, niż teraz wśród ciszy, w której nieraz napada mnie dziwny niepokój, gdy myślę, że jestem szczęśliwą kosztem tylu nieszczęśliwych, że jest mi dobrze na świecie, a tylu cierpi przeze mnie. Czy sądzisz, wuju, że, myśląc o tém, można się bawić przyjemnie? o! nie. Wspaniałe cienie alei parku straszą mnie wtedy, drzewa patrzą na mnie groźnie, w szeleście ich zda mi się słyszéć wyrzuty i skargi. Jeżeli więc o mnie tu tylko chodzi, to nie przykrość, ale dobrodziejstwo mi zrobisz, pozbawiając mnie tego kawałka ziemi.

— Nie, nie! to być nie może. Ani piędzi ziemi nie ustąpię. Nie proś mnie, nie mów mi nigdy o tém, jeżeli nie chcesz psuć mi humoru. Dopóki ja żyję, Schmidt nie wejdzie w te poświęcane gaje!

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

XIII.

Dziwne usposobienie Zofii zwróciło nawet uwagę Ireny i Maurycego, pomimo że ci tak byli sobą zajęci, iż zdawało się, że ich cały świat zresztą nie obchodzi. Jednego dnia po obiedzie, siedząc koło fontanny, rozpoczęli o tém rozmowę.

— Czy uważasz pan — spytała Irena — jak Zosia zdziwaczała od pewnego czasu? Marzy wciąż o jakichś filantropijnych instytucyach, czuje się niezadowolnioną, nieszczęśliwą, i nieraz tak niezwyczajne, potworne robi pytania, że zaczynam się obawiać o nią. Matka jéj skończyła podobno w zakładzie obłąkanych.

— Nie obawiaj się pani tego. Jest to stan chorobliwy, ale bardzo naturalny w tym wieku, jak odra u dzieci. Mnie się zdaje, że każda z pań przechodzić musi przez tę psychiczną chorobę.

— Pan znasz się na naszych chorobach? — spytała napół ze śmiechem Irena.

— Nie jak lekarz, ale jak obserwator — odpowiedział tym samym tonem Maurycy. — Otoż zdaje mi się, że panna Zofia jest w epoce przejściowej, w chwili, w której serce zaczyna dopominać się o swoje prawa — chce kochać. Pragnienia tego serca są jeszcze nieokreślone; bezwiednie szuka ono sobie przedmiotu, jak samouczek tonu po klawiszach. Chce najprzód kochać wszystko: naturę, ludzkość, bezmiar. Później, wśród tego chaosu uczucia, zjawia się siódmego dnia twarz człowiecza, i serce wstępuje z nim do raju miłości; od panteizmu przechodzi się do

monoteizmu.

— Szczęśliwy to лviek — rzekła Irena, poważnie się zamyślając. — Szkoda tylko, że niecierpliwość, czy ciekawość, skraca nam te chwile bezwiednego marzenia, nieokreślonych pragnień. Spieszymy się, by przebyć coprędzej tych siedm dni, i potem dopiero przychodzimy do przekonania, że lepiej było się spóźnić, niż dojść, choćby dlatego, że potém już wrócić nie można.

— Nie można? Dlaczego?

— Dlaczego? Bo, wybrawszy raz, nie można już wybierać powtórnie; a wybór często wypada bardzo fatalnie.

Ostatnie słowo wypowiedziała tak cicho, że zginęło niewyraźnie w szumie szeleszczącej fontanny. Maurycy jednak pochwycił ten delikatny ton głosu, zanim utonął w szeleście wody, pochwycił go więcej sercem, niż uchem, i rzekł, nie patrząc na Irenę:

— Czyż pomyłka ma być wyrokiem śmierci? Czyż nie można naprawić jej?

— Bez grzechu nie można.

— Co u pani nazywa się grzechem?

— Spytaj się pan o to katechizmu.

— Katechizm powiada, że to, co sprzeciwia się przykazaniom Bozkim i kościelnym. Ale w przykazaniach niema tego, żeby kobieta pomyłkę w wyborze opłacała szczęściem całego życia, by uczucie jej, dlatego, że, wybierając z zawiązanemi oczyma, chwyciło kamień zamiast kwiatu, miało być skazane na wieczną pokutę.

— Jej wina, że nie umiała odróżnić kamienia od kwiatu.

— I za tę chwilową pomyłkę, za to złudzenie jednego zmysłu, ma cierpieć ona i ktoś trzeci?

— Czem pan mnie przekonasz, że cierpi? Cierpienie jego może być równie pomyłką — rzekła Irena ledwie dosłyszanym głosem.

Pytanie to musiało ją wiele kosztować, bo, zdobywszy się na nie, przygryzła nagłe wargi, jakby spostrzegła się i chciała zatrzymać resztę słów.

W roztargnieniu deptała bezwiednie białą lilią, co rosła na brzegu gazonu, otaczającego fontannę.

— Masz pani słuszność; to także może tylko pomyłka, że on cierpi. Pomyłka gruba. Zdawało mu się, że trafił na duszę siostrzaną, na zgubioną połowę siebie samego, a znalazł...

— Dokończ pan. Jestem pobłażliwą.

— Znalazł kobietę, która umie wyciągać sztucznie cudze serca, jak struny, by się dowiedzieć, jaki dźwięk wydadzą.

— Jesteś pan niesprawiedliwym, panie Maurycy — rzekła z wyrzutem, w którym boleść czuć było.

— Nazwij pani sama ten rodzaj zabawki, jaki wybrałaś sobie.

— Po odpowiedź muszę pana odesłać znowu do katechizmu.

— Dbasz pani zbytnie o zbawienie własne, nie myśląc o tem, że okupisz je zgubą innych.

— Dlaczego ma się gubić? — Cóż mu zostaje?

— Walka, walka z tem, czemu Bóg i ludzie nie dali-by rozgrzeszenia.

— Więc mam zabić własnemi rękoma uczucie, które dziś

dla mnie jest wszystkiem? Jakiem prawem? To uczucie żyje, ono domaga się ode mnie bytu, opieki; czyż mogę więc zdusić je własnemi rękoma?

— Pomyśl pan, że uczucie to jest nieprawe.

— Kodex karny zarówno morderczynie dzieci prawych i nieprawych nazywa zbrodniarzami. Zastosuj pani to prawo tutaj, a może nie będziesz mnie zmuszała, bym został zbrodniarzem. Pani milczysz? — odezwał się po chwili, topiąc w niej głębokie spójrzenie i nachylając się ku niej.

— Milczę, bo się boję pańskiego katechizmu i pańskiego kodexu. Masz pan dziwny dar przekonywania — na chwilę.

Słowa te powiedziała umyślnie lekko, wesoło. Była to jedyna tarcza, pod którą chowało się jej serce przed pokonywającą siłą jego słów i spojrzeń. Czy nie zrozumiał tego i obraził się lekkim tonem jej mowy, czy też nie chciał być zbyt natarczywym — nagłe zmienił przedmiot rozmowy i ton jej i rzekł:

— Pozwól mi pani cieszyć się tym chwilowym tryumfem, jak aktorowi oklaskiem, i spuśćmy zasłonę, zanim entuzyazm publiczności przeminie. Publicznością jesteś pani. Po chwilowem wzruszeniu, w jakie cię wprawiła tragedya serca, przedstawiona przeze mnie, wdziewasz pani salopkę i wychodzisz teraz z teatru, rozmawiając o potocznych rzeczach. Ja, również rozebrawszy się z szat nieszczęśliwego kochanka, przybliżam się do pani na schodach teatru w roli zwykłego przyjaciela domu i pytam: jak się sztuka podobała?
a potém o nowinki i plotki miejskie; to nierównie zabawniejsze, niż sztuka. Nie prawdaż?

Irenę dotknął ironiczny, uszczypliwy ton, na jaki Maurycy skręcił ich rozmowę. Nie chciała jednak dać tego poznać po sobie i, nastrajając się do tego tonu, rzekła:

— Więc czekam pytań o te nowinki.

— Naprzykład: co słychać w miasteczku? Co mówią astronomowie o komecie, która ma pobóść naszę ziemię? O czém piszą teraz gazety, sprawozdania literackie?

— Na to ostatnie pytanie mogę panu szeroko odpowiedzieć. Czytałam właśnie rozbiór krytyczny pańskiego poematu.

— Pewnie jaki kancelista-literat scyzorykiem pokrajał go bez litości w kawałki? — spytał lekceważąco i dumnie Maurycy.

— Owszem; krytyka cała jest sprawiedliwym hymnem pochwalnym, z entuzyazmem i gorąco napisana.

Maurycy przyjął to na pozór obojętnie, w milczeniu, jednak w twarzy jego zdradzało się pewnie zadowolnienie.

— Czy masz pani tę gazetę, w któréj jest ta, oda, czy téż hymn? — spytał do chwili.

— Mam ją przy sobie.

To mówiąc, dobyła z kieszonki wycinek z gazety. Maurycy, biorąc go od niéj, uśmiechnął się ironicznie.

— Co pana tak rozśmiesza? — spytała.

— Bo pani, jak doktor: dając mi przed chwilą gorzkie lekarstwo do wypicia, przygotowałaś zaraz karmelek.

Cierpki humor poety przechodził już w kłujące szyderstwo, w zjadliwość. Rozwinął gazetę i czytał. Pochwała widocznie nie musiała zadowolnić go zupełnie, bo skrzywił się nieznacznie i rzucił pogardliwie pismo na

stół.

— I to pani nazywasz hymnem? — spytał drwiąco Ireny. — Ja-bym to wolał nazwać poetyczną elukubracyą jakiegoś studenta. Oklepane frazesy, i nic więcéj... Wartoż być poetą, by zdobywać sobie takie wieńce!... Pani to mam do zawdzięczenia, żem się dał namówić na publikacyą mojego poematu.

— Czyż tak źle zrobiłam, — spytała dotknięta już trochę Irena — że skłoniłam pana do wzbogacenia literatury naszéj tym poematem?... Czyż godzi się ludziom talentu zakopywać skarby ducha w tece lub w duszy i nie podzielić się z nikim?...

— By potém zdobyć sobie takie zaszczytne uznanie... — odezwał się znowu uszczypliwie Maurycy, odtrącając gazetę na bok.

— Panie Maurycy, tak się nie godzi mówić. Artykuł ten, przyznaję, jest słabą nagrodą za to, co zrobiłeś, publikując twój utwór. Ale pomyśl pan sobie, ile przez to dusz nakarmiłeś, podniosłeś, wzmocniłeś... a nie będziesz żałował swego postępku.

— Gdybym w to wierzył, to może. Ale czy pani sądzisz, że dziś ludzie umieją się entuzyazmować?... Poezye czytają się dziś po kawie, lub przed pójściem spać, w chwilach wolnych od najlichszych zatrudnień. Dawniej poezya była ludzkości boginią, dziś stała się służącą, która podczas rozbierania lub ubierania bawi swoję panią opowiadaniem bajek. I wartoż dla takiéj nagrody ściągać myśl z wyżyn, po których buja, zaprzęgać ją w jarzmo rytmu i pędzić na służbę między ludzi?

— Wyobrażasz sobie pan świat okropnie, potwornie... A przecież muszą być na tym świecie ludzie, którzy tęsknią za słowem, co z wyżyn natchnienia ich doleci, którzy umieją czuć, zachwycać się...

— Sądzisz pani po sobie; ale tacy, jak pani, do wyjątków dziś należą.

— Więc pan wątpisz o potędze poezyi, o konieczności jéj i potrzebie dla ludzi?

— Prawie wątpię...

— To musi być okropne takie zwątpienie... Miéć w sobie zasoby ognia świętego i nie wierzyć, że on ogrzać może...

— Źleś mnie pani pojęła. Wierzę w siłę tego ognia, ale nie chcę, by przy nim gotowano sobie kawę lub rosół, lub papierosy od niego zapalano. A dziś ludzie prawie do podobnych usług chcieli-by sprowadzić poezyą. Wole więc to natchnienie, co czuję w sobie, zamknąć w piersi; niech się tam doczeka raczej staropanieństwa, niż żeby miało iść, jak niewolnica, na targ i bawić łudzi, lub zostać u nich pomywaczką.

— Przypuśćmy, że pan masz słuszność co do obecnej chwili; ależ pieśń nie zginie razem z nami; dla tych, co po nas przyjdą, będzie ona gwiazda przewodnią.

— Więc dla tego niepewnego zwycięztwa za grobem mam poświęcić życie?...

— Iluż geniuszów tak zrobiło? Zapoznanym za życia świat stawiał potem posągi.

— Jesteś pani w tej chwili podobną do Laury Kordyana, która obiecuje mu w przyszłości złote góry, dlatego tylko, aby w obecnej chwili nic mu nie dać.

— Różnica tylko w tem, że Laura była wolną... Niech pan o tej różnicy nie zapomina i szczerej życzliwości nie bierze za obłudę. Ja pragnę sławy dla pana, wielkości... i nie pozwolę, byś pan dobrowolnie abdykował z tych zaszczytów i zmarniał w zwątpieniu...

— I obierasz pani do tego sposób,jakiego ogrodnicy używają. Chcąc, aby drzewo wcześniej owoc wydalo, kaleczą je.

— Panie Maurycy! mówiąc tak, nie pomyślałeś, że słowa takie bolą. Gdyby można cierpieć za dwoje, ja prosiła-bym Boga, by mi wolno było cierpieć za pana... tak pragnę szczęścia i spokoju dla pana.

— I prócz tych idealnych pragnień, nie możesz pani niczem ulżyć moim cierpieniom?...

Po chwili wewnętrznej walki, która odbiła się jak w zwierciadle na jej twarzy, Irena odrzekła:

— Niczem...

— A więc ja sam będę probował ratować się...

— W jaki sposób?...

— Nieco praktyczniejszy, niż ten, który mi pani ofiarujesz. Odjadę...

Zerwała się nagle na te słowa i rzekła z siłą, przez którą przebijała prośba:

— Pan tego nie zrobisz.

— Dlaczego?... Czyż chciała-byś pani, żebym jak ćma rzucał się w ogień i palił powoli skrzydła i dobrowolnie skazywał się na męczarnie?...

— Wszak sam mówiłeś niedawno... przypomnij pan sobie, że tu, u nas, (nie śmiała powiedzieć: przy mnie)

doznajesz uczucia łagodnego, które cię uspokaja, podnosi...

— Bo nie obudziło się jeszcze wtedy we mnie inne uczucie, palące, nurtujące po krwi, jak zjadliwy gad, szarpiące nerwy... Wiesz pani, jak się nazywa to uczucie? — spytał gwałtownie, namiętnie.

— Przecież nic miłość, bo-by to była miłość okropna!... — szeptała jakby do siebie Irena zmęczonym głosem.

— Nie; ale przyrodnia jej siostra... zazdrość... Więc pani nie domyśliłaś się, co za piekło czuję w sobie, gdy patrzę na wasze pieszczoty, gdy widzę cię opartą na jego ramieniu, gdy słyszę z drugiego pokoju odgłos pocałunków...

— Panie Maurycy, zapominasz, do kogo mówisz — rzekła, zbierając całą siłę ducha, na jaką stać ją było w obecnej chwili.

— Musiałem to powiedzieć, aby się wytłómaczyć pani, dlaczego odjeżdżam.

— Nie, nie! pan nie odjedziesz... ja na to nie pozwolę! — rzekła gwałtownie.

— Pani lubisz patrzeć na cierpiących...

— Samolubny pan jesteś. Myślisz tylko o sobie... Czy sądzisz pan, że tylko ty jeden cierpisz?...

Zasłoniła twarz rękoma ze wstydu, że to powiedziała. Chwilę trwało milczenie, wśród którego oboje mierzyli głębokość przepaści, w którą wchodzili. Pierwsza przemówiła Irena. Nie patrząc na niego, trzymając jeszcze ciągłe ręce na twarzy, spytała go:

— Czy będziesz pan miał siłę odjechać teraz?

— Zostanę — odrzekł skruszonym głosem i, wziąwszy jéj rękę, przycisnął w milczeniu do rozpalonych ust.

Tak się skończyła rozmowa o dziwaczném usposobieniu Zofii.

Co robił mąż w téj chwili?

Jerzy pisał muzykę do „Elektry“ Sofoklesowéj. Kończył właśnie pieśń, którą Elektra rozpala słabnącą odwagę Oresta i popycha rękę jego do strasznego ciosu. Miejsce, w którém Elektra mówi o wiarołomstwie matki, o okropnéj śmierci ojca, nabierało w melodyi niesłychanéj grozy i siły. Jerzy zadowolniony był z tego ustępu. Pozostawało mu jeszcze zrobić pewne zmiany w instrumentacyi. Poprawkami temi zajął się tak gorliwie, że nie uważał nawet, ani słyszał, iż ktoś zajechał przed ganek.

Był to Adolf. List Jerzego, w którym baron dopisał się, przypominając mu przyrzeczoną wizytę, skłonił go do przyjazdu. A może był i inny powód, z którego Adolf sam sobie nie zdawał wyraźnéj sprawy.

Baron był właśnie na balkonie, czytając gazetę. Szczerze ucieszył się z przybycia Adolfa, do którego od piérwszéj chwili uczuł jakąś sympatyą. Był to może ten rodzaj attrakcyi, jaką duchy silniejsze wywierają na słabsze, zwłaszcza, że siła Adolfa objawiała się w sposób nadzwyczaj skromny i delikatny. Nie dawał wcale uczuwać przewagi swojéj i wyższości; uwagi swoje trafne nie tyle dawał, ile poddawał. To baronowi bardzo się podobało — nie lubił bowiem być nauczanym, ani rządzonym.

— Nareszcie! — rzekł ucieszony, wstając na powitanie gościa. — Sądziliśmy, żeś już zapomniał o nas, albo odjechał z tych stron.

Mówiąc mu „ty“, baron chciał okazać życzliwość i

serdeczność. Było to u niego oznaką sympatyi. Tych, których widział obojętnie, tytułował „pan“, lub wyrażał się do nich w trzeciéj osobie.

— Ztęskniliśmy się tu nie na żarty za tobą — mówił daléj, nie czekając na usprawiedliwienie się Adolfa. — Mam do ciebie wiele, bardzo wiele interesów. A i Zosia podobno niecierpliwie czekała na twoje przybycie.

Na to niespodziewanie wymówione imię, Adolf mocno się zarumienił.

— Ale ja — mówił znowu baron — uzurpuję sobie pierwszeństwo i zabieram cię z sobą do ogrodu.

To mówiąc, wziął go pod rękę i zaprowadził w grabową aleję. Tu spotkali przechadzających się Maurycego i Irenę. Oboje sztywno i chłodno przywitali Adolfa. Spojrzenie, jakiém ich obrzucił przy spotkaniu, wydawało im się zbyt śmiałém i natrętném. Może było to złudzenie i uprzedzenie; mętne ich dusze w każdem spokojném i głębokiém spójrzeniu widziały sędziego śledczego i odwracały się od niego. To téż i tutaj, po przemówieniu kilku zwyczajnych frazesów, odeszli daléj. Baron zaś poprowadził gościa nad staw, który miał zamiar rozszerzyć i upiększić. Chciał więc zasięgnąć jego rady. Adolf odznaczył na prędce kontury stawu, doradził, w jaki sposób roboty poprowadzić, i zrobił plan ozdobienia wyspy na stawie. Potém przeszli w inną część ogrodu, przy czem zmienili przedmiot rozmowy. Baron potrącał o różne kwestye i obrzucał ciągłemi pytaniami Adolfa, który dla niego był rodzajem niewyczerpanéj encyklopedyi, jeno gruntowniejszéj i więcéj zajmującéj, niż wszelkie drukowane encyklopedye.

Pociąg do encyklopedycznego wykształcenia leży w naturze naszéj, jest to naszą wadą i zaletą zarazem. Lubimy mówić o wszystkiém i wiedzieć z wszystkiego choćby po trosze. U Adolfa jednak miało to głębsze przyczyny: umysł jego, sprytny, ruchliwy i bystry, nie umiał przejść koło czegoś i nie widzieć, zobaczyć coś, czego nie rozumiał, i nie zbadać, nie wyjaśnić sobie. Był jednym z tych ludzi, którzy nie lubią tego słowa: nie wiem. On chciał wszystko wiedzieć, cokolwiek uderzało jego uwagę. Ta żądza wiedzy tém więcéj się w nim wzmogła, gdy powoli nabierał przekonania,jak ścisły związek zachodzi między temi wszystkiemi naukami, jak jedna drugą wspiera. To też żal mu było podczas pobytu za granicą zmarnować jednę chwilę na zabawy, wygody, przyjemności. Ze ścisłością rachmistrza, oszczędnością skąpca, rachował się z czasem i umiał najmniejszą cząstkę jego spożytkować.

Tej akuratności zawdzięczał, że obok studyów technicznych, którym się specyalnie poświęcał, mógł jeszcze dosyć czasu obrócić na nabycie innych wiadomości, których zasób w takie zdziwienie wprawiał barona.

Baron był także rodzajem encyklopedyi, ale encyklopedyi najlichszego wydania, w której zaledwie tytuły rzeczy i niejasne tu i owdzie uwagi umieszczono. To też rad dopełniał swoje niekompletne wydanie, zwłaszcza, że to przychodziło mu w sposób łatwy i przyjemny.

I dziś przeto gawędka przeciągnęła się z kilka godzin, i dosyć późno przypomniał sobie baron, że i Jerzemu należy się coś z wizyty Adolfa, i zaproponował powrót do salonu.

Zastali tam Jerzego w dobrym humorze. Skończył

właśnie pieśń Elektry i chciał ją usłyszeć w całości.

— Dobrze, że idziecie — rzekł, spostrzegłszy barona i podając rękę Adolfowi na powitanie — będziecie sądzić i krytykować moje dzieło. Żona zaśpiewa je wam. Proszę cię, Ireno.

— To niepodobna; jestem dziś nieusposobiona — odrzekła Irena. — Nie mam chęci. Pieśń twoja straciła-by tylko na tem.

— Ależ to nie będzie popis, lecz próba. Radbym bardzo usłyszeć tę pieśń, jak brzmi w kobiecym głosie. Z mojego śpiewu nie mogę mieć o niej wyobrażenia, bo ja wyję, a nie śpiewam. No, Ireno, proszę cię.

— Mój drogi, uwolnij mnie dziś od tego — odrzekła kapryśnie, z grymasem znudzenia, Irena. — Inną razą chętnie to zrobię. Dziś nie proś mnie napróżno.

— A ja chciałem dziś ostatecznie załatwić się z tą pieśnią — rzekł, zasmucony uporem żony, Jerzy — a jutro pisać dalej.

— Niech pani będzie łaskawą... — wtrącił Maurycy i spójrzeniem poparł prośbę...

— I pan przeciwko mnie? — spytała Irena, już z mniejszym uporem.

— Chęć usłyszenia głosu pani i pieśni usprawiedliwia naszę natręctwo. Tak dawno nie mieliśmy przyjemności słyszeć pani...

Irena, zamiast odpowiedzi, wstała posłuszna i poszła do fortepianu. Przechodząc koło Maurycego, szepnęła zniżonym głosem:

— To tylko dla pana.

Maurycy na podziękowanie uścisnął ją za rękę. Ta powolność Ireny pogłaskała jego miłość własną.

Jerzy, zajęty układaniem nut, nie uważał tej całej sceny; również baron, zajęty nakręcaniem zegarka, nie zwrócił na to uwagi. Ale Adolf, siedzący w głębi pokoju, miał sposobność obserwować Irenę, i to, co widział, naprowadziło go na smutne domysły i podejrzenia; spojrzał na Jerzego, który, uszczęśliwiony powolnością żony, dziękował jej i całował po rękach, i pomyślał sobie: Jerzy jeszcze niczego się nie domyśla.

Rozpoczął się śpiew. Irena miała głos rozległy, metaliczny; wspaniałe, nizkie jego tony nadawały się właśnie do roli Elektry, w śpiewie było coś posągowego, koturnowego, groźnego. Baron zachwycony był śpiewem córki i potęgą kompozycyi.

— Brawo! przecudownie! — rzekł, zbliżając się do Jerzego. — Nigdy styl klasyczny nie był właściwiej użyty, jak w tej pieśni. Muszę ci powinszować tego ustępu. Siłą przypomina wiele Mendelssonowską Antygonę.

Podczas gdy baron rozmawiał z Jerzym, Maurycy zbliżył się do Ireny, która odsunęła się nieco od fortepianu na środek pokoju i rzekł półgłosem: — Dziękuję pani!

— Czy jesteś pan zadowolniony ze mnie? — spytała Irena, topiąc w nim rozmarzone, płomieniste spójrzenie.

— Głos pani obudził mnie. Czuję znowu, że żyje, że potrzebuję tworzyć.

— Jakże jestem dumną i szczęśliwą!...

— Poemat, który w téj chwili pod natchnieniem śpiewu pani przyszedł mi do głowy, będzie nosił twoje imię.

Chciała mu coś odpowiedzieć, gdy w tém Jerzy zbliżył się do niéj z nutami i rzekł:

— Irenko! w ten ustęp musisz wiać nierównie więcéj namiętności i ognia; ot tutaj, od pauzy. Elektra mówi z oburzeniem i pogardą o wiarołomstwie matki. To należy uwydatnić śpiewem. Byłaś tu za łagodną.

— Dobrze, będę okrutną — rzekła ze śmiechem Irena.

— Dla Klitemnestry, a nie dla mnie — rzekł również wesoło, całując ją w rękę. W chwili, gdy schylał głowę, oczy Ireny patrzały na Maurycego i mówiły mu: I w téj chwili pamiętam tylko o tobie.

— Jutro — mówił daléj Jerzy, rozpromieniony i szczęśliwy — rozpocznę aryą Egiata. Rad jestem, że się wziąłem do klasycznego tematu. Rodzaj mojéj kompozycyi najbardziéj mu odpowiada. Czyż nie prawda, Maurycy?

— Co mówisz? — spytał zagadnięty, który w tej chwili najmniej może myślał o tem, co Jerzy do niego mówił.

— Mówię, że dobrze zrobiłem, biorąc dla moich kompozycyi temat klasyczny.

— Tak. Jednak dla opery, która ma iść na scenę, wolałbym jaki nowszy temat, efektowniejszy, dramatyczniejszy.

— Mnie się zdaje, że przedmiot tej tragedyi pozostanie zawsze nowym. Odrzuć marmurową tunikę grecką z Klitemnestry, a zobaczysz kobietę wiarołomną dzisiejszych czasów. To się nie zmienia. Akccsorya tylko inne, rzecz zostaje ta sama.

— Jerzy ma słuszność — rzekł baron. — Nie. dawno nawet czytałem w dziennikach francuzkich zupełnie podobny wypadek. Wprawdzie tam Klitemnestra paryzka

nie zabiła swego Agamemnona nożem, ale go zabiła moralnie, sprzeniewierzając mu się.

— To znaczy, że kazała mu żyć i patrzeć na swoje hańbę. Klitemnestra była litościwszą — odezwał się Jerzy.

— Syn chciał — mówił dalej baron — aby ojciec nie dowiedział się o tem nigdy, i zabił kochanka swej matki i ją samę. Obecnie sprawa ta poszła przed sądy przysięgłych. Paryżanie z niecierpliwością oczekują ich wyroku.

— Gdybym zasiadał w tych sądach, nie bym się ani na chwilę powiedzieć: niewinny! — rzekł Jerzy surowo.

— Zabójca matki niewinny? — odezwała się Irena. — Jerzy, co ty mówisz?

— Kobieta, plamiąca łoże małżeńskie, nie ma prawa odwoływać się do uczuć synowskich. Wiarołomstwem zrzekła się ich — rzekł Jerzy.

Irena zbladła. Podczas całej tej mowy serce jéj było jakby na torturach. Maurycy milczał — nie śmiał wziąć w obronę wiarołomnéj Klitemnestry. Ostatnie jednak zdanie oburzyło go i rzekł:

— Jest to pojęcie niechrześcijańskie. Znać po tobie, że siedzisz w klasycznéj tragedyi.

— Medycyna również jest tak nielitościwą — odezwał się Adolf, mierząc przenikliwem spójrzeniem Maurycego — każe amputować natychmiast części zarażone gangreną, aby ocalić całość. Całością był tu honor rodziny.

Adolf nie całkiem może podzielał surowe zdanie Jerzego; poparł go jednak, by zapewnić moralne zwycięztwo mężowi i podnieść potworność wiarołomstwa.

Maurycy i Irena spójrzeli prawie równocześnie na niego

i odpowiedzieli na jego zdanie — milczeniem.

Milczenie było ciężkie, przygniatające, jak powietrze przed burzą.

Wejście Zofii ożywiło trochę ciężką, duszną atmosferę salonu i przerwało nieznośne milczenie. Pierwszy baron rozpogodził twarz wesołym uśmiechem, skoro zobaczył swoję pieszczotkę.

— Gdzież to nasza Dyana tak długo bawiła? — spytał, całując ją w czoło. — Czołko spotniałe, twarzyczka jak ogień, pewnie znowu pędziłaś na Stelli, jak zwykle, w galopie. No, widzisz^ a obiecałaś mi, że będziesz się szanować.

— Pilno mi było wrócić do was — odrzekła Zofia z przymileniem.

W głosie jej i w ruchach widać było jakiś gorączkowy niepokój, roztargnienie. Wszedłszy, zdawała się nie widzieć Adolfa. A jednak dobrze wiedziała o jego bytności i dlatego лvłaśnie tak śpieszyła do pałacu. Bała się zdradzić, nie śmiała spojrzeć na niego, by z oczu jej i rumieńca nie wyczytał myśli. Dopiero po chwili, gdy się już ze wszystkimi przywitała, oczy jej, niby przypadkiem, zabłąkały się w stronę, gdzie siedział Adolf i skinęła głową, siląc się na obojętny wyraz twarzy.

Adolf nie miał prawa żądać od niej serdeczniejszego powitania: tak mało się znali; a jednak ta obojętność zasępiła mu duszę. Myśląc nieraz o pałacu, Adolf trochę inaczej przedstawił sobie Zofią, nie taką, jaką była w tej chwili. Rzeczywistość nie dopisała nawet najskromniejszym marzeniom, i to go zasmuciło.

Niezadługo po wejściu Zofii, nim jeszcze mogli zacząć rozmowę, wszedł lokaj i przyniósł listy, gazety i paczkę z książkami. Listy były do Maurycego i barona, i ci niezwłocznie zajęli się ich odczytaniem. Jerzy zabrał się do rozpieczętowania paczki z książkami. Adolf więc, zostawiony sam, wziął nuty z fortepianu i przerzucał je machinalnie. Wtem usłyszał obok siebie szelest przewracanych kartek. Zwrócił się w tę stronę i zobaczył Zofią, która, zbliżywszy się do fortepianu, również przeglądała nuty. Adolf z uszanowaniem cofnął się nieco, robiąc jej miejsce. Lecz ona więcej jeszcze zbliżyła się ku niemu i spytała:

— Pan lubisz muzykę?

Pytanie było widać, ot tak, rzucone, dla upozorowania rozmowy, bo, nie czekając wcale na odpowiedź, Zofia, zasłonięta nutami, zmieniła nagle głos i cicho, półgłosem, odezwała się do Adolfa:

— Panie Schmidt, mam do pana wielką prośbę. Nie odjeżdżaj pan, póki nie będę mogła pomówić z panem na osobności.

Prośba i jej ton poufny tak niespodzianie zaskoczyły Adolfa, że odurzony spojrzał na Zofią dużemi oczyma, nie mogąc sobie zdać sprawy z tej nagłej zmiany w jej obejściu. W chwili, kiedy sądził się tak obcym dla niej, dowiedział się, że go zna, że go zna lepiej, niż inni tutaj, że chce z nim mówić na osobności... Rodzaj błogiego, rozkosznego przestrachu owładnął go; doznał takiego wrażenia, jakby go kto oblał pachnącą, letnią wodą; w pierwszej chwili lekkie wstrząśnienie, a potem błogie uczucie ciepła i zapachu

owiało go.

Nim miał czas zdobyć się na odpowiedź, Zofia już odeszła i usiadła przy baronie.

Zaczęła się rozmowa o książkach, które nadeszły. Jędnę z nich wziął Jerzy ze stołu i zbliżył się z nią do Adolfa.

— Najnowszy poemat... radzę ci przeczytać to wśród teraźniejszej posuchy literackiej, to oaza prawdziwa.

— „Nieśmiertelni“? — rzekł Adolf, biorąc książkę do ręki. — Dobrze ją nazwałeś oazą. Formą przypomina w istocie cudowne, urocze, pełne fantazyi i barw oazy, ale tylko formą.

— Jak to, więc znasz już ten poemat? — spytał Jerzy zdziwiony.

— Czytałem go parę dni temu... Ale nie znam pseudonimu. Pseudonim nowy i zupełnie nieznany; tymczasem pióro zdradza pewną i mistrzowską rękę... Czy nie wiesz, kto autorem?

— Nie wiem.

Jerzy przez wzgląd na Maurycego powiedział nieprawdę i mistyfikował tem Adolfa. Był to bowiem ten sam poemat, o którym wygadał się kilka tygodni temu przed nim; tylko autor kapryśny zmienił tytuł, podając go do druku, i podpisał się nowym pseudonimem, by większym urokiem i tajemnicą osłonić siebie i dzieło.

— Więc poznałeś mistrzowską rękę? — pytał dalej Jerzy, wyciągając Adolfa na słowa i patrząc z lekkim uśmiechem w stronę, gdzie siedział Maurycy i Irena, i dał téj ostatniéj oczyma znak porozumienia, robiąc ją wspólniczką dalszego mistyfikowania Adolfa.

Irena patrzała uważnie w twarz Adolfa, oczekując, co powié.

Jeden tylko Maurycy zdawał się nie zwracać uwagi na rozmowę i zajęty był czytaniem listu. Adolf tak mówił:

— W istocie znać w każdym wierszu pociąg wprawnéj i mistrzowskiéj ręki; forma prześliczna, rozmaita i wykwintna, powiedział-bym wybrednie delikatna, jak rysunek fantastycznych arabesków; ale myśl poematu chorobliwa i fałszywa.

Irena, która pochwał Adolfa słuchała rozpromieniona, skrzywiła się na ostatnie słowa i z przestrachem spojrzała na Maurycego, jak przyjmie te słowa. Adolf nie uważał wcale téj niemej gry jéj twarzy i mówił daléj najspokojniéj:

— Ów bohater poematu, ów „nieśmiertelny“, to nie człowiek. To jakaś figura mglista, błąkająca się po różnych drogach życia po to tylko, aby je zbrzydzić sobie i drugim. Nie rozumiem celu w stwarzaniu takich postaci, niezadowolnionych z niczego, niewiedzących, czego chcą.

— Niezadowolnienie, tęsknota do ideału, toż właśnie jest cechą poezyi — rzekł Jerzy, stając w obronie. — Tylko człowiek ograniczony może się czuć zadowolnionym; wyższe duchy pali wieczne pragnienie doskonałości.

— To też tę doskonałość, a przynajmniej cień jej, trzeba było pokazać; poemat powinien był wmówić w ludzi, że doskonałość ta jest do urzeczywistnienia. To mojem zdaniem powinno być celem poety. Tymczasem nasi poeci wiecznie narzekają na niepodobieństwo urzeczywistnienia tego, co im po głowach chodzi, narzekają na świat, że zły, przewrotny, nic nie wart. To trochę za wiele — Świat nie

jest tak potworny, trzeba tylko umieć patrzeć i szukać w nim stron pięknych i dobrych; trzeba żyć w pośród życia, a nasi poeci żyją za granicami jego, w jakiejś mglistej sferze, wymarzonej przez nich, lub ich poprzedników, w świecie rymowanym, papierowym.

— Wszak bohater „nieśmiertelnych“, właśnie wchodzi w sam wir życia, jemu zarzutu zrobić nie możesz, że nie żyje — odezwał się Jerzy.

— On nie żyje; dopiero chce żyć — odparł Adolf. — Ale nie wie, jak się wziąć do tego. Wszystkiego próbuje, a nic mu nie smakuje.

— Ach, jakże się prozaicznie wyrażasz o poezji!

— Ale prawdziwie. Tak, bohaterów, obrzydzając sobie wszystko, ginie z głodu moralnego. Poeta do téj podróży w świat wyekwipował go we wszystkie szlachetne popędy, przymioty i moralne zasoby; zdawało-by się, że z takiemi zasobami zwycięży świat cały, choćby tysiąc razy gorszy; przewrotniejszy, niż go nam poeta wystawia tymczasem bohater ów rozbija piersi o tę nikczemną zaporę, łamie skrzydła i upada; zamiast zwyciężyć zło, on wpada w zwątpienie, w rozpacz. Tego rodzaju rozwiązanie jest demoralizujące.

Podobnie, jak gdybyśmy żołnierzowi, idącemu do boju, mówili wciąż o śmierci, o przegranéj, o grobie. W ludzi trzeba wmówić, że cnota, że szlachetne uczucia zwyciężyć muszą. Kto im tę wiarę odejmuje, ten zdradza, a tu poeta zamiast zagrzewać do zwycięztwa — trąbi na odwrót.

Jerzy teraz dopiéro spostrzegł, jak nierozsądnie zrobił; pytając o zdanie Adolfa wobec Maurycego. Nie spodziewał

się dysputy; myślał, że Adolf nie będzie miał nic więcéj do powiedzenia, prócz pochwał i zachwytu. Tymczasem inaczej się stało. Jerzemu wypadało teraz bronić do ostatka poematu — i z ogniem się odezwał:

— Nie zgodzę się nigdy na twoje zdanie. Ten sposób sądzenia poezyi ze stanowiska użyteczności ubliża jéj. Chciałbyś natchnienie poety zaprzągnąć jak wołu do pługa, by ci uprawiał ziemię.

— A ty inny cel naznaczas poezyi? — spytał Adolf zdziwiony.

— Spodziewam się — rzekł baron, który, ukończywszy listy, w milczeniu przysłuchywał się dyspucie i nie mógł się wstrzymać, by nie odpowiedzieć Adolfowi. — Poezya ma trochę szlachetniejsze cele, niż te, jakie-by jej chcieli narzucić dzisiejsi estetycy pozytywni.

— Więc sztuka dla sztuki? — spytał Adolf.

— Tego nie utrzymuję — odparł baron. — Ale też nie zgodzę się, by ze sztuki robić służebnicę codziennych potrzeb. Sztuka ma wznioślejsze zdanie: stawia nam ideały, wskazuje niebo i tam nas podnosi.

— Toż samo zadanie postawił sobie kościół średniowieczny: pokazywał ludziom niebo i dlatego tak źle było na ziemi. Mnie się zdaje, że sztuka i religia — mówił dalej Adolf z zapałem — wprost przeciwną drogę obrać-by powinny, t. j. ściągnąć niebo na ziemię. Tymczasem obie silą się zbrzydzić nam ziemię, oczernić i skompromitować w oczach naszych, obrzucając ją kałem i brudem.

W ten sposób obie nie leczą, ale trują ludzi. Taka trucizna tkwi w tym poemacie. Ów „nieśmiertelny“ jest

śmiertelnym, bo nosi w sobie zarody śmierci — bo tylko wątpi i narzeka.

Irena słuchała z oburzeniem słów Adolfa, Nie mogła dosiedzieć na miejscu; wstała i zbliżyła się do rozmawiających. Oczy jéj czarne patrzały groźnie, pogardliwie, chciała niemi nakazać milczenie, skarcić Adolfa za zuchwałość, z jaką śmiał targnąć się na to, co dla niéj było świętością. Nie mogła wytrzymać, by mu nie odpowiedzieć:

— Więc pan i poświęcenie bohatera nazwiesz trucizną? W istocie, są dusze mizerne i nizkie, które takich szczytnych myśli strawić-by nie zdołały.

— W istocie poświęcenie bohatera ratowało-by go trochę w naszych oczach. Zwątpiwszy o wszystkiém, straciwszy ochotę do życia, chce za ten liczman bez wartości kupić — szczęście ludzkości. Poświęca się i ginie. Mogło-by się to nazywać szczytném szaleństwem, gdyby nie było zbrodnią.

— Zbrodnią? — spytała Irena, marszcząc brwi.

— Tak. Wszak bohater, jak się z piérwszéj pieśni pokazuje, ma matkę, która wierzyła w jego genialność i żyła nim. A on nie pamiętał o téj matce w chwili śmierci, o boleści jaką sprawi jéj swoją śmiercią i obowiązek syna poświęca dla urojonéj idei — dla zbiorowéj ludzkości.

Argument ten był tak przekonywujący, że żaden z obrońców Maurycego nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Jeden Jerzy zdobył się na to, że powiedział; iż bohatera poematu nie można sądzić podług kodexu karnego.

— Dlaczego nie? — spytał Adolf. — Czyż moralność poetyczna ma być inną? Utrzymując tak, potępiasz sam

poezyą i jéj moralność. I w istocie, słuszne potępienie. Gdybyśmy chcieli bohaterów i bohaterki poematów, powieści, sądzić według kodexu, spojrzéć na ich czyny nie przez tęczowe szkła poetycznych frazesów, ale trzeźwo; większa połowa kwalifikowała-by się do domu poprawy. Tam, gdzie przez te szkła widzimy różowe ciało, udające zdrowie, zobaczyli-byśmy może trupią bladość i zgniliznę. Bo poezya kwiatami ubrała kościotrupy lub proste kije i każe im udawać aniołów. Całuje namiętnemi słowami rozmarzone dusze, jak Almanzor, by je zatruć jadem. Przypominam sobie jedne małą nowellę Turgenjewa, w któréj ten autor znakomicie przedstawił ów trujący, rozkładowy wpływ poezyi na pewne organizmy. Nowella nosi tytuł „Faust“. Główną osobą jest młoda kobieta, zimna, spokojna. Poeta porównywa ją do posągu z lodu. Tak czystą i twardą była jéj cnota. Kobieta owa, chowana pod okiem surowéj i poważnéj matki, odebrała wykształcenie gruntowne, ale zbyt trzeźwe i realne. Matka odsuwała od niéj wszystko, coby mogło rozbudzić, rozkołysać jéj fantazyą. Wiera (takie jest imię bohaterki) poszła za mąż, nie znając ani jednego romansu, ani jednej poetycznej powieści. W kilka lat po jej zamążpójściu zjawia się w ich domu literat, który znał ją jeszcze panną. Literat ten jest przyjacielem męża. On — to podejmuje się dokończyć wykształcenia Wery — i rozpoczyna od czytania Fausta. W parę tygodni po tej lekturze Wiery, usta dotknęły ust swego nauczyciela: posąg z lodu roztopił się i rozpłynął.

Jest wiele przesady w tej nowelli, ale i wiele prawdy.

— Wiele prawdy dla tych cnót, co są tylko z lodu —

rzekła Irena, marszcząc dumnie brwi.

— Bez tej próby został-by ten lodowy posąg całym — odrzekł Adolf — i udawał-by twardością marmur. Wiera wierzyła, że jest z marmuru i w próbie ogniowej zginęła.

Ostatnie słowa powiedział Adolf z tak znaczącym naciskiem, że Irena, która już odchodziła w głąb pokoju, zatrzymała się i zwróciła badawcze spojrzenie na mówiącego. Adolf wytrzymał to spojrzenie spokojnie. Irena odwróciła się z dumą i pogardą od niego i przeszła na drugą stronę salonu.

W sali zapanowało znowu nieznośne milczenie. Jerzy, dotknięty słowami Adolfa, widział w tem głęboką obrazę dla Maurycego i nie wiedział, jak to załagodzić; gdy w tem Maurycy, złożywszy list wstał i, zbliżywszy się do Adolfa,spytał:

— Panie Szmitowski, co pan sądzisz o systemacie kanalizacyjnym, który chcą zaprowadzić u nas?

Adolf zrozumiał przytyk i cel pytania. Maurycy chciał mu tem dać poznać, że tylko o takich rzeczach wolno mu sąd wydawać. Nie zmieszał się tem jednak i spokojnie, a nawet na pół z uśmiechem odpowiedział:

— Uważam go za skuteczny, ho *usuwa* wiele szkodliwych i zaraźliwych miazmatów. Dlatego systemat taki zalecał-bym wszędzie i wszystkim dla zdrowia publicznego.

Mówiąc to, wpatrywał się dość ostro w twarz. Maurycego, jakby mu chciał oczyma dopowiedzieć reszty.

Maurycy zdawał się nierozumieć przytyku i chciał pytać dalej, gdy wszedł lokaj i oznajmił baronowi, że jakiś pan

przyjechał do niego z interesem.

Baron przeprosił towarzystwo i wyszedł z salonu. Zofia zaś, widząc, że Maurycy ma zamiar prowadzić dalej rozpoczętą rozmowę, wstała żywo i rzekła:

— Panie Adolfie, może pójdziemy do cieplarni zobaczyć pańskich pacyentów. Moja Calleya z niecierpliwością oczekiwała pańskiego przybycia.

To powiedziawszy, wzięła ze stolika parasolkę i szybko wyszła do ogrodu. Adolf pośpieszył za nią.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

XVI.[1]

Zofia szła w stronę cieplarni, nie oglądając się wcale; dopiero kiedy weszli w cienistą lipową aleję, w któréj nikt nie mógł ich widzieć, stanęła i, zwróciwszy się do idącego za nią Adolfa, rzekła:

— Dziwną się panu może wydawałam w chwili, gdym żądała z panem rozmowy sam-na-sam; ale ja pana znam dostatecznie, aby być z panem szczerze i poufale.

— Znasz mię pani? — spytał Adolf zdziwiony i zażenowany.

— Przez Salusię — odpowiedziała, spuszczając oczy.

Adolfowi to objaśnienie wytłomaczyło wiele. Nie pytał już o nic więcéj; ale czekał, co mu powié baronówna. Ta jednak milczała. Miała tyle pytań przygotowanych; w czasie jego nieobecności układała sobie, o czém z nim będzie rozmawiać; ale teraz, gdy się znalazła wobec niego, czuła się nieśmiałą, skrępowaną, nie wiedziała, od czego zacząć. W myślach poznajomiła się już i spoufaliła z nim, rozmawiała swobodnie, potoczysto; z tym, obecnym w jej duszy, zdawało się jej, że spotkanie ich będzie dalszym ciągiem tej znajomości. Po kilku jednak słowach, na które się zdobyła, przekonała się, że tak nie jest. Spojrzenie jego, jakkolwiek łagodne i sympatycznie na nią zwrócone, zakłopotało ją i odebrało odwagę. Chciała pytać się go, jak żyć, co robić, aby być tak użyteczną w społeczeństwie, jak on. Pytanie to zdawało się jej bardzo naturalnem. Teraz zaś czuła, że było-by dziwacznem i dziecinnem; bała się, by się

nie roześmiał z jej naiwności. Ułożone naprzód słowa odbiegły naraz i zostawiły ją sarnę, zmieszaną nieco.

Adolf pomógł jej do wyjścia z tego położenia pytaniem:

— Pani miałaś mi coś do rozkazania?

— Tak; chciałam pana prosić... czy to prawda, że ojciec Salusi ma być jutro odstawiony do sądu?

— Tak.

— I jakaż kara może go czekać za to, co zrobił?

— Jeżeli mu udowodnią winę, to najmniej skazać go mogą na sześć lat więzienia.

— Na sześć lat! — powtórzyła z przestrachem — a potem dodała: — Biedna Salusia!

— Czy żądanie pani tycze się tej sprawy?

— Tak, — odrzekła nieśmiało — Salusia była przed chwilą u mnie. Rozpacz téj dziewczyny jest okropną. Obawa o ojca, wstyd przed ludźmi, do szaleństwa ją doprowadzają.

Umilkła znowu, chcąc, by się domyślił, o co go chciała prosić. Czuła całą niestosowność swéj prośby, niepodobieństwo jéj spełnienia i dlatego nie śmiała jéj wypowiedzieć.

Adolf ani się domyślał, że chciała prosić za zbrodniarzem. Sądził, że miała obawy o Salusię.

— Dziewczyna będzie wolną; nawet do śledztwa nie będzie pociąganą. Przekonano się, że o niczém nie wiedziała.

— Tak; ale jéj ojciec będzie skazany. A ona już nikogo nie ma na świecie. Czeka ją straszne sieroctwo. Córka kryminalisty! jakież to okropne przezwisko.

— To prawda, że smutny los.

— Czy nie można-by ocalić ojca od kryminału? — dobyła z siebie z wahaniem tę prośbę.

Adolf spojrzał na nią zdziwiony.

— Pani za nim chcesz prosić? Czy wiész, co to za człowiek? To nie piérwsza jego zbrodnia; poprzedni pożar, to także jego sprawka. Tak się odpłacił za dobrodziejstwa mego ojca.

— Ale ma córkę.

— Nie, pani, to niepodobna. Sumienność nie pozwala, abym...

Przerwała mu i rzekła:

— Nie tłomacz się pan. Wierzę panu, że ta jest niepodobieństwem, skoro mi odmawiasz. Gdyby to było możebném, pewnie nie odmówił-byś pierwszéj mojéj prośbie, jaką do pana zanoszę.

To cofnięcie prośby było natarczywsze, niż prośba sama. Adolf się zawahał. Piérwszy raz nadarzyła mu się sposobność, że mógł coś zrobić dla niéj i odmówił — on, który Bóg wié, coby dla niéj chciał był zrobić. A z drugiéj strony widział niepodobieństwo zrobienia tego. Poczucie sprawiedliwości, obawa o ojca, nie pozwalały mu puszczać z rąk zbrodniarza. Walczył sam ze sobą.

Zofia nie mogła silniéj poprzéć swéj prośby, jak cofając ją. Nie zrobiła tego z wyrachowania, jeno, że sama czuła niepodobieństwo. Nie myślała już nawet wznawiać i popierać swéj prośby, gdy Adolf się odezwał:

— Kto zaręczy nam, że ten człowiek, puszczony, wolno nie pokusi się drugi raz o coś podobnego? Widzisz pani

sama, że nie mogę rozporządzać tu sam i stawiać na niepewny los majątek i życie ojca mego i tyłu rodzin robotników.

Więc tylko ten powód wstrzymuje pana? — spytała ucieszona, nabierając znowu nadziei?...

— Jakiż inny mógł-by mnie wstrzymywać?...

— Sądziłam, że oburzenie, jakie słusznie mógł ten człowiek wywołać czynem swoim, robi pana nieubłaganym.

— Ja tylko żałować mogę takiego człowieka.

— Przebacz mi pan, że mogłam inaczej sądzić o panu — rzekła Zofia i uścisnęła rękę jego.

Adolf spojrzał na nią pytającym wzrokiem, nie rozumiejąc powodu jéj uciechy i zachwytu.

— Czy więc pani masz jaki sposób zabezpieczenia nas od tego człowieka, skoro będzie wolnym? — spytał po chwili.

— Czyż mógł-by być tak niewdzięcznym i wyrządzać krzywdę panu za ocalenie swoje?...

— Sądzisz pani ludzi miarą własnéj dobroci... Ten człowiek nie piérwszy raz doznaje od nas pobłażania i względów. To go nie naprawiło.

— A jeżeli się wymoże na nim przysięgę?...

Adolf rozśmiał się pobłażliwie.

— Jakto? pan wierzysz, że mógł-by krzywoprzysiądz lub złamać przysięgę? — spytała z trwogą i niedowierzaniem. — Pan nie wierzysz przysiędze?...

— Czyż ten człowiek nie łamał już przysięgi? Czyż każdy zły czyn nie jest łamaniem słowa, danego Bogu i

ludziom, że się będzie uczciwym... Cnotliwy bez przysięgi będzie dobrym; zły, i przysięgając, źle robić będzie. To nie jest gwarancyą żadną. Szczególniéj, że ten człowiek, jak się sam wygadał przy badaniu, ma jakąś zadawnioną nienawiść przeciw memu ojcu i chce się zemścić. Takich namiętności nie zrzeka się tak łatwo.

— Nawet za odzyskanie wolności?...

— To mu tylko ułatwi dokonanie zemsty... Jeżeli pani nie ma innego sposobu, to go już nie ocalimy. Nie uwierzy pani, jak mi przykro, że téj pierwszéj jéj prośbie zadosyć uczynić nie mogę: dał-bym bardzo wiele, abym to mógł zrobić. Ale sama pani widzi niepodobieństwo. Robiąc to, czuł-bym się współwinnym z tym człowiekiem.

— Masz pan słuszność... — rzekła Zofia po chwili namysłu. — Teraz sama widzę, że prośba moja była nierozsądną; podyktowała mi ją litość, jaką uczułam dla biednéj Salusi. Ale to darmo. Lepiéj, że ona jedna będzie cierpiéć, niż żeby wielu za naszę słabość pokutować musiało.

— Dziękuję pani, — rzekł Adolf, — że mnie uwalniasz swoją wyrozumiałością z przykrego położenia.

— Nie mówmy więc już o tém. Mam o ważniejszéj rzeczy pogadać z panem. Powiedz mi pan szczerze, czy wiele panom zależy na nabyciu parku od mego wuja?

To poważne pytanie w ustach ośmnastoletniéj panienki miało dziwny, niezwykły urok. Adolf nie przypuszczał nigdy, że ta delikatna, lekka istotka, którą się zachwycał, jak śliczną miniaturką na kości słoniowéj, umié myśléć, tak poważnie, że ją tak wszystko obchodzi... W pytaniu tem

zdradzała się roztropność nad wiek, energiczna dusza i dobroć serca.

Odurzony tem odkryciem, patrzał na nią z uwieebieniem i zachwytem; uczucia, jakie miał dla niej, nabierały wagi i powagi. Myśląc o tem, zapomniał o odpowiedzi. Musiała mu powtórzyć pytanie.

— Czy nam są potrzebne? — powtórzył Adolf.

— Jest to kwestya bytu naszego. Fabryki nasze, w ciasnym obrębie niemogąc się rozwinąć na odpowiednią stopę, nie będą mogły rywalizować z innemi.

— Więc cóż myślicie robić? — Walczyć z baronem o ten kawał ziemi do upadłego.

— Tą drogą nie dojdziecie do celu. Wuj jest uparty; pod naciskiem nie ustąpi. Gotów się zniszczyć do ostatka, a nie ustąpi. Ja go znam. Więcej u niego zrobić można łagodnością.

— Próbowaliśmy tej drogi, ale wyczerpaliśmy wszystkie sposoby do dna — aż do cierpliwości, i napróżno. Musimy się teraz wziąć do energiczniejszych środków.

— Wstrzymajcie się jeszcze. Zostańcie przy dawnej drodze; ja będę waszą aliantką. Może we troje łatwiej ułagodzimy barona.

— Jakto, pani-byś chciała? — spytał Adolf, zdziwiony i rozrzewniony jéj dobrocią.

— Chcę być wspólniczką waszą. Ja dam ziemię, która dotąd bezużytecznie leżała; od was uczyć się będę, jak się taką ziemię zużytkowuje. Będzie to ciekawa dla mnie nauka. Ta nauka będzie jedynym zyskiem, jaki sobie ze wspólnictwa zastrzegam. Wy dokończycie mojéj edukacyi.

Uczono mnie bowiem wszystkiego, tylko mnie pracować nie uczono — i wstydzić się teraz muszę.

Adolf nie wiedział, co powiedzieć. Słowa wydawały mu się za liche, za blade na wyrażenie wdzięczności i uwielbienia, jakie czuł dla pięknéj protektorki. Po małéj chwili ona mówiła daléj:

— Zostawcie mi tylko czas do działania. Nie draźnijcie gniewu barona niczém; rozumiész pan: niczém, bo wtedy zepsuli-byście wszystko. Ja sama chcę działać; może mi się uda.

W chwili, gdy to mówiła, z drugiéj strony pałacu dał się słyszeć jakiś hałas i wrzawa, jakieś zamieszanie, wśród którego dominował silny, podniesiony głos barona, a obok niego odzywał się czasem drugi ostry i chrypliwy.

Adolf zbladł nagłe; poznał bowiem dźwięk głosu — był to głos ojca jego.

---

1. ↑ Błąd numeracji: brak rozdziałów XIV. i XV.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Michał Bałucki](#).*

XVII.

Kiedy bowiem Adolf wyjechał z wizytą do Zalesia, ojciec jego w pół godziny potém zdążał tą samą drogą do barona. Niecierpliwiło go już dłuższe czekanie, przewlekanie się sprawy; zaopatrzony więc w wexle, wybrał się na ostateczną z nim rozprawę. Postanowił raz już skończyć z baronem. Chwila zdawała mu się stosowną. Wiedział, że baron nie będzie mógł zapłacić wexli, że kredyt jego już wyczerpany; nie wątpił więc o zwycięztwie.

Pewny siebie, ze śmiałością i zadowoleniem wszedł do pałacu i kazał się zameldować, nie wymieniwszy swego nazwiska. Chciał tém zrobić niespodziankę baronowi. Służący wpuścił go do wielkiéj sali jadalnéj, gdzie miał zaczekać na barona.

Stary Schmidt nie bez pewnego wrażenia oczekiwał jego przybycia. Po latach tylu, miał oko w oko zejść się z dumnym panem, w okolicznościach całkiem odmiennych. Dawniéj, jako syn kowala, w przedpokoju kłaniać się mu był zmuszony; dziś stawał przed nim jako wierzyciel jego. Miał to być rodzaj pojedynku; dlatego nie dziw, że starego Schmidta opanował pewien niepokój, który zdradzał się febryczném drżeniem. Schmidt starał się zapanować nad wzruszeniom i silił się na spokój. W ręce, wsuniętej za surdut, ściskał konwulsyjnie wexłe; była to broń, którą miał ostatni cios zadać baronowi.

Adolfowi ani przez myśl nie przeszło, gdy lokaj meldował w salonie przybycie jakiegoś interesanta, że to

ojciec jego i że tak blizko siebie się znajdują. Baron również nie domyślał się ważności osoby, która go oczekiwała; sądził, że to jeden ze zwykłych interesantów, z którym miał nadzieję prędko się ułatwić i dlatego opuścił na chwilę gości.

Gdy wszedł do sali jadalnej, stary Schmidt, który był usiadł, powstał mimowoli. Zrobił to machinalnie, przez zapomnienie, a raczej przez przypomnienie lat młodych, w których przywykł był stać posłusznie wobec barona. Zły był na siebie za to zapomnienie się, rozdrażniło go to więcej jeszcze przeciw baronowi.

Baron, wszedłszy, spojrzał niedbałe, obojętnie, na szczupłą, mizerną figurę fabrykanta i spytał, mrużąc oczy:

— Kto pan jesteś?

Nie poznał go. Lat tyle go nie widział i nigdy nie przypatrywał mu się tyle, aby rysy jego mógł zapamiętać. Syn kowala zbyt mało zwracał jego uwagę.

Ton głosu wstrząsnął silnie duszą starego Schmidta i zbudził w niéj wszystkie urazy do barona.

— Mniejsza o nazwisko, — rzekł stłumionym nieco ze wzruszenia głosem. — Nazwisko nie należy do interesu, a ja przychodzę z interesem.

Baron usiadł na krześle pod oknem i, oglądając paznokcie, spytał obojętnie:

— O cóż idzie?

— Pan baron pozwoli, że usiądę. Jestem stary już i spracowany.

To mówiąc, wziął stołek z pod ściany i usiadł na nim. Baron milczeniem zezwolił na to, lubo mu się nie podobała

zbytnia poufałość przybysza. Niecierpliwił się już trochę.

— Proszę kończyć, bo nie mam czasu; — rzekł szorstko — z czém pan tu przybyłeś?

— Przyszedłem załatwić pewne rachunki z panem baronem.

— To należy do mego rządzcy, — rzekł baron, wstając.

— Przepraszam pana barona, ja mam rachunki, wyłącznie tyczące się pana barona.

— Słucham, tedy — powiedział, siadając powtórnie.

Schmidt krząknął, nastroił się surowo i rozpoczął w ten sens:

— Pan baron zapewne sobie przypomina starego Schmidta, kowala?

Baron ciekawie spojrzał na mówiącego, nie spodziewał się tego rodzaju rozpoczęcia, które obudziło w nim wspomnienie lat już dawno pogrzebanych i zapomnianych.

— Cóż więc z tym Schmidtem?

— Ów Schmidt miał córkę, Annę, która miała iść za mąż, za lokaja, Jakóba.

Wspomnienie to musiało być niemiłém i przykrem dla barona, bo sposępniał, zachmurzył się, i odwrócił twarz ku oknu, jakby się wstydził tego wspomnienia wobec mówiącego.

Schmidt zauważył to i nabrał odwagi do silniejszego wystąpienia.

— Jednego dnia — mówił daléj — Anna rzuciła się do nóg ojca i wyznała mu, że niezadługo zostanie matką i oskarżyła się przed nim o pokątne miłostki z dziedzicem. Po tém wyznaniu, kowal Schmidt, wypędził z domu córkę.

Nieszczęśliwa poniewierała się czas jakiś pomiędzy ludźmi, aż przyszła chwila rozwiązania. Potém nie można się było dowiedzieć, co się z nią stało. Jednéj nocy zniknęła wraz z dzieckiem bez wieści.

Tu Schmidt zatrzymał się chwilę i wpatrywał się surowo, przenikliwie, w barona. Ten milczał. Zawstydzony, pognębiony. Zgryzota deptała w téj chwili jego dumę. Baron bowiem nie był nigdy rozpustnikiem; chwila, którą mu przybyły przypominał, była jedyną ciemną, brudny kartą w jego życiu, za którą się rumienił, którą rad-by był zatrzéć i zapomnieć. Lata w istocie zatarły tych parę ustępów, które obciążały sumienie barona; wrażliwy i ruchliwy umysł jego łatwo zapomniał o tém. Aż naraz, po latach tylu, znalazł się człowiek, który przebudził w nim te wspomnienia i odświeżył zatarte głoski szpetnéj tajemnicy. Baron uczuł żal i wstyd i milczał, jak winowajca.

Schmidt pastwił się czas jakiś widokiem tego upokorzenia i znowu ciągnął daléj:

— We wsi najrozmaitsze krążyły pogłoski; wszyscy oskarżali ojca, że zbytnią surowością zgubił córkę. Nie wiadomo, czy ten powód, czy żal za straconém dzieckiem, skłonił kowala, że poszedł do dworu i zapytał dziedzica: co zrobił z jego córką. Pytanie to widocznie dziedzicowi się nie spodobało. Stary nie dobierał wyrazów; pytał po swojemu, zwyczajnie, jak rozżalony ojciec, któremu córkę zhańbiono i zaprzepaszczono. Dziedzic wypędzić go za to kazał. Wypędził go ze dworu, wypędził go z kuźni, która była jego jedyném utrzymaniem. Tak mu zapłacono za córkę. Biedny stary musiał szukać przytuliska na starość.

Jego niedoszły zięć dał mu z litości kawał barłogu, żeby miał gdzie skonać.

— Mnie mówiono, że miał bogatego syna. Dla czegóż ten nie wziął go do siebie?

— Bo syn wtedy także był nędzarzem, także się tułał i nie miał własnego kąta. Inaczéj nie był-by pozwolił, żeby ojciec jego żył na łasce.

Głos mówiącego drżał ze wzruszenia; a łzy przerywały jego mowę. Gdy skończył mówić, pogrążył się w bolesnéj zadumie.

Barona męczyła niesłychanie ta scena; chciał raz skończyć ją. Widząc więc, że przybyły nie zabiera się do tego, sam powstał i spytał:

— Więc czegóż pan chcesz? jakiż masz cel, przywołując mi na pamięć te przykre chwile?

— Mówiłem panu baronowi, że się chcę obrachować. — Odezwał się Schmidt już twardszym i ostrzejszym głosem.

— Kto pana upoważnił do mieszania się w te sprawy?

— Kto?... Oni. Ojciec mój i siostra moja.

Baronowi teraz dopiéro się oczy otworzyły; spojrzał na mówiącego bystro, piorunująco i rzekł:

— Więc to pan jesteś?

— Tak, to ja. Przyszedłem odpłacić się baronowi za krzywdę ojca i spytać, jak on kiedyś: co zrobiłeś z siostrą moją, gdzie ją zatraciłeś?

— A ja powtórzę to, co powiedziałem ojcu twemu: nie wiem. Jam nie winien jéj zniknięciu.

— A kto winien? — spytał z oburzeniem Schmidt. — Kto ją do tego stanu doprowadził?

Baron zmarszczył brwi na to zuchwałe odezwanie się, pomiarkował się jednak i, siląc się na spokój, rzekł;

— Nie zapieram się winy i radbym ją naprawić, wynagrodzić, o ile mogę. Dawno-bym to już uczynił, gdybyś się nie był stawiał tak hardo i szedł ze mną na udry.

Schmidt roześmiał się szyderczo.

— Miałem cię może przepraszać jeszcze, panie baronie, za nędzę ojca i hańbę siostry? Miałem przyjąć zapłatę od ciebie, co? Wy sądzicie, że za wszystko można zapłacić, wszystko kupić. Ja biorę pieniądze, bom jak fabrykant; ale nie za taki towar je biorę. Rozumiész, panie baronie. Ofiarowałeś mi kawałek lasu i chciałeś tém skwitować się ze mną, przekreślić rachunek. Interes interesem, panie baronie, ja za las chcę zapłacić gotówką, a moich pretensyi nie sprzedam za tę cenę.

— Cóż więc myślisz zrobić? — spytał baron, prostując się dumnie — czy może bić się ze mną? To było-by zabawne.

— Nie zgadłeś, panie baronie. Ja nie mam życia na pozbycie; umiem je cenić, bo znam jego wartość. Ręka moja umie tylko pracować, zabijać nie umié.

— Więc czegóż chcesz pan? — spytał baron zniecierpliwiony. — Proszę kończyć, zanim się przebierze miara mojéj cierpliwości, z jaką słucham od godziny pańskich bredni.

Schmidtowi krew uderzyła do głowy; zacisnął pięści i postąpił na przód. Ale wnet opamiętało go dumne i pogardliwe spójrzenie barona, którém go zmierzył od stóp do głowy.

— Radzę ci nie unosić się, panie Schmidt — rzekł z lekceważeniem — bo możesz źle wyjść na tem. Kończ prędzéj, czego chcesz, pocoś przyszedł. Ta cała historya trwa za długo i niecierpliwić mię już zaczyna.

— Przyszedłem — odrzekł Schmidt — oddać wet za wet: krzywdę za krzywdę, upokorzenie za upokorzenie. Krótko mówiąc, przyszedłem ci powiedzieć, panie baronie, że cię z tego majątku wywłaszczę i wyrzucę ztąd, jak ty mojego ojca wyrzuciłeś.

Twarz barona karmazynem się oblała, sine pręgi żył wystąpiły na czoło, a oczy wyszły na wierzch. Oburzenie odjęło mu chwilowo mowę. Wnet ją odzyskał z podwójną siłą, poskoczył do Schmidta i krzyknął; krzyk był podobny do ryku lwa rozdrażnionego:

— Co?! ty, mię wywłaszczać! nędzna kreaturo, precz z mego domu! Do sądu z pretensyami, nie do mnie, precz! bo psami wyszczuć każę! Wybuch gniewu był tak gwałtowny, że Schmidt, jak huraganem popchnięty, cofnął się ku drzwiom, a potém na balkon, ustępując przed piorunującym wzrokiem i zaciśniętemi pięściami barona. Z przestrachu głos mu zaparł się w piersiach; dopiéro gdy stanął na balkonie, odzyskał nieco mowy i odwagi i odrzekł:

— Pójdę precz, ale wrócę, aby tobie powiedzieć: precz ztąd.

Baron stracił miarę w gniewie; gniew przechodził we wściekłość.

— Służba! — zawołał donośnie — wyrzucić tego łotra!

Lokaje, którzy się na głos pana zbiegli, zabierali się wykonać ten rozkaz, gdy wtém wpadł między nich Adolf,

blady, pomieszany i, zasłaniając ojca piersiami, zawołał:

— Kto się odważy dotknąć tego starca, żywym nie zostanie.

— Czemu się ujmujesz za tym gałganem, — zawołał baron niechętnie.

— Panie baronie, proszę milczéć! to mój ojciec.

To powiedziawszy, wziął drżącego ze wzruszenia i przestrachu ojca za ręce i zaprowadził do bryczki. Zanim baron mógł wyjść z podziwu, Schmidt i syn byli już za bramą pałacową.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

XVIII.

Wzburzony i czerwony z gniewu, wrócił baron do salonu; za nim wsunęła się cicho Zofia, drżąca i wzruszona sceną, której przed chwilą była niemym świadkiem, i usiadła smutna w kącie kanapy, patrząc trwożnie na barona, chodzącego po pokoju dużemi krokami.

Lubo już z pół godziny minęło od czasu, jak Schmidtowie opuścili pałac, baron jeszcze nie mógł przyjść do siebie, uspokoić się. Siwe jego oczy groźnie łatały na wszystkie strony, jakby z pod powiek wyskoczyć miały, ręce dygotały febrycznie, że z ^trudnością trafiał niemi do kieszeni, z której co chwila wydobywał chustkę, by otrzeć spotniałe czoło.

— A to łotr, zuchwalec! — mówił — w moim własnym domu śmiał odważyć się na coś podobnego. To nie do uwierzenia! I ja puściłem go wolno, pozwoliłem mu odjechać. Trzeba było stłuc kijami, lub jak psa zastrzelić. I te gapie pozwolili mu odjechać cało, cofnęli się przed groźbą jednego młokosa i potracili głowy. W porę znalazł obrońcę. Czy to był rzeczywiście syn jego? — spytał, zwracając się do Jerzego.

— Syn.

— I ty wiedziałeś o tem i nic mi nie mówiłeś?

— Prosił mnie o sekret.

— Jakiż miał w tem cel, zakradać się milczkiem do naszego domu?

— Nie wiem, — odrzekł obojętnie Jerzy.

Powiedział tak dlatego, bo nie chciało mu się bronić Adolfa, ani tłómaczyć go, i chciał przerwać niemiłą mu o tém rozmowę.

— On tu nie bez celu bywał. To gadzina! I ja miałem go za porządnego człowieka, ściskałem jego rękę. Mam ci za złe, Jerzy, żeś mię nie uprzedził względem tego człowieka. Gdyby nie przypadek, który go zdemaskował, byłby się tu na dobre zagnieździł, wkradł w nasze zaufanie. Tylko parweniusz mógł się zdobyć na coś podobnego.

— Czy on ci zrobił co złego, wuju, powiedz? — spytała z oburzeniem Zofia, nie mogąc już dłużéj słuchać spokojnie potępiania Adolfa. — Niedawno jeszcze zachwycaliście się nim, podziwialiście go, a teraz szarpiecie jego dobre imię bez litości i względu, dlatego tylko, że jest synem Schmidta, że stanął w obronie ojca.

— Tego mu nikt nie ma za złe — odrzekł baron, zreflektowany nieco słowami Zofii — ale dlaczego wciskał się w nasz dom?

— Czy nie ty sam i Jerzy ciągnęliście go gwałtem?

— Nie był-bym tego zrobił, gdyby był jawnie przyznał się do nazwiska. Człowiek, który pod przybranem nazwiskiem wkrada się w obcy dom, nie ma czystych zamiarów i nie jest uczciwym człowiekiem.

W takim razie więcej Jerzego, niż jego, winić należy. Nie wiem, co mogło skłonić pana Adolfa do bywania w naszym domu, ale-bym przysięgła za niego, że nieuczciwych zamiarów nie miał.

— Jak widzę, ten pan fabrykant zyskał sobie niepoślednią protektorkę w pani, — odezwał się z

przekąsem Maurycy. — Choćby dlatego, wizyty jego nie były tu daremne. Może to był główny cel jego.

Baron spojrzał na mówiącego i zachmurzył się niekontent. Słów Maurycego nie mógł uważać, jak tylko za żart, a jednak nawet żartem nie chciał przypuścić jakiejkolwiek skłonności Zofii do syna fabrykanta. Żart wydawał mu się niewłaściwym, obrażającym i zostawił go bez odpowiedzi.

Jerzy, również niekontent z odezwania się Maurycego, skierował rozmowę na główną drogę, pytając barona: czego właściwie chciał od niego stary fabrykant.

— Groził mi wywłaszczeniem. To zuchwalstwo, co?

— I na jakiej podstawie.

— Alboż ja wiem. Na jakiejże-by podstawie.

— Wątpię, żeby działał tak na wiatr. Musiał mieć pewne dane. Czy byłeś mu co winien?

— Ja? — spytał baron z dumą. — Jemu? Nigdy

— To dziwne. To była więc napaść szaleńca.

Baron przyświadczył zięciowi. Nie mógł uważać inaczej kroku fabrykanta. Jednak, po chwilowym namyśle, gdy spokojniej zaczął tę rzecz rozważać, przyszedł do wniosku, że stary Schmidt, grożąc mu wywłaszczeniem, musiał mieć jakieś podstawy, choćby pozorne, do tego.

Baron nie znał stanu swoich interesów; wszystko było w rękach rządzcy. Wiedział jednak tyle, że majątek jego był zadłużony, że często dosyć podpisywał wexle jakieś. Nie przypuszczał jednak nigdy, aby to podkopać miało jego exystencyą. Miał zbyt wielkie wyobrażenie o swoim majątku, by mógł przypuścić, że się kiedy wyczerpać może.

Słowo o wywłaszczeniu, rzucone z taką śmiałością przez Schmidta, zaniepokoiło go teraz trochę, zachwiało jego wiarę przynajmniej o tyle, iż kazało mu przypuszczać, że interesa jego muszą stać niezbyt świetnie, skoro Schmidt mógł mu grozić czemś podobnem.

Dla usunięcia tych wątpliwości, baron kazał zawołać rządzcy i udał się do swego gabinetu.

Zofia również wyszła z salonu, nie chcąc dłużej zostawać w towarzystwie Maurycego,którego dwuznaczne, ironiczne spójrzenie, jakie miał na nią zwrócone od czasu, gdy stanęła w obronie Adolfa, obrażało ją i gniewało.

Maurycy odchodzącą odprowadził do drzwi tem samem spojrzeniem, a gdy wyszła, zwrócił się do Ireny i rzekł:

— Zdaje mi się, że się nie omyliłem, posądzając Zosię o zbytnią sympatyą dla tego pana Adolfa.

— Jakto, pan przypuszczasz? — spytała zgorszona Irena.

— U panienek w tym wieku wszystkiego spodziewać się można. Serce jest w tym wieku niesłychanie demokratyczne.

— Aaa!

W tym wykrzykniku była duma, niedowierzanie, oburzenie. Irena ani na chwilę nie mogła się zgodzić na przypuszczenie Maurycego. Sądziła po sobie. Jej serce nie miało nigdy podobnie gminnych zachceń.

— Pod tym względem odmawiam panu znajomości serc naszych — rzekła, zwracając na Maurycego powłóczyste, przeciągłe spojrzenie. — Sądziłam, że pan znasz nas lepiej.

— Pani sądzisz po sobie. Niekażda jednak kobieta w tej sferze ma gust tak wybredny, duszę tak na wskroś

arystokratyczną, jak pani. Mało jest kobiet, które-by tak czysto,nieskalanie, przechowały w swéj duszy pojęcia zacności rodu. Jestem pewny, że gdybyś pani była Galateą, nie ruszyła-byś się z piedestału na głos Pigmaliona dlatego tylko, że Pigmalion był człowiekiem z gminu.

— Czy to pan liczysz do wad, czy do zalet—spytała, ogarniając go majestatyczném spójrzeniem zadowolenia.

— Tylko do zalet. Dlatego wybór takiéj kobiety zaszczyt przynosi.

— Dziękuję ci, Maurycy, za pochwalę dla mnie, — odezwał się Jerzy z drugiego końca pokoju.

Słowa te, jak zimna woda, prysnęły na twarz Maurycego. Mówiąc o wyborze, nie myślał wcale o Jerzym. Dlatego odezwanie się jego niemile go drasnęło. Spójrzał na Irenę; ta odpowiedziała mu oczyma, że go lepiéj zrozumiała. Alabastrowa twarz jéj promieniała zadowolnieniem, jakby światło wewnętrzne przebijało przez nią. Podniosła się z krzesła majestatycznie, posągowo i rzekła:.

— Może przejdziemy się trochę... Podaj mi pan rękę... A ty, Jerzy — dodała, niedbale zwracając się w stronę, gdzie stał mąż — nie pójdziesz z nami?...

— Nie, ja zostanę... Jestem w dobrym nastroju do pieśni Oresta... Owa scena na ganku, która baronowi tyle krwi napsuła, mnie poddała dobrą myśl do muzyki. Ton, w jakim Adolf zawołał: „To mój ojciec!“ paradnie mi się nadaje do pieśni Orestesa... Mam już melodyą, więc zaraz biorę się do roboty.

— Zatém nie przeszkadzamy, — rzekł Maurycy i, podawszy rękę Irenie, wyszedł z nią do ogrodu.

Jerzy tymczasem usiadł do fortepianu i z zapałem wziął się do pisania pieśni; od czasu do czasu uderzał w klawisze, próbując akordów, to znowu pojedyńcze tony śpiewał głośno, przysłuchywał się im i notował na papierze.

Przy téj robocie zastał go baron, który wracał ze swego gabinetu. Twarz barona była posępna i zmieniona; widać było na niéj głębokie, gnębiące zmartwienie; jakieś ponure, przykre myśli zaprzątały go tak mocno, że nie uważał w pierwszéj chwili obecności Jerzego. Dopiero kiedy ten, uderzywszy silniéj w klawisze, zanucił początek pieśni, baron, jakby ze snu zbudzony, podniósł ze ździwieniem głowę i spójrzał na śpiewającego. Spójrzenie było szklane, bezduszne; baron patrzał na Jerzego machinalnie, a widział własne myśli. Jerzemu jednak się zdawało, że baron przysłuchuje mu się uważnie i z zadowoleniem zwrócił się do niego:

— A co? — spytał uradowany, — pyszny początek. Prawda, że jest siła w śpiewie Orestesa? Najwyższa jego miłość dla pamięci ojca musi tu znaleźć swój najpotężniejszy wyraz. Tu zwykła sentymentalna arya byłaby parodyą. Muzyka musi wstrząsać tu piersi, uczucie wrzeć w tonach, jak kłębiąca się lawa w wulkanie. W ten tylko sposób można usprawiedliwić potworne matkobójstwo Oresta. Miłość dla ojca musi go tłómaczyć. Tenor będzie miał nie milą pracę wyśpiewać tę aryą; szczególniej tu, gdy Orest mówi do Elektry: „nie cofnę się przed najstraszniejszem poświęceniem, by tylko cieniom ojca spokój dać“. Zwykły głos nie wystarczy tutaj, nie zdobędzie się na wyśpiewanie tych Mont-blanców

tenorowych. O! *gis, gis, cis*, i to przez całe dwa takty. Niekażdy tenor na to się odważy. Czekaj, zaraz zrobię zakończenie, kilka taktów tylko... — To mówiąc, usiadł przy fortepianie i szybko, pod wrażeniem chwili, kończył pieśń.

Baron z całej jego mowy słyszał tylko jakieś wyrazy, których nie zrozumiał, mając umysł zaprzątnięty własnemi myślami. Słuchał machinalnie, jak niewyraźnego paplania dziecka i czekał, aż mówić przestanie; potem się odezwał:

— Czy wiesz, Jerzy? stary Schmidt nie mówił na wiatr, grożąc mi wywłaszczeniem. Do tego przyjść może, jestem zrujnowany...

— Ty, zrujnowany?... — spytał Jerzy, odwracając się napół do mówiącego. — To niepodobna..... Wszak samo Zalesie warto najmniéj milion.

— Tak, ale cięży na niém ośmkroć sto tysięcy długu... Nie przypuszczałem nigdy, że się tyle narobiło długów; podpisywanie wexli niewiele mnie kosztowało trudu... to téż podpisywałem bez zastanowienia. Rządzca przekonał mię cyframi, jak daleko zabrnąłem... Żyłem pożyczką.

— A Zalesie, czy nie nie przynosi?

— Dochód pochłaniało utrzymanie pałacu i parku. Jestem bankrut...

Baron zakrył twarz rękoma i westchnął ciężko. Westchnienie podobnem było do jęku, który gdzieś, z głębi piersi, dobywał się, jak echo. Jerzy położył na chwilę pióro i patrzał, to na barona, to na nuty; uwaga jego rozdwajała się między muzyką, do któréj w téj chwili czuł się tak usposobionym, a baronem, nad którym się litował.

— I niema sposobu zaradzić temu? Wszak dłużnicy mogą poczekać.

— Tacy, jak Schmidt, czekać nie będą... A on jest najgłówniejszym kredytorem, bo wykupił od żydów znaczną część moich wexli. Lada chwila mogę się spodziewać ogłoszenia licytacyi. — Jedynie pożyczka, gruba pożyczka, mogła-by mnie uratować...

Mówiąc to, podniósł oczy na Jerzego i czekał. Chciał, aby Jerzy z milczenia jego domyślił się, do czego zmierzał... Baron miał nadzieję w zięciu. Majątek Jerzego, powiększony znacznym posagiem żony, był wielki i nieobdłużony. Jerzy, zaciągając nań pożyczkę, mógłby go był wyratować. Ale baron nie śmiał mu tego proponować przez dumę; chciał, by się sam domyślił. Nie było-by to tak trudno Jerzemu, gdyby nie to, że myśl jego zajęta była w téj chwili pieśnią Oresta, pracowała nad wyśpiewaniem wielkiego poświęcenia mytycznego bohatera, i nie miała czasu zastanawiać się nad tém, czego chciał od niego baron. Słuchał, jak na-pół senny, narzekań barona, więcéj uchem niż sercem, okazywał mu współczucie bez uczucia, na zimno, jak się udziela pociechy choremu, który nas niewiele obchodzi. Nic więc dziwnego, że artystyczne roztargnienie nie pozwalało Jerzemu odczuć intencyi barona. Uspokoił go zapewnieniem, że człowiek, taki jak on, z łatwością dostanie pożyczkę i zabrał się znowu do pisania.

Baron spójrzał na piszącego z bolesnym wyrzutem i przypomniało mu się, co przed kilku dniami mówiła mu Zofia, że można podziwiać zwaloną chatę, nędzę ludu

wyśpiewaną w poemacie, bez myślenia o zaradzeniu jéj. W téj chwili przyszedł do przekonania, że między fantazyą artysty a sercem człowieka może być przepaść bez przejścia, że sztuka może być samolubną. To odkrycie zabolało go więcej może jeszcze, niż ruina majątkowa.

Wieczorem tego dnia, gdy całe towarzystwo zebrało się w sali jadalnej przy herbacie, nadszedł telegram z Medyolanu do Jerzego. Nauczyciel jego donosił mu, że jego oratoryum wykonanem było w katedrze i zostało przez znawców dobrze przyjęte. Jerzy nie posiadał się z radości; cały wieczór rozmawiał o tém swojém szczęściu, i dziwiło go, dlaczego baron tak chłodno i obojętnie przyjął tę wiadomość. Olśniony blaskiem własnego szczęścia, nie pamiętał o tem, co gryzło duszę barona. Barona znowu ta niepomiarkowana radość zięcia drażniła i oburzała do tego stopnia, że, nie doczekawszy końca herbaty, wstał i wyszedł do swego pokoju.

— Co ojcu jest? — spytała Irena, patrząc za odchodzącym. — Nigdy go jeszcze tak smutnym nie widziałam. Musiało się coś stać ważnego. Czy ci nic nie mówił?

To pytanie dopiéro oprzytomniło Jerzego i wróciło mu pamięć.

— Sprawa z tym fabrykantem tak go zafrasowała. Schmidt chce zlicytować Zalesie.

— Jakiém prawem?

— Ma podobno wexle barona.

— Czy wexli nie można spłacić?

— Niéma czém. Suma znaczna, jak mi wspominał baron.

Irena zmieszała się tą wieścią.

— I cóż ojciec chce począć? — zapytała.

— Będzie musiał zaciągnąć pożyczkę.

— U kogo?

— Ja sądzę, że się takich dużo znajdzie. Ja sam, gdybym miał gotówkę, chętnie-bym zrobił tę przysługę baronowi. Ale, jak wiesz, książę wyjeżdżał za granicę i musiałem mu wypłacić całą należytość za klucz Barecki.

— Biedny ojciec! — odezwała się znowu Irena; — wiem, że go to martwić musi; on tak nie przyzwyczajony zajmować się interesami.

Do tego się ograniczyło współczucie dla barona. Kilku słowami i westchnieniami spłacono dług sercu; potém Irena rozpoczęła z Maurycym rozmowę o królu Learze, którego świeżo przedstawiano w Berlinie, a Jerzy odczytywał po raz nie wiem który telegram z Medyolanu i pieścił duszę marzeniami o sławie.

Jedna tylko Zofia, dowiedziawszy się o powodach smutku barona, wstała zaraz po herbacie i poszła do jego pokoju.

Zastała go siedzącego przy biurku, na którem oparł się obiema rękami i, nieruchomy, wpatrywał się w płomień palącéj się lampy.

Zofia zbliżyła się do niego i pocałowała go w milczeniu w rękę. Barona ten niespodziewany pocałunek tak przestraszył, że się zerwał z krzesła i zawołał:

— Co to?

— To ja, wuju.

— A! to ty? Idziesz już spać? Dobranoc ci. Pocałował ją

chłodno, obojętnie w czoło i odwrócił się; ale Zofia zatrzymała jego rękę w swoich drobnych rączkach i, patrząc mu ze współczuciem w oczy, spytała:

— Co tobie, wuju?

— Nic, nic. Małe zmartwienie.

— Więc to prawda, że ten Schmidt chce majątek twój wystawić na licytacyą?

— Zkąd wiesz o tem?

— Jerzy mówił,

— Jerzy?

Baron się zatrzymał, jakby czekał, czy nie powić mu co więcej, a nie mogąc się doczekać, spytał sam:

— I cóż więcej mówił?

— Ze będziesz musiał zaciągnąć pożyczkę.

Baron zmarszczył czoło.

— To wiele powiedział.

— I od kogóż myślisz pożyczyć, wuju? To znaczna suma.

— Tak, a mnie ani mniej znacznej nikt nie pożyczy. Dobra moje, jak mi rządzca mówił, przeciążone długami. Bank wszedł mi na hiypotekę.

— Więc cóż myślisz robić?

— Nie wiem! — odrzekł baron z rozpaczą.

Boleść szarpnęła nim silnie, zerwał się, wstał od biurka i niespokojnie przechadzał się po pokoju.

— Trzeba będzie oddać na łup wierzycieli moję uroczą ustroń, pozbyć się tego wszystkiego. Ziści się twoje życzenie.

— Moje życzenie? — spytała, nie rozumiejąc znaczenia

tych słów.

— Wszak pragnęłaś, aby w parku stanęły fabryki. Teraz niema wątpliwości, że staną.

W mowie jego przebijała gorycz i przykra rezygnacya.

— To być nie może! — odezwała się z ogniem Zofia. — Chciałam tego wtedy, gdy mogłeś zrobić to ustępstwo, bez ubliżenia sobie. Było-by ono wtedy dobrodziejstwem, łaską z twej strony. Dziś było-by poniżeniem, dla ciebie, dla nas, gdyby nas zmuszono do tego. Trzeba koniecznie zaradzić temu; do licytacyi przyjść nie może.

— Ale jak radzić? — spytał baron bezradnie.

— Czy nie masz sposobu zaciągnięcia pożyczki na tę sumę?

— Żadnego, żadnego!

— A Jerzy.

Baron dumnie podniósł głowę i rzekł:

— Nie chcę. Skoro się sam nie domyślił, ja mówić mu nie będę.

— A mój majątek?

— Twego majątku naruszać nie będę. Nie dlategom został twoim opiekunem, by twemi pieniędzmi płacić moje długi.

— Ależ tu idzie nie tylko o ciebie, tu idzie o nas. Całéj rodziny honor jest zaangażowany w tej sprawie. Upadek twój i na nas rzuci cień.

— Tylko upadek moralny może plamić, moja droga — rzekł baron z godnością — ale majątkowa strata tylko mnie przynieść może szkodę.

— Jakto? więc godzisz się na licytacyą?

— Muszę.

Baron pozował na stoicyzm, na spokojną rezygnacyą. Było to jednak sztuczne, krótkotrwałe napięcie, które zmiękło po chwilowéj rozwadze. Gdy sobie baron pomyślał, co daléj robić będzie... gdy się zastanowił, jaki go los czeka po opuszczeniu Zalesia, zadrżał; czuł, że nie będzie miał siły znieść téj zmiany. Całe życie nie umiał odmawiać sobie niczego, w starości trudniej-by mu było zrzec się swoich nawyknień i upodobań. Zofia znała go dobrze pod tym względem, znała jego miękką, dziecinną naturę, i dlatego odezwała się:

— Wuju, ja sama nie pozwolę, aby przyszło do tej ostateczności. Ty musisz się ratować; powinieneś to zrobić przez miłość dla mnie.

— Dla ciebie? — baron wpatrzył się zdziwionym wzrokiem w twarz Zofii, — dla ciebie?

— Tak... Ja nie umiała-bym żyć bez Zalesia, bez Zofiówki, wyrzec się tych zbytkownych rozkoszy, któremi mię otoczyłeś.

Kłamała, mówiąc to. Baron jednak wierzył, bo ją sądził podług własnych upodobań i zachceń.

— Prawda, nie pomyślałem o tem, że tu nie tylko o mnie idzie, że nie mam prawa poświęcać ciebie... Tak. Za nic w świecie nie oddam im parku.

— Tem mniej oddasz im pałac — poddała mu Zofia.

— Tak, pałacu także oddać im nie mogę. Wszak to miejsce twoje rodzinne; ty-byś nie mogła żyć bez pałacu tego, prawda?

— Prawda, wuju.

Baron coraz więcej wierzył, że tylko dla Zofii należy mu ratować majątek wszelkiemi sposobami. Samolubstwo jego miało wszelkie cechy poświęcenia.

— Tak, — mówił, zdobywając się na energią, — ratować się muszę... dla ciebie. Nie mogę pozwolić, byś cierpiała dla mnie, przez moje marnotrawstwo.

— Więc podniesiesz pieniądze u bankiera?

— Twoje pieniądze?

Baron znowu się wahał i namyślał... Jakkolwiek był przekonany, że to wszystko robi dla Zofii; jednak naruszenie sierocego majątku budziło w nim pewne skrupuły. Sumienność jego nie pozwalała na to. Zofia chciała mu ułatwić zdecydowanie się i rzekła;

— Wszak lepiej, że ja będę twoją wierzycielką, niż kto inny.

Barona ten argument przekonał.

— Prawda, — rzekł, — ty będziesz moją wierzycielką.

— A gdy nie zapłacisz w terminie, zlicytuję bez litości, — dodała, śmiejąc się wesoło i tuląc się do piersi jego.

Baron także otworzył usta do śmiechu, gdy naraz jakaś myśl zatrzymała uśmiech na ustach, a oczy stanęły nieruchomo, poważnie.

— Co ci się stało? — spytała, przestraszona tą nagłą zmianą, Zofia.

Pytanie to roztopiło surówką powagę twarzy, rysy chwilowo zesztywniałe zmiękły w łagodny uśmiech, a oczy zwróciły się na Zofią.

— Nic, nic, moje dziecię. Twoję pożyczkę przyjmuję.

Zofia, uradowana, że się jej udało przeprowadzić swój

plan, rzuciła się na szyję wuja i ucałowała go serdecznie.

Poczem rozeszli się. Baron, udając się na spoczynek, polecił służącemu, by go jutro wcześniéj obudził. Polecenie było zbyteczne, bo sam równo ze świtem zerwał się z łóżka. Jakaś ważna myśl zajmowała go i spać spokojnie nie dała. Kazał nastawić samowar i zaprządz konie i niebawem wyjechał do miasta.

Przybywszy tam, kazał zajechać prosto do notaryusza, gdzie zabawił więcéj niż godzinę. Robił bowiem formalny zapis całego Zalesia na rzecz Zofii. Zapis sporządzony był w formie kontraktu sprzedaży. To postanowienie powziął właśnie wczoraj, w chwili, gdy Zofia nalegała, by przyjął od niéj pożyczkę. Po tym akcie mógł zrobić to z czystém sumieniem, bez skrupułu.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

XIX.

Adolf, w powrocie do domu, dowiedział się od ojca o zajściu z baronem. Wypadek ten zafrasował go bardzo; uniemożliwiał on bowiem wszelkie przyjazne porozumienie się w téj sprawie i pośrednictwo Zofii, na którem Adolf wiele budował. Niecierpliwość ojca zepsuła wszystko i zerwała ostateczny pomost do zgody.

Zostawała tylko droga procesu, którym stary Schmidt odgrażał się teraz nie na żarty baronowi, będąc przez niego tak silnie rozdrażniony. Wypadek procesu nie mógł być wątpliwym; zapewniał on Schimidtowi wygraną. Nie to więc było powodem frasunku Adolfa. Powód był czysto jego osobisty. Dzisiejszy wypadek rozdzielał go nazawsze z Zofią. Wczoraj jeszcze cios ten byłby mniéj dotkliwy. Dziś, gdy między nią i nim zawiązał się pewien rodzaj poufnéj przyjaźni, zerwanie to szarpnęło go za serce. Adolf czuł, że mu trudno będzie żyć w takiéj blizkości, a zarazem tak daleko od niéj. O bywaniu bowiem w pałacu mowy już być nie mogło. To zafrasowanie odbiło się dość wyraźnie na twarzy jego, by ojciec nie mógł tego nie zauważyć; ale przypisywał je temu, że Adolfowi przykrém było zerwanie znajomości ze swoim szkolnym kolegą. Adolf bowiem opowiedział mu przez drogę, że jedynie przez przyjaźń, jaką miał do Jerzego, zdecydował się bez wiedzy ojca odwiedzić go kilka razy, że zataił przed baronem nazwisko swoje, aby tém łatwiéj mógł utrzymać sąsiedzkie stosunki z kolegą. Ojciec pocieszał go, że jeżeli Jerzy rzeczywiście

jest mu życzliwym, to dzisiejszy wypadek nie powinien wcale wpłynąć na zerwanie ich stosunku, że nie będzie miał nic przeciw temu, jeżeli Jerzy będzie bywał w ich domu, gdyż, mając pretensye do barona, do zięcia jego żadnéj urazy nie żywi.

Uwagami temi zdawało mu się, że całkiem uspokoił syna. Gdy wrócili do domu, udał się zaraz po wieczerzy na spoczynek; na drugi dzień bowiem równo ze świtem chciał pojechać do miasta dla rozpoczęcia prawnych kroków przeciw baronowi i oddania zarazem Jakóba w ręce sprawiedliwości.

Adolf został sam ze sobą, a raczéj z całym nawałem smutnych myśli, które przeciągały po głowie jego, jak orszak pogrzebowy. W istocie pogrzeb w téj chwili odbywał się w jego duszy. Grzebał ledwie co urodzone nadzieje, uczucie, które jeszcze nie zdobyło się na słowa; to téż niesłychanie smutno mu się zrobiło w sercu: życie, które dziś rano wydawało mu się takiém wesołém, pełném rozkosznych szeptów, czarownych tajemnic, barw, woni, światła — teraz stało się pustém, jałowém, bezbarwném; patrzał w przyszłość, jak w step bezbrzeżny, na którym nie widział żadnego punktu, gdzieby oko i myśl spocząć mogły i rozweselić się. Nie miał czém zaludnić téj pustyni, co w duszy jego się rozsiadła.

Długi czas chodził po pokoju zamyślony, z głową zwieszoną na dół. Czasami zatrzymywał się przy lampie, wypatrywał się w jéj płomień długie chwile, i znowu chodził wkoło stołu, gnany myślami. O śnie zapomniał całkiem. Po niejakimś czasie usiadł znużony przy oknie i

otworzył je. Chłodne powietrze buchnęło pełnym prądem na jego rozpalone czoło. Adolf odetchnął ciężko, głęboko i, wsparłszy głowę na ręku, zapuścił się okiem w ciemności. Noc była chmurna, bez gwiazd; chłodny, wilgotny, nieprzyjemny wiatr zapowiadał deszcz, już nawet kilka kropli upadło na czoło Adolfa. Wysunął się jeszcze więcéj za okno, by się orzeźwić chłodem i deszczem.

Wtem wśród szumu deszczu, który już na dobre padać zaczął, usłyszał tuż pod swojemi oknami jakieś ciche, niewyraźne szlochanie, które czasami w głośne, spazmatyczne przechodziło łkanie. Chwilami do tego płaczu mieszał się ponury, gruby głos, szorstko się odzywający. Adolf, zdziwiony, wychylił się z okna, by się przekonać, zkąd go głos dochodził, i zobaczył tylko stróża nocnego, przechadzającego się z halabardą koło domu.

— Kto tam płacze? — zapytał go Adolf.

— A to ta młoda dziewczyna, córka Jakóba.

— Gdzie ona jest?

— Tu w piwnicy, przy ojcu.

Mówiąc to, wskazał halabardą na okratowane okienko.

Adolf przypomniał sobie, że jutro Jakóba mają wywozić do miasta, a równocześnie przyszło mu na myśl, że dziś Zofia prosiła go, by ratował tego człowieka. W tej chwili prośba jej wydawała mu mu się jak ostatnia wola umarłej. Cichy płacz Salusi odzywał się od czasu, do czasu, jak głos dzwonka, i przypominał mu tę prośbę. Adolf uczuł pewien rodzaj wyrzutu, że nie może dopełnić ostatniej woli tej, której już więcej nie zobaczy, że odrzucił jedyną prośbę jej. I znowu rozpoczęła się walka w jego sercu: dwa sprzeczne

uczucia wydzierały je sobie nawzajem i szamotały niem, jak wiatr porzuconą kartą na drodze. Napróżno przypomina sobie obowiązek względem ojca, poszanowanie prawa, które musi karać zbrodnią; naprzeciw tym wszystkim argumentom rozumu i rozsądku stały w myślach jego nieme a tak wymowne oczy Zofii, prosiły milczeniem i milczeniem zagłuszały tamte głosy. Prośba, a raczej życzenie Zofii, to była jedyna pamiątka, jaka została mu po niej, po kilkunastoletniej znajomości, jedyny węzeł, który łączył go z nią jeszcze. Więc nie dziw, że mu brakło siły zerwać własnemi rękoma ten węzeł. Uwolnieniem Jakóba mógł, choć niewidziany przez nią, powiedzieć jej, że pamięta o niej, że jej życzenie jest dla niego święte. Była to jedyna droga, którą mógł jej dać znak życia. Dlatego trudno mu było wyrzec się tego środka.

Długi czas trwał namysł i wahanie; w końcu Adolf zdecydował sic uwolnić Jakóba, jeżeli ten zobowiąże się przysięgą, że nigdy już nic złego nie przedsięweźmie przeciw ojcu jego. Czynił to wbrew zasadom swoim, wbrew przekonaniu, ale potrzebował choć tak wątłego zapewnienia dla ukojenia się.

Była już godzina piérwsza po północy. Adolf wstał, poszedł do przedpokoju, zdjął klucze z kołka, zapalił świecę i zeszedł po cichu do piwnicy. Pod drzwiami, za któremi zamknięty był więzień, przystanął chwilę i nasłuchywał. Żadnego głosu słychać nie było, nawet płacz dziewczyny ucichnął, zapewne usnąć musiała.

Adolf wsunął powoli, ostrożnie, klucz do zamka i otworzył drzwi. Najprzód uderzył go ciepły, niemiły

zapach, przed którym cofnął się ze wstrętem, czekając, aż przez otwarte drzwi zgęszczone powietrze nieco się oczyści w lochu. Potém dopiéro wszedł, trzymając świecę w górze nad głową, by lepiéj mógł rozróżnić przedmioty.

Niedaleko drzwi, na tapczanie spała Salusia. Powieki jéj były nabrzękłe i czerwone jeszcze od płaczu; na twarzy niemytéj łzy wymyły sobie zygzakowate ślady. Płacz musiał ją zmęczyć, bo spała twardo, że aż pot wystąpił na ciało i szklił się przy świecy, jak szron na wilgotnym murze. Na blask świécy, który jéj padł prosto na twarz, nie obudziła się.

Adolf chwilkę przypatrywał się śpiącéj i nagle coś dojrzał u niéj, co go zainteresowało mocno, bo nachylił się ze świecą tak blizko śpiącéj, że stearyna kapnęła na chustkę, którą była przykryta. Przedmiotem, który tak zajął uwagę Adolfa, był nieduży medalionik, który dziewczyna miała uczepiony u sznurka niebieskich koralików na szyi. W medalionie była oprawna fotografia Zofii. Na widok znajomych i tak drogich mu rysów, Adolf zadrżał z radości; twarzyczka była uśmiechnięta łagodnie, zdawała się patrzeć na niego i cieszyć się z tego, co robił. Ten widok zachęcił go do spełnienia czynu, który mu się złym i wstrętnym — wydawał. Podniósł świecę do góry i poszedł pod okno, ku posłaniu Jakóba. Posłanie było puste, ale tuż nad niém wisiała para nóg człowieczych. Adolf podniósł światło jeszcze wyżej i struchlał. Zaczepiony o kratę, wisiał trup człowieka, z mocno posiniałą już twarzą i wysadzonemi na wierzch oczyma.

Po chwilowem osłupieniu, Adolf zebrał przytomność,

postawił świecę na ziemi, dobył scyzoryka z kieszeni, wspiął się ku oknu po krawędzi łóżka i odciął szmaty, skręcone w powróz, na których ciało wisiało.

Odcięty, spadł z głuchym łoskotem na łóżko z rozkrzyżowanemi rękoma. Adolf, zeskoczywszy na ziemię, zbliżył się ku niemu ze świecą, oderznął postronek, który mu jeszcze szyję obciskał, i począł macać puls. Pulsu się już nie domacał; ale ciało było jeszcze cieple. Adolf nie tracił nadziei, że uratuje wisielca.

I rzeczywiście, po kilku pryśnięciach wodą na twarz jego, dał znaki życia; długiego jednak czasu było potrzeba, zanim Mruk przyszedł do siebie zupełnie i mógł oczy otworzyć.

Spojrzenie jego padło najprzód na Adolfa; zdziwił się i przestraszył; potem obejrzał się wokoło, opamiętywując się i przypominając, gdzie się znajduje? i znowu obróciwszy wytrzeszczone oczy z ponurym wyrazem na swego wybawcę, mruknął szorstko, chrapliwie:

— Więc nawet umrzeć spokojnie mi nie dacie?...

— I ty to nazywasz spokojną śmiercią? — spytał Adolf, patrząc na Mruka pogardliwie, z odrazą.

— Przecież wolę taką śmierć, niż gnić w kryminale.

— A cóż z córką się stanie? — odezwał się znowu Adolf, wskazując na śpiącą dziewczynę i oświecając ją.

Stary spojrzał w tę stronę; ospowata i ciemna twarz jego chwilowo rozmiękła rozrzewnieniem, potem nanowo zesztywniała w ponurym uporze.

— Cóż córka? Jej lepiej będzie na świecie beze mnie. Ludzie ją przytulą. A ode mnie co ma? Nic; bom ja dziad,

nędzarz.

— Mogłeś jej dać uczciwe imię, a nie zrobiłeś tego — powiedział Adolf surowym tonem.

— Tak, dobrze wam mówić o uczciwości, bo wam się dobrze wiedzie. Ale kto tak, jak ja, z gospodarza zeszedł na dziada, na służalca tych, których rad-by w łyżce wody utopić, to inna rzecz.

— I zacóż chciał-byś nas w łyżce wody utopić?

— Zaco? — stary podniósł bure, sowie oczy na mówiącego zaperzony — za co? A przez kogo ja dziadem? hę? Kto mi zbrzydził życie, odjął ochotę do pracy, jak nie wasz ojciec? Nie chciał, żeby ona poszła za mnie. I ją zgubił, i mnie zgubił. Bo ja z nią umiał-bym pracować i dorobiłbym się czego. A tak, wszystko poszło na marne, bo mnie nic nie cieszyło. Jedynie cieszyło-by mnie, gdybym się był dowiedział, że jego Pan Bóg pokarał za to; gdyby był skapał na nic, zniszczył się do nogi. Ale gdzie tam! jemu się wiodło życie, jak nitka z przędziwa. To może człowieka do wściekłości doprowadzić!

— I dlatego chciałeś wyręczyć Pana Boga i zniszczyć go?

Jakób, zamiast odpowiedzi, mruknął tylko i kiwnął głową.

— Widzisz, do czego cię to doprowadziło — odezwał się znowu Adolf.

— A no, cóż robić? Jak kto ma nieszczęście, to już do wszystkiego. To już takie przeznaczenie.

— Czy wiesz, co cię czeka teraz?

— Ba, czy-bym się to wieszał, gdybym nie wiedział.

Krnąbne i szorstkie odpowiedzi Mruka wstręt budziły w Adolfie. Wiedział, że ten człowiek nie wart litości; chciał już zabrać się i odejść, i zostawić go losowi jego; ale przypomnienie prośby Zofii i widok śpiącej Salusi zatrzymywały go jeszcze. Chciał z brutalnej piersi dobyć choć jeden dźwięk, budzący litość, jedno słowo skruchy, które-by usprawiedliwiło uwolnienie jego, i dlatego chciał rozpocząć znowu rozmowę; ale stary Mruk, którego obecność jego niecierpliwić już zaczynała, bo przeszkadzał mu spełnić samobójstwo, co uważał za jedyny środek ocalenia się od kryminału, przerwał mu opryskliwie i rzekł:

— Dajcie mi już pokoj święty! Pocoś pan przyszedł tu po nocy pastwić się nade mną i znęcać? Mało-to czasu będziecie mieli jutro,gdy mnie skutego powieziecie do sądu? Dopieroż-to będzie radość dla twego ojca i dla ciebie!

— Nierozsądny człowieku — rzekł Adolf, kiwając nad nim głową z politowaniem — więc sądzisz, że my chcemy pastwić się nad tobą?

— A pocoś pan tu przyszedł? Żeby mi nie dać skonać spokojnie? Teraz było-by już po wszystkiem; śmierć moja nikomu-by szkody nie przyniosła; a życie... Kto wie, co ja jeszcze zrobić mogę.

— Więc myślisz się mścić.

— Ja nie ręczę za nic. Jak złe człowieka opęta, to za nic nie odpowiada. A ja jeszcze dużo złego mogę zrobić na świecie, choćby tylko językiem.

Adolf patrzał z obrzydzeniem na zatwardziałego w zemście Mruka. Pogróżek jego nie rozumiał, ale go przerażały.

— Niema rady — pomyślał sobie — niema rady dla tego człowieka, — i zabierał się do wyjścia.

Gdy naraz córka Mruka, zbudziwszy się i spostrzegłszy go, rzuciła mu się do nóg:

— O, mój paniczu! — zawołała — jesteś tu? O! to nas wyratujecie z nieszczęścia. Wy nie pozwolicie tatusiowi memu pójść do kryminału, nie prawdaż? Wszak i panienka prosiła was o to.

— Nic dla ciebie, moje dziecko, zrobić nie mogę — rzekł Adolf, uwalniając nogi swoje z objęć dziewczyny. — Nie mogę, nic mogę.

Dziewczyna podniosła głowę do góry i spojrzała na niego z niedowierzaniem i przestrachem.

— Nie możecie? Więc pocoście tu przyszli? Czyż nie panienka was tu przysłała? czyście jej nie widzieli? Mówcież!

— Ciszej! — rzekł Adolf, patrząc niespokojnie w okno, z obawy, aby głos dziewczyny nie sprowadził dozorcy.

Dziewczyna posłuszna umilkła; ale uczepiła się nóg jego, i wlokąc się za nim, i czołgając po ziemi, zatrzymywała odchodzącego i prosiła cichym, ale dosadnym szeptem:

— Nie róbcie mię sierotą, paniczu!

Jakób w milczeniu przypatrywał się tej scenie; rozpacz córki rozmiękczyła mu duszę. Adolf nie mniej był wzruszony. Podniósł dziewczynę z ziemi i uspokajał ją. Potem odwrócił się do Mruka i rzekł:

— Czyś ty wart takiego przywiązania?

Mruk poruszył się na siedzeniu i nic nie odpowiedział.

— Więc dla takiego dziecka trudno zostać ci uczciwym człowiekiem, poprawić się?

— W kryminale; co jej teraz z tego przyjdzie — bąknął, wyrzucając do góry głową z lekceważeniem.

— A gdybym cię ocalił?

— Pan? syn Schmidta? Ba! to się na was nie pokaże.

— Głupcze, a pocom tu przyszedł, jak nie poto? — rzekł oburzony Adolf.

— Aby mnie ratować, puścić na wolność za to wszystko, com wam wyrządził?

— Nie dla ciebie to robię, ale dla tej nieszczęśliwéj.

Salusia rada była za te słowa do nóg mu się rzucić, ale zatrzymał ją; więc zawisła na rękach jego i całowała ze łzami.

Adolf zwrócił się do Mruka i rzekł z surową powagą:

— Wstań i chodź.

Jakób podniósł się z siedzenia, posłuszny, jak lunatyk magnetyzerowi; błędnemi, nieprzytomnemi oczyma wpatrzył się w niego i szedł za nim odurzony, ogłupiały tem, co się z nim robiło. Nie przypuszczał nigdy czegoś podobnego.

Salusia podała mu rękę i prowadziła na wschody. Adolf zamknął drzwi piwnicy, wyprzedził idących i zawiódł ich przez sień na podwórko. Tu odsunął zasuwkę u drzwi, przez które wyrzucano zwykłe śmieci i nieczystości na pole, przerżnięte małym strumykiem. Wzdłuż szemrzącéj rzeczki prowadził ich Adolf czas jakiś, aż minęli zabudowania mieszkalne. Gdy stanęli na otwartém polu, zatrzymał się i, zwróciwszy się do Mruka, rzekł:

— A teraz idź gdzie cię oczy poniosą. Ratuj się, jak możesz, by cię powtórnie nie schwytano, bo wtedy nic cię już nie ocali. Dałem ci wolność, wbrew sumieniu, z litości nad twoją córką. Pamiętaj, bym tego nie potrzebował żałować.

To rzekłszy, odwrócił się i odszedł tak szybko, że Salusia nie zdołała nawet podziękować mu. Za odchodzącym rzuciła tylko w ciemności: „Bóg wam zapłać, paniczu“. Potém zwróciła się do ojca i rzekła:

— Chodźmy, tatusiu! już dnieje.

Ale Mruk nie ruszył się z miejsca. Stał jak słup milowy tam, gdzie go postawiono. Nie mógł jeszcze zebrać zmysłów, przyjść do siebie. Był jakby we śnie. Dopiéro chłód poranny oprzytomnił go nieco. Obejrzał się wkoło po polu, które już szarzeć zaczęło, spojrzał na córkę, namacał własne ręce i ramiona, i rzekł stłumionym głosem:

— Więc to prawda wszystko? I to on mię uwolnił? on? syn Schmidta? To trudno zrozumieć. To głowa pęknąć może od myślenia i nie nie zrozumié.

Przesunął ręką po czole rozpalonem, które pot oblewał.

— I ja już nie pójdę do kryminału? co? — pytał się córki z dziecinną trwogą, oglądając się wokoło, jakby się bał, by go nie pochwycono.

— Chodźmy! chodźmy! — nalegała córka, ciągnąc go za sobą. Nagliła do pośpiechu, bo już brzask przecierał nocne ciemności od wschodu; szary pas nieba coraz więcej bielał i na ziemi już, przy tej niepewnej jasności, co nieco rozeznać można było. Salusia bała się, by ich kto nie spostrzegł, i dlatego ciągnęła ojca do pochodu.

— A gdzie ty mnie prowadzisz? — spytał stary, opierając się jej i zatrzymując się.

— Do ochronki, panienka nie odmówi nam przytułku.

— Co za panienka?

— Panna baronówna.

— Baronówna? Ona nam da przytułek? Ona? Zatoczył błędnie oczyma wokoło i zatrzymał je potem na córce tak sztywnie, strasznie, że się zlękła jego wzroku.

— Ona, — mruczał dalej stary, — ona i syn Schmidta ratują Jakóba! To oszaleć można! Ci ludzie sprzysięgli się, aby spętać mię, żebym już wszystko stracił, czem dotąd żyłem.

Córka nie rozumiała słów ojca; była pewną, że mówi nieprzytomnie, w gorączce, i trwoga ją ogarniała. Chciała co prędzéj już stanąć przy fórtce, prowadzącéj do parku; bała się ojca i jego sztywnego spojrzenia, i słów dziwacznych, więc pociągnęła go znowu i rzekła prosząco:

— Chodźmy, chodźmy!

— Chodźmy więc do téj panienki — odezwał się Mruk. — Już widać taka wola Boża.

Podał rękę córce i szedł za nią. Ale nogi nie dopisywały mu jakoś; co chwila się zataczał, potykał, jak pijany, w oczach majaczyło mu wszystko i dziwny dreszcz wstrząsał od czasu do czasu jego ciałem; oddech stawał się coraz prędszym, silniejszym i płomiennym.

— Czekaj, — rzekł do córki, zatrzymując ją. — Odpocznę, męczę się ogromnie, gorąco mi, to znowu zimno; wszystko mi się kręci w oczach, drzewa latają, gwałtu!

Podniósł ręce do góry i począł machać niemi w powietrzu, jakby się bronił, jakby coś chwytał; zatoczył się w kółko i runął na ziemię.

Organizm jego, i tak już nadwątlony, nie wytrzymał silnych wrażeń dzisiejszéj nocy; silna gorączka z nóg go zwaliła.

Salusia krzyknęła przestraszona i pobiegła do fórtki, od której ją zaledwie parę stajań oddzielało, szarpnęła za dzwonek i poczęła wołać o pomoc.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

XX.

Zaraz rano spostrzeżono ucieczkę więźnia i jego córki. Kiedy bowiem dozorcy weszli do piwnicy, aby go przenieść na wóz, na którym miał być odstawiony do sądu, znaleźli więzienie puste i żadnego śladu, którędy więzień mógł uciec. Dostrzegli wprawdzie na prętach kraty kawał skręconego ze szmat powrózka i drugi, większy nieco, na tapczanie; ale to nie doprowadziło ich do niczego, gdyż przypuścić nawet nie można było, aby więzień przez okno ratował się ucieczką, kraty bowiem były nie naruszone. Drzwi również były szczelnie zamknięte. Ucieczka więc więźnia była zagadkowa, niezrozumiała.

Gdy o tém doniesiono staremu Schmidtowi, zdawał się więcéj zdziwiony, niż oburzony tą wiadomością. Zeszedł na dół sprawdzić wypadek i dowiedzieć się bliższych szczegółów. Po przesłuchaniu stróża nocnego i kilku ludzi, musiano przypuścić, że ktoś z domowników porozumiał się z więźniem i ułatwił mu ucieczkę.

To przypuszczenie zaniepokoiło Schmidta więcej, niż sama ucieczka więźnia. Nie szło mu tak bardzo o Jakóba, — owszem, w całém postępowaniu z nim, w odwlekaniu przesłania go do sądu, widać było, że miał jakieś powody, dla których nie rad był, aby sprawa przeszła na drogę sądową. Ale zaniepokoiło go to, że w otoczeniu jego najbliższém znajdować się muszą ludzie, którzy byli w zmowie ze zbrodniarzem. Postanowił więc ścisłe w tym względzie przeprowadzić śledztwo. A że sam miał w

sprawie barona wyjechać niezwłocznie do miasta, więc chciał to poruczyć synowi i w tym celu poszedł do jego pokoju...

Adolf spał jeszcze; zaledwie bowiem od kilku godzin położył się. Wejście ojca obudziło go. Poważna i zachmurzona twarz wchodzącego kazała mu się domyślać, że ojciec już wié o ucieczce Jakoba. Adolf zaczął żałować tego, co zrobił. Patrząc trzeźwo teraz na swój czyn, rumienić się musiał za niego wobec ojca, czuł całą lekkomyślność swoję w tym względzie i fałszywe swoje położenie.

Ojciec usiadł przy nim na łóżku i rzekł:

— Czy wiész? Jakób uciekł téj nocy...

Na Adolfa wystąpiły ognie. Nie wiedział czy się przyznać, czy udać zdziwienie. Ojciec ułatwił mu położenie, mówiąc daléj:

— Co mnie najmocniéj boli i niepokoi to to, że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, któryś z domowników ułatwił mu ucieczkę. Klucz bowiem od piwnicy znajdował się obok mego pokoju. A więc ktoś z najbliższych służących był z nim w zmowie i otworzył drzwi i wyprowadził go. Przyznaj sam, że to niebardzo przyjemna rzecz wiedzieć, że się ma w domu nieprzyjaciela, który nam w każdéj chwili może szkodzić, gdy się najmniéj tego spodziewamy. Trzeba nam wykryć koniecznie tego człowieka.

Słowa ojca udręczały Adolfa, szlachetna i prawa dusza jego nie mogła dłużéj zcierpiéć udawania; odezwał się więc, spuszczając oczy ku ziemi:

— To ja zrobiłem, ojcze.

— Ty? — Schmidt spojrzał na syna zdziwiony, ale bez gniewu i oburzenia.

— Zrobiłem to z litości nad jego córką. Teraz widzę, że źle zrobiłem, że, powodując się uczuciem litości, zapomniałem o obowiązku, że ci wyrzadziłem tem krzywdę.

— Więc to ty jesteś tym utajonym nieprzyjacielem w moim domu? — rzekł ucieszony Schmidt — teraz wiem, kogo się strzedz muszę. No, no, nie matrw się — dodał poważniéj — w tym wypadku wyświadczyłeś mi mimowoli przysługę.

Teraz na Adolfa przyszła koléj, że się zadziwił i spojrzał na ojca dużemi oczyma. Schmidt wytłómaczył mu to:

— Widzisz, rzekł — nie chciałem się z tym człowiekiem włóczyć po sądach. W śledztwie musiały-by wyjść na wierzch niektóre sprawy, o których nie chciał-bym, aby się świat dowiedział. Było-by to nie bardzo przyjemném dla mnie i dla ciebie.

Widząc w oczach syna niepokój i zafrasowanie, dodał prędko dla uspokojenia go:

— Tajemnica ta tyczy osób, które już nie żyją, a które należały do naszéj familii. Jakób pewnie-by poruszył tę tajemnicę, bo ona posłużyła-by mu do obrony, a tegom sobie właśnie nie życzył. Był-bym nawet sam puścił zbrodniarza, gdyby mi nie szło o opinią ludzi, których-by to uderzyć musiało. Dobrze więc się stało, żeś ty to zrobił. Może to upamięta tego łotra. Dla formy jednak, należy śledztwo przeprowadzić. Ty się tém zajmij, bo ja

wyjeżdżam do miasta. Dziś rozpocznę otwartą walkę z baronem w sądzie.

To powiedziawszy, pożegnał syna i wyszedł; w pół godziny potém wyjechał do miasta.

Po jego odjeździe, Adolf czas jakiś spoczywał jeszcze, rozmyślając o tém, jak szczęśliwie zakończyła się sprawa, która go tyle namysłu i wahania kosztowała. Wola Zofii była spełnioną bez obarczenia sumienia. Czuł się zadowolonym i szczęśliwym. Wstał z lekkim umysłem i niebawem zajął się spełnieniem polecenia ojca. Trzeba było odegrać przed ludźmi tę komedyą, by usunąć wszelkie podejrzenia. Zwołał więc kilku ludzi, tak z domowników, jak z robotników, i zapytywał ich, czy nie widzieli téj nocy kogo obcego w okolicy domu, czy nie spotkali się gdzie z uciekającym, lub czy nie domyślają się, kto mógł mu pomódz do ucieczki. Wszyscy mniej więcéj powtórzyli to samo, co już przedtém powiedzieli Schmidtowi staremu. Tylko jedna kobieta, która niewolana przyszła, dała wyraźniejsze objaśnienia, że Jakób z córką musieli uciekać w stronę parku. Adolfa to objaśnienie zmieszało i spytał kobiety zkąd wie o tém.

Zamiast odpowiedzi, podała mu sznurek niebieskich korali, w połowie już rozsypanych, z medalionem. Adolf poznał medalion z fotografią; téj nocy widział go na szyi Salusi. Czas jakiś przypatrywał się fotografii; twarzyczka Zofii zdawała się uśmiechać do niego i dziękować mu.

— Gdzie znalazłaś te korale? — spytał po chwili robotnicy — i kiedy?

— Przed chwilą, panocku; — odpowiedziała zagadnięta

— gdym szła na robotę koło dołów studziennych, zda mi się spojrzéć na bok, a tu korale Salusi. Do razum je poznała.

— Tak, to Salki korale — powtórzyli inni.

Adolf oddalił ludzi, a korale zatrzymał u siebie, niby dla dalszego dochodzenia. Tego samego dnia wieczorem widziano go, idącego w stronę parku. Szedł powolnym krokiem, z głową spuszczoną ku ziemi. Ci, co go widzieli, byli przekonani, że szuka śladów złoczyńcy. Adolfowi to jednak ani przez myśl nie przeszło; doszedł on tam, sam nie wiedząc jak; tęsknota ciągnęła go mimowolnie w tę stronę. Dopiéro kiedy zbliżył się do krzaków zasłaniających furtkę, spostrzegł, gdzie się znajduje i obejrzał się, czy go kto nie śledzi. Wstydził się słabości swojéj; zdawało mu się, że każdy wyczyta z twarzy, jakie uczucie go tu zawiodło.

Zbliżył się pod sam parkan i zajrzał przez szczeliny do dziecinnego ogródka, w nadziei, że kogoś zobaczy. Kogo? kogokolwiek z tych, którym wolno było widywać Zofią, rozmawiać z nią, zbliżać się do niéj. Tak mało pragnął: chciał choć tych widziéć; co ją widzieli. Ale w ogródku było pusto i cicho, żadnego znaku życia. Drzwi domku były zamknięte, w jedném tylko okienku widać było światło i cień jakiś, przesuwający się czasem koło szyb.

Zgłodniała dusza Adolfa, tym niewyraźnym cieniem, który Bóg wie do kogo mógł należéć, żywiła się czas jakiś; ruch cienia rozweselał i cieszył go. Rozmarzenie to nie trwało jednak długo, prędko zreflektował się i otrzeźwił, i sam siebie spytał:

— I poco? naco się to zda drażnić duszę próżnemi nadziejami? — To pytanie pociągnęło go do domu. Zastał

tam już ojca, który niecierpliwie czekał na niego, chodząc przed domem. Gdy usłyszał kroki nadchodzącego syna, poszedł naprzeciw niemu i rzekł, nim jeszcze zbliżyli się do siebie:

— Czy wiesz... — baron zapłacił.

Chciał coprędzéj wypchnąć z siebie tę nowinę, która go paliła, niepokoiła i drażniła.

— Zapłacił?.. — spytał syn. Wiadomość ta zdawała mu się dość obojętną, przyjął ją bez zdziwienia. Dusza jego jeszcze nie przebudziła się zupełnie... nie umiała myśléć i oceniać doniosłości faktu, który ojca jego tak elektryzował i wzburzył.

— Tego się nigdy nie spodziewałem — odezwał się znowu stary. — Zapłacił, gotówką, złożył natychmiast tę sumę w sądzie, piérwéj nim mu doręczono pozew. To nie do uwierzenia!

— I zkądże wziął pieniędzy? — spytał Adolf, oryentując się powoli w téj sprawie i zajmując się nią.

— Albo ja wiem. Tym ludziom nic nie poradzi. Ci zrujnowani pankowie mają naturę gadu: tłucz kijem jak chcesz, on jeszcze się rusza. Sądziłem, że już go się pozbędę, że się mi nie wywinie. Tymczasem... zapłacił. Teraz niéma już nadziei zdobycia tego kawałka ziemi. Fabryki moje mają bardzo ciasną przyszłość; ot, będzie się z biedą wlokło i tyle. Ale dla ciebie tu niéma pola. Było-by niesumiennością z mojéj strony zatrzymywać cię w téj dziurze. Akt wspólnictwa jeszcze nie gotowy, możesz zaraz wycofać gotówkę, resztę spłacę ci pieniędzmi barona. Musisz wyjechać na obszerniejsze pole. Jako ojciec,

radbym cię tu zatrzymać; ale jako obywatel, muszę ci doradzać odjazd dla korzyści kraju i dla twojej korzyści. Musisz odjechać!..

Te dwa ostatnie słowa odbiły się smutném echem w piersiach Adolfa.

— Musisz odjechać... — powtarzał sobie, ale wcale dla innych powodów, niż te, o których mu ojciec wspominał.

---

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

XXI.

Światełko, co je Adolf widział w oknie przez szczeliny parkanu, pochodziło z pokoiku, w którym leżał chory Jakób. Leżał nieprzytomny, majacząc dziwne rzeczy. Córka lodem okładała mu głowę; jedna z zakonnic czuwała z nią razem z polecenia Zofii.

Salusia bowiem zaraz rano, skoro ojca jéj wniesiono z pola, gdzie był upadł, do ogródka, pobiegła do swéj opiekunki do pałacu, donieść jéj o uwolnieniu ojca i prosić ją o przytułek dla niego. Zofia, na wiadomość o uwolnieniu Jakóba, pochwyciła Salusią żywo za rękę i wpatrzyła się w nią wzrokiem rozpromienionym,jasnym.

— Uwolnił go?.. — spytała, niedowierzając uszom własnym.

— Dziś w nocy sam wyprowadził nas z lochu...

— Sam?.. — powtórzyła Zofia stłumionym od radości głosem.

W duszy jej było teraz tak, jakby nie Jakóba, ale ją ktoś na wolność wypuścił; zdawało się jej, że ktoś ponure wrzeciądze jej duszy otworzył i zobaczyła jasny świat, ozłocony słońcem, przestronny, świeży. Oddychała lekko i swobodnie, pulsa jej biły żywo, ale jednostajnie, jakby w takt pogodnym myślom, którym się teraz oddała.

Salusia wpatrywała się w nią zachwycona; nigdy jeszcze „złota jej panienka“ tak piękną, tak promienistą jej się nie wydała. Sądziła, że radość z uwolnienia jej ojca tak ją ożywiła, i z wdzięczności całowała jej ręce.

Zofia nie broniła się wcale od tych oznak wdzięczności, nie uważała ich nawet; ona w tej chwili zapomniała, że Salusia jest przy niej; wzrok jej, choć wytężony, gubił się w przestrzeni, nie widząc nie, prócz tych słów: „Uwolnił go!“

— Uwolnił — myślała sobie — pomimo, że to sprzeciwiało się zasadom jego; uwolnił, choć tem narażał siebie i ojca; zrobił to, czego nie mógł nazwać dobrem... a więc tylko dla niej to zrobił; dlatego, że ona prosiła.

To przekonanie rozkoszą rozpierało jej piersi, tamowało oddech, odurzało głowę. Czuła się szczęśliwą, jak nigdy przedtem, bo uwolnienie Jakóba mówiło jej, że Adolf pamiętał o jej prośbie, że ona coś przecież znaczy u niego... To przeświadczenie robiło ją dumną i szczęśliwą.

Długiego potrzeba było czasu, zanim Zofia mogła ochłonąć z tego wrażenia i słuchać spokojnie i rozumieć to, co jéj Salusia opowiadała.

Dziewczyna pokilkakroć powtarzać musiała, że jej ojciec zachorował nagle w drodze i stracił przytomność, że Mateusz wzbraniał się go przyjąć bez wiedzy panienki, i dopiero siostra Klara na swoje odpowiedzialność kazała go zanieść do pokoju niebieskiego w ochronce.

Zofia pochwaliła postępowanie zakonnicy, posłała natychmiast po doktora do miasta, poleciła w liście do siostry Klary chorego jej opiece i troskliwości i sama obiecała Salusi odwiedzić ją w ochronce, skoro tylko sposobny czas znajdzie.

Po odejściu Salusi, Zofia znowu wróciła do tego czarownego słowa; uwolnił go... i poczęła snuć z tego wątka długie, tęczowe pasma marzeń. Ale barwy tych

marzeń były już nie tak jasne i żywe, jak przedtem; do radości przymieszał się ciemny kolor jakiéjś tęsknoty, smutku nieokreślonego, którzy coraz wyrazistsze przybierał rysy. Były to rysy barona. Postać ta ciemno zarysowała się na jasnem tle jéj radości i rzuciła ponury, długi cień na jéj myśli. Przypomniała sobie scenę, jaka wczoraj odbyła się na balkonie, i westchnęła. Nie sposób było łudzić się nadzieją, że będzie mogła zobaczyć tutaj kiedy Adolfa.

Ta pewność przytłaczała jéj duszę ciężkim smutkiem, który osnuł jéj myśli, słowa, jakby pajęczyną, i nadawał jéj ruchom jakąś senność, omdlałość, posępne zaniedbanie. Robiła wszystko bez życia; jadła, chodziła, rozmawiała, uśmiechała się nawet, ale w tém wszystkiém nie było duszy. Zapomniała nawet o swojéj Stelli i parę dni nie wychodziła z domu; aż dopiéro Jerzy przypomnieć jej musiał, że Stella stęskniła się bez niéj i niecierpliwi się w stajni. Wysłuchała go spokojnie, potem wstała, poszła na ganek i kazała osiodłać klacz; ale widocznie więcéj dlatego, by Stelli, niż sobie, przyjemność tém zrobić.

Ulubiona klacz poznała swoją panią i radosném rżeniem ją przywitała. Służący, który ją prowadził przed ganek, z trudnością mógł utrzymać ją na munsztuku. Zofia dosiadła klaczy obojętnie, głasnęła ją rączką po czarnéj, lśniącéj szyi, i popędziła do ochronki. Było to najulubieńsze i najzwyklejsze jéj miejsce. Klacz znała na pamięć tę drogę i, skoro stanęła przed żelazną bramą, sama już skręcała na mostek i tłukła kopytem o deski i o bramę, dopominając się, żeby otwarto.

Tym razem jednak, gdy według zwyczaju skręcać

chciała, Zofia zatrzymała ją na drodze i szpicrutą znagliła do dalszego biegu po gościńcu. Zdziwiona klacz strzygnęła uszyma, wstrząsnęła grzywą i potem posłuszna pobiegła na przód galopem wzdłuż okopów, otaczających park. Gdy dobiegła do końca parku, Zofia zboczyła na prawo, na maleńki wzgórek, zkąd szeroki dosyć był widok, szczególniej na fabryki Schmidtów. Stała czas jakiś, wpatrując się bystro przed siebie, jakby coś zobaczyć chciała, rozglądała się po okolicy, a potem zawróciła konia do ochronki.

Następnego dnia wycieczka na wzgórek znowu się powtórzyła, z tą różnicą, że nie zatrzymała się na nim tak długo, jak wczoraj, ale popędziła dalej przez pole, zasypane kupami galmanu i zielonopopielatej ziemi, i omijając ostrożnie doły, których tu było pełno, wjechała między zabudowania fabryczne, puściwszy konia szybkim kłusem.

Robotnicy ze zdziwieniem przypatrywali się kłusującej amazonce. Był to widok niezwykły w fabrykach. Nawet stary Schmidt, posłyszawszy tętent pod oknami, wyjrzał i zdziwił się niepomału.

Amazonka, mijając okna jego domu, rzuciła w przelocie tak bystre i przenikliwe spojrzenie, że stary Schmidt doznał wrażenia, jakby go kto dotknął w piersi rozpalonym drutem. Aż cofnął się w tył na chwilę. Potem wychylił się jeszcze więcéj z okna i patrzał za odjeżdżającą. Widział, jak okrążywszy dwie kuźnice, zboczyła na gościniec, wysypany żużlami, i zawróciła w stronę parku. To niespodziewane zjawienie się damy w fabrykach zastanowiło Schmidta. Nie przypuszczał, żeby

przypadkowo przejeżdżała, droga bowiem główna nie szła tędy. A jeżeli była z interesem, dlaczegóż nie zatrzymała się przed jego mieszkaniem, ale przebiegła szybko koło niego?

Kiedy tak rozmyślał stary, Adolf wszedł do mieszkania. Schmidt zauważył, że od pewnego czasu był czegoś smutny i bardzo zamyślony. I teraz, wszedłszy, miał ten sam wyraz jakiéjś tajonéj zgryzoty.

— Co tobie jest, chłopcze?.. — spytał Schmidt, niekontent z tego usposobienia jedynaka.

Adolf podniósł spokojnie oczy na ojca, wpatrzył się w niego bezmyślnie i odrzekł:

— Nic mi nie jest...

— Od kilku dni osowiałeś mi jakoś... straciłeś żywość, energią; to mi się nie podoba.

— Niezawsze można być wesołym, mój ojcze — odrzekł z jałowym z uśmiechem.

— Zkąd-że wracasz? — spytał go Schmidt po chwili.

— Z kuźnic.

— Czy widziałeś ją?

— Kogo?

— Tę damę, amazonkę, która tylko co przejechała tędy.

— Amazonkę?

Twarz Adolfa ożywiła się nagle, jak toń wody, poruszona wiatrem, — muszkuły jej zadrgały i nabiegły krwią.

Ojciec spojrzał na syna. Domysł zasępił mu oblicze.

— Amazonka na karym koniu, w zielonej woalce?.. — spytał Adolf z zajęciem.

— Tak... Ty ją znasz?

Stary spojrzał podejrzliwie, badawczo na syna.

— Znam... — — powiedział Adolf, spuszczając oczy.

— Kto ona jest?

— Siostrzenica barona...

— Teraz rozumiem. Ona tu dla ciebie przyjechała...

— Ależ ojcze!..

— Nie zapieraj się. Cóż by miała za powód tu przyjeżdżać?

Adolf chciał zaprzeczyć, a zarazem chciał-by był wierzyć temu. Domysł ojca wydawał mu się zanadto śmiałym, obrażającym baronównę; a jednak radby był być przekonanym, że ojciec się nie mylił.

— Więc to baronówna?.. — powtórzył stary, jakby, do siebie, i wargi jego wzdęły się w górę z niezadowolnienia i zafrasowania. — Ona się kocha w tobie, prawda?..

— Był-bym zarozumiałym, gdybym przypuszczał coś podobnego... — odrzekł pośpiesznie.

— A więc ty się w niéj kochasz?.. co?..

Adolf milczał.

Twarz starego Schmidta obciągnęła się chmurami, czoło pogięło się w nierówne doły i cienie.

— I nic mi nie mówiłeś o tém... to źle... byłeś nieszczery ze mną...

Znowu zatrzymał się chwilę, czekając, co syn powie na swoję obronę. Ale ten milczał uparcie.

— Ha, rób, jak ci się zdaje lepiéj... Radziłem ci szczerze, ale narzucać woli mojéj nie mam prawa. Żebyś tego kiedy nie żałował...

— O cóż się boisz ojcze?.. Wszak wiesz, że odjeżdżam...

W głosie jego był beznadziejny smutek, bolesna

rezygnacya. Stary spojrzał ze współczuciem na syna i rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu:

— Dzielny z ciebie chłopiec. Daruj mi, że cię posądziłem o słabość... Tak, odjedziesz ztąd, to będzie najlepiéj. Wierz mi, że ci ludzie nie umieli-by ocenić takiego, jak ty, człowieka. Oni nie warci ciebie.

— Nie ubliżaj im, ojcze, przez wzgląd na mnie. Ci ludzie mają wiele słabości, ale to nieźli ludzie. A ona... gdybyś ją znał, ojcze, jak ja ją poznałem!.. Ale widzę niepodobieństwo... i dlatego odjeżdżam...

Powziąwszy stały zamiar wyjazdu, Adolf nie mógł przenieść na sobie, by nie napisać kilku słów z pożegnaniem do Jerzego. Zaraz na drugi dzień rano zabrał się do tego i wyprawił list przez posłańca.

Kiedy Jerzemu wręczono list, był właśnie przy obiedzie. Zmieszał się, poznawszy pismo, i niespokojnie rozerwał kopertę. Treść listu uspokoiła go, a nawet rozrzewniła.

— Od kogo to list? — spytał baron, widząc wzruszenie na twarzy Jerzego.

— Od Adolfa.

— A!..

Baron z niesmakiem powiedział to a!., i zabrał się znowu do jedzenia.

Zofia zbladła i niespokojnie, pytająco, spojrzała na Jerzego.

— List z pożegnaniem... — rzekł ten ostatni. — Jest tu i do ciebie, baronie, słów kilka.

— Do mnie? — spytał baron z niechęcią i zdziwieniem. — I czegóż ten pan chce ode mnie?

— Usprawiedliwia się i przeprasza, że nadużył zaufania twego, lubo nie w złéj intencyi. Masz, przeczytaj.

Baron wziął list, położył obok siebie i jadł dalej. Dopiero skończywszy obiad, otarł usta i wziął niedbale list w rękę. Ale i na nim, równie jak na Jerzym, szczery i serdeczny ton listu dobre zrobił wrażenie. Nie wygadał się z tém wprawdzie; ale z twarzy jego wyczytać można było, że list go zadawalniał i schlebiał jego próżności.

Po obiedzie Jerzy wstał i poszedł odpisać Adolfowi. Baron zajął się czytaniem gazet, a Maurycy z Ireną przeszli pod okno. Nikt nie zwracał uwagi na Zofią, — było to szczęściem dla niéj; każdy bowiem łatwo mógł-by był wyczytać z mieniącéj się co chwila jéj twarzy, jak silne wrażenie zrobiła na niéj wiadomość o odjeździe Adolfa. Czas jakiś siedziała odurzona, przybita tą wiadomością. Potém nagle zerwała się i, wyszedłszy na ganek, kazała siodłać Stellę. Wróciła do pokoju po szpicrutę i kapelusz.

— A to gdzie? — spytał baron, zdziwiony tą wycieczką Zofii o tak niezwykłéj porze.

— Przejadę się konno...

— Teraz, po obiedzie, na taki upał?

— Nie zaszkodzi mi wcale... potrzebuję się przejechać. Mam ból głowy...

— Ależ nie bądź dzieckiem. Zaczekaj, aż ochłodnie, pojedziemy razem...

— Czyż mi nawet przejechać się nie wolno?.. — spytała niecierpliwie zadąsana.

Baron spojrzał na nią; nigdy jeszcze tak gwałtownie nie mówiła do niego; ruszył ramionami i nic nie rzekł.

Zofia nie uważała na to milczenie i wyjechała. Pojechała galopem prosto do ochronki. Tu przybywszy, zsiadła prędko z konia, weszła do pokoju zakonnicy i zażądała przyborów do pisania. Za chwilę wyszła i zawołała Salusi; odprowadziła ją w głąb' ogrodu, oddała jéj list i rzekła:

— Z tą kartką pójdziesz do fabryki i oddasz ją młodemu panu Schmidtowi; rozumiesz?..

— A jak mnie poznają i przytrzymają tam?..

— On cię uwolni i wróci tu z tobą.

— On tu przyjdzie... On, panienko złota! to dobrze...

I ucieszona dziewczyna poczęła całować ręce Zofii.

— Wprowadzisz go — mówiła daléj Zofia — przez furtkę, ale tak, żeby Mateusz, ani nikt go nie zobaczył; oto klucz od fórtki. Skręcisz zaraz na lewo do parku. Koło wielkiéj lipy czekać was będę. No idź, śpiesz się.

Salusia wpadła na chwilę do domu po chustkę, owinęła się nią, wysunęła się niepostrzeżenie przez fórtkę i szła pośpiesznym chodem do fabryk. Na szczęście spotkała Adolfa idącego właśnie w stronę parku. Ucieszona pobiegła ku niemu.

— Salusia! — zawołał Adolf, poznawszy ją — czego ty tu chcesz? Gdyby cię poznali...

Salusia, nie odpowiadając nic na jego pytania, wyjęła list Zofii z pod chustki i oddała mu. Adolfowi serce zabiło mocno. Domyślił się, od kogo list. Mimo to zapytał:

— Od kogo?..

Słowa z trudnością szły mu przez gardło.

— Od panienki naszej...

Adolf drżącą ręką rozerwał kopertę i przebiegł list

oczyma. List zawierał tylko kilka słów. Zofia chciała się z nim zobaczyć i rozmówić... Wpatrywał się w drobne litery, jak w jakie widzenie; pismo majaczyło mu w oczach, mieniło się i drżało, i ręce mu drżały, on cały drżał rozkosznem drżeniem szczęścia i zachwytu. Ten zachwyt odurzył go na chwilę, aż Salusia musiała przypomnieć, że panienka czeka, że czas, aby szli.

— Chodźmy — wyszepnął ściśniętym głosem i poszedł za dziewczyną.

Koło wielkiej lipy, której cień szeroko pokrywał murawę, na kamiennej ławeczce siedziała Zofia. Gdy ją zobaczył Adolf, zapłonił się i nie wiedział, jak ją witać, jak przemówić. Zofia wstała, podeszła ku niemu i podała mu rękę.

— Daruj mi pan, żem go trudziła — rzekła poważnie — ale chciałam panu podziękować za uratowanie Jakóba. Zrobiłeś mi pan tem wielką, wielką przysługę, większą może, niż sądziłeś.

Powiedziawszy to zdanie, które widocznie sobie przygotowała na początek rozmowy, Zofia nie wiedziała, co dalej mówić. Spodziewała się widać, że Adolf odpowiedzią ułatwi jej dalszą rozmowę; ale Adolf tylko milczeniem i ukłonem odpowiedział, — na więcej zdobyć się nie mógł. Słowa i przytomność go odbiegły wobec głębokiego spojrzenia, jakie w niego utkwiła Zofia.

Po chwili Zofia zdobyła się na nowe pytanie:

— Pan odjeżdżasz?..

— Tak...

— Prędko?..

— Za kilka dni...

— I wolnoż wiedzieć powód tego nagłego odjazdu?..

— Fabryk naszych rozprzestrzenić nie możemy — mówił, zdobywając się powoli na odwagę i odzyskując spokój i przytomność — rozprzestrzenić nie możemy dla braku miejsca. Dla dwóch niema tu co robić.

— A gdyby miejsce się znalazło, czy zostałbyś pan wtedy?.. — spytała.

Adolf chwilę milczał, namyślał się, potem odrzekł, spuszczając oczy ku ziemi:

— Nie...

— A więc jest inny powód?..

— Być może...

— Czy to tajemnica?...

— Chciał wyznać jej wszystko; ale się wstrzymał i, maskując istotną przyczynę, rzekł:

— Potrzebuję szerszego pola do działania, potrzebuję jeszcze sam się kształcie, widzieć w święcie coś więcej, niż to, co dotąd widziałem.

— Więc to był powód... — rzekła trochę dumnie. Dotknęło ją boleśnie i podrażniło to jego odezwanie się. — Skoro tak, to pozostaje mi tylko pożegnać pana i życzyć mu szczęścia.

Rzekła i podała mu obojętnie rękę. On nieśmiało uścisnął jej dłoń i, zmieszany tą nagłą zmianą w jej obejściu, zabierał się do wyjścia, nie mając pozoru do zostania dłużej. A dał-by był wiele, żeby mógł był pozostać.

Zaledwie jednak uszedł kilka kroków, usłyszał za sobą cichy, stłumiony jęk; obejrzał się i zobaczył Zofią

upadającą na ziemię. Osunęła się bez szelestu i łoskotu, jak przewrócona kolumna światła — omdlała.

Adolf poskoczył na ratunek, chwycił ją w objęcia, i tulił, i cucił.

Po małej chwili otworzyła oczy, westchnęła ciężko i, przesunąwszy ręką po twarzy, obejrzała się wokoło, zbierając przytomność. Powieki jej drgały szybko nad sztywnemi oczyma i usta spazmatycznie się ruszały. Gdy się spotkała z jego wzrokiem, wpatrzonym w nią z troskliwością i przestrachem, sztywne jéj oczy roztajały we łzach.

Potém, jakby się wstydziła słabości i zapomnienia, usiłowała uśmiechnąć się i rzekła:

— Co pan sobie pomyślisz o mnie, że tak... bez powodu... zemdlałam. Sama nie wiem z czego... My, kobiety, jesteśmy dziwnie słabe stworzenia...

Podniosła się z ziemi z jego pomocą i zwróciła się ku ławeczce.

— Usiądźmy — rzekła. — O czém my to mówili?..

— Mówiliśmy o powodach wyjazdu mego.

Dała mu znak ręką, aby milczał.

— Nie mówmy o tém więcéj — rzekła zmęczonym głosem.

— Owszem... chcę mówić — rzekł Adolf — nie powiedziałem pani bowiem istotnego powodu.

Zofia podniosła głowę i wpatrzyła się w niego szklącemi jeszcze od łez oczyma. Zdawało się, jakby jéj oczy zwiększyły się w téj chwili.

— Odjeżdżam... — mówił Adolf, szarpiąc rękoma

tasiemkę kapelusza — odjeżdżam, bo... nie wiem, czy pani nie obrazi otwartość moja...

— Mów pan, proszę.

A widząc, że się waha, rzekła:

— Odjeżdżasz pan dla mnie... czyż nie prawda?.. to chciałeś pan powiedzieć...

— Zgadłaś pani...

— Nie, nie zgadłam. Pan nie dla mnie odeżdżasz, odjeżdżasz dla siebie, dla dumy, która nie pozwala panu przyznać się do tego, co nazywasz zapewne słabością duszy...

— Mylisz się pani, odjeżdżam, bo widzę niepodobieństwo...

— A czyś pan probował czemkolwiek usunąć to niepodobieństwo?., przekonać się, czy ono istnieje rzeczywiście?..

— Znam przesądy ludzi waszego urodzenia; wiem, jaką miarą mierzycie wartość człowieka i nie chciałem pokazać się śmiesznym w oczach pani.

— A gdybym panu powiedziała, że się omyliłeś. Czy zostaniesz?..

— Wtedy odjadę z pociechą, że piérwsze uczucia serca oddałem kobiecie niezwyczajnéj, wyższéj nad przesądy, zacnéj; ale odjechać jednak muszę.

— Teraz już nie rozumiem pana.

— Wszak pani nie zależysz od siebie, a baron nie zezwoli nigdy. Znam go trochę w tym względzie; domyślam się, jak-by się oburzył, a ja nawet za cenę tak wielką, jak miłość pani, nie zniósł-bym upokorzenia, ani

chciał-bym nieprawym sposobem zdobywać sobie szczęścia. Ani ja, ani ojciec mój nie zgodzili-byśmy się na to. My, ludzie pracy, mamy także swoję dumę.

Baronówna podniosła się z ławki; w twarzy jéj było poważne zamyślenie.

— Panie Adolfie — rzekła — szanuję pańskie powody i podzielam je. Ja również nie przystałabym na to, abyśmy ukradkiem zdobywali sobie to szczęście, które nam się z prawa należy. Ale przekonam tych, od których zależę, że dla mnie niéma szczęścia bez pana. Przyznaję się otwarcie do tego, nie rumienię się, ani wstydzę tego wyznania, bo miłość moja dla pana nie jest chwilową, kapryśną zabawką duszy; ale jest jéj potrzebą, koniecznością. Kto mi przeszkodzi ziścić to pragnienie, odpowié za moje życie!..

Była w téj chwili tak majestatycznie piękną, tak poważną, że Adolf nie śmiał nawet dziękować jéj za to wyznanie, nie śmiał zbliżyć się i ucałować jéj ręki. Pocałunek uwłaczał-by uroczystości téj chwili.

— Potém, coś pan usłyszał, czy możesz pan wstrzymać swój wyjazd?.. — spytała go Zofia.

— Zostanę.

Podał jéj rękę. Ona rękę jego zatrzymała w swojéj i szli razem czas jakiś obok siebie w milczeniu.

W tém na końcu alei ukazał się baron. Widok ten zmieszał Adolfa... chciał usunąć się od Zofii; ale zatrzymała go i rzekła ze stanowczością:

— Zostań pan — i poszła z nim śmiało wprost naprzeciw barona.

Ten stanął, jak-by piorunem rażony, zobaczywszy Adolfa

obok Zofii. Gniew, oburzenie odjęło mu na chwilę mowę. Zaledwie zdołał wydobyć z piersi pytanie, mierząc siostrzenicę strasznym wzrokiem:

— Zofio, co to znaczy?!

Potem, wyrwawszy jej rękę z ręki Adolfa, spojrzał na niego z pogardą i zapytał dumnie:

— Jak śmiałeś pan tu przyjść?..

— Ja wezwałam pana Adolfa... — odrzekła z powagą i spokojem Zofia.

Baron spojrzał na nią wytrzeszczonemi oczyma.

— Ty? Dlaczego?!

— Aby mu powiedzieć, że go kocham...

Oczy barona krwią nabiegły; wyznanie Zofii pozbawiło go prawie przytomności, gniew przeszedł we wściekłość, furyą. Wszystkie muszkuły jego twarzy drgały, że zdawało się, iż cała twarz karmazynowa rozleci się w kawałki.

— Co? ty... ty?.. — bełkotał niewyraźnie — ty kochasz tego?..

Przerwała mu prędko i rzekła z dumą:

— Nie obrażaj, wuju, tego, który będzie mężem moim.

— Co?., on?., ten cham?..

— Baronie!.. — odezwał się surowo Adolf, marszcząc brwi — nie zapominaj się!..

— Ty śmiesz mi grozić? Ty, ty, co wkradłeś się jak złodziej do mego domu, aby obałamucić młodą dziewczynę! Więc to są wasze zasady postępowe, wyrodki społeczeństwa, ludzie bez honoru i imienia!.. Ty mężem jéj?.. Prędzéj będę ją wolał trupem widzieć, niż żoną dorobkowicza, urodzonego na śmiecisku, jak pies.

— Czy słyszysz, panno Zofio? — spytał Adolf z bolesnym i cierpkim uśmiechem.

Zofia stała, cała zcierpnięta, zesztywniała z przerażenia, słuchając obelg barona; zbladła śmiertelną bladością i rzekła ledwie dosłyszanym głosem, zwracając się do Adolfa:

— Idź pan, panie Adolfie. Nie mogę pozwolić, byś dla mnie dał sobie uchybiać. Ubliżałabym tobie i sobie, gdybym cię chciała tu zatrzymywać dłużéj... *Teraz* możesz odejść...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

XXII.

W powrocie do domu, baron, ochłonąwszy nieco z gniewu, chciał na drodze łagodniejszéj już perswazyi przekonać Zofią o niestosowności jéj znalezienia się w parku. Miłość jej do Adolfa nazwał zaślepieniem, chwilowém uniesieniem, zapomnieniem się, którego-by potém mocno żałowała. Przypomniał jéj obowiązki rodu, stanowisko, jakie zajmuje i tysiączne inne argumenta... Zofia nic nie odpowiadała. Obrażona i boleśnie dotknięta duma zamknęła jéj usta. Siedziała jak automat obok niego, z rękoma opuszczonemi na kolana. Oczy patrzały przed siebie sztywnie, surowo, poważnie. Niema i milcząca jéj boleść była dziwnie przejmującą i przykrą. Barona niepokoiło to. Wołał-by był łzy, wyrzuty i skargi, niż to głuche milczenie, niż te zamknięte, blade usta.

Gdy przybyli do pałacu, Zofia udała się wprost do swego pokoju. Tego dnia nie wyszła do herbaty. Baron opowiedział córce, Jerzemu i Maurycemu zdarzenie w parku. Wszyscy byli oburzeni na Adolfa, jemu bowiem przypisywali powód zapomnienia się Zofii.

Jerzy robił sobie wyrzuty, że przez niego Adolf dostał się do ich domu i zamącił spokój rodzinny. Irena nie miała słów na wyrażenie oburzenia, że syn jakiegoś fabrykanta śmiał podnieść oczy na pannę wysokiego rodu. Była zgorszoną i zirytowaną zuchwałością parweniusza. Maurycy nie wiele wtrącał się do rozmowy, bo mu nie wypadało mieszać się w interesa familijne; jednak twarz

jego wyrażała widoczne zadowolenie i tryumf z poniżenia człowieka, do którego on miał antypatyą od pierwszéj chwili.

— Pańskie domysły były słuszne — rzekła do niego Irena. — Przypominasz pan sobie, cośmy przed kilku dniami mówili o Zosi... Pan odgadłeś powód jej dziwacznego usposobienia...

— A pani wątpiłaś wtedy, że panna Zofia będzie miała tak gminny gust, że się jej może spodobać człowiek, który w kominach i maszynach widzi poezyą. Panienki w tym wieku miewają często dziwaczne i kapryśne zachcenia...

— Nie, nie, Zosia temu niewinna — utrzymywał baron. — Dziewczyna młoda, niedoświadczona... on spostrzegł to i chciał korzystać z tego...

— Utylitarysta... — rzekł z przekąsem Maurycy — to jego fach...

— Frant... — dorzucił baron. — Szczęściem, że dość wcześnie zdemaskował się... Zosi na chwilę przewróciło się w główce; ale pewny jestem, że ta niedorzeczna miłość prędko wyszumi jej z głowy...

Tak rozumował baron; ale domysły jego nie sprawdzały się. Stan Zofii z każdym dniem się pogorszał. Nie płakała, nie skarżyła się, ale zobojętniała na wszystko; przestała prawie mówić. Jerzy i baron wysilali się, aby ją rozerwać, wymyślali zabawy, przejażdżki. Zofia brała w nich udział osobą swoją, ale dusza jej zdawała się być umarłą i zastygłą na wszelkie wrażenia. Okropnie było patrzeć na nią, jak nieraz, wśród ogólnej wesołości, siedziała z oczyma utkwionemi w jedno miejsce, bez ruchu i życia, z twarzą

bladą i niewzruszoną, którą mroziła wszystkich. Irenę drażniła ta apatya, nazywała ją komedyą i unikała towarzystwa Zofii, które jéj działało na nerwy. Barona ten stan martwoty do desperacyi doprowadzał. Nieraz widząc, jak daremnemi były wszelkie sposoby rozerwania jéj, pytał zniecierpliwiony:

— Powiedz mi, co ci jest?..

Spoglądała wtedy na niego bezdusznym, pustym wzrokiem i odpowiadała krótko:

— Nic...

— Czy jesteś chorą

— Nie...

„Tak“ i „nie“... to były jedyne słowa, które z zamkniętych ust jéj dobyć można było. Reszty słów jak-by zapomniała. Dusza jéj zdawała się nie czuć, nie myśléć, nie żyć...

Jednego dnia do miasteczka przybyła trupa wędrujących artystów; porozsyłano afisze po okolicy, zapowiadające przedstawienie dwóch komedyek Fredry syna: „Jedynaczka“ i „Consilium facultatis“. Obiedwie pełne wesołości, aż do przesytu, i swobodnego, luźnego humoru. Baron znał je dobrze; zdecydował się jednak pojechać na nie, głównie dla Zofii. Miał nadzieję, że ją to zabawi, rozśmieszy... Gdy jéj to zaproponował i prosił, żeby się wybrała z nimi, wstała w milczeniu i, posłuszna jak dziecko, ubrała się i pojechała. Ale przez cały czas przedstawienia siedziała nieruchoma, obojętna, jak-by nic nie słyszała, nie widziała... Ani jeden muszkuł bladéj twarzy nie drgnął, oczy ani na chwilę nie pozbyły się

martwoty i sztywności. Wśród ogólnéj wesołości, panicznego śmiechu publiczności, siedziała jak posąg cmentarny; gwar wesołości zdawał się nie dochodzić jéj uszu. Wszystkie lornetki z ciekawością zwróciły się na jéj posągową twarz, z matowemi, czerwonemi oczyma; ale ona nie widziała tego. Baron nie mógł spokojnie patrzéć na tę żywą umarłą, łzy zakręciły mu się w oczach, wstał i opuścił z nią salę w połowie przedstawienia.

Smutek Zofii zatruwał mu życie, odbierał sen, bo kochał ją bardzo; a w miarę, im więcéj się tém martwił, tém więcéj rosło jego oburzenie przeciw Adolfowi. Jemu-to bowiem przypisywał wszystko; nie chcąc, przypuścić, że sam jest powodem cierpienia Zofii... całą winę składał na Adolfa. Była to dziwna logika, któréj fałszywości nie spostrzegał nawet baron. Wyrzekaniem na podłego parweniusza, złorzeczeniem mu, baron ulżywał nieco swojéj boleści; ale nie wystarczało to na uspokojenie go, zwłaszcza, gdy spostrzegł z przestrachem, że chorobliwy stan duszy Zofii oddziaływał silnie na delikatny jéj organizm, że poczęła widocznie opadać z ciała, niknąć. Zatrwożony tém, wezwał z miasta doktora.

Doktor ten, od niedawna osiadły w tych stronach, używał reputacji bardzo zdolnego w swoim fachu. Kilka szczęśliwych jego kuracyi opowiadano sobie z podziwem, rozumie się, nie bez nadzwyczajnych dodatków. To też baron z pełnem zaufaniem udał się do niego.

Był to człowiek około lat trzydziestu zaledwie: osobistość sympatyczna, budząca zaufanie i uszanowanie.

Przybywszy do Zalesia na wezwanie barona, został

przedstawiony Zofii, nie jako doktor, ale jako gość. Baron bowiem nie chciał, aby Zofia wiedziała, że stan jej zdrowia jest zatrważający; bał się, by niespodziewane pojawienie się doktora nie zrobiło na niej wrażenia i nie pogorszyło jej słabości. W charakterze więc gościa doktor delikatnie, ostrożnie wybadał pilnie stan chorej, więcej obserwując ją, niż pytając. Baron niespokojnie patrzał w twarz jego, chcąc na niej wyczytać, co myśli. Ale twarz ta, spokojna, nie wiele go objaśniła. Starał się więc jak najprędzej znaleźć sposobność wyprowadzenia doktora do ogrodu. Tu, zaledwie zostali sam-na-sam ze sobą, zapytał go z troskliwością i niepokojem:

— I cóż, doktorze? Jakże ją znalazłeś?..

— Nie będę łudził barona... Stan chorej jest zatrważający!..

Baron zachwiał się, zimny pot wystąpił mu na blade czoło.

— Czy być może?.. — wyszeptał drżącym głosem — nie przypuszczałem nigdy...

— Daj Boże, abym się mylił... U kobiet w tym wieku choroby często robią zwroty niespodziewane, które nas, lekarzy, w kłopot wprowadzają. Tam, gdzie często tracimy już nadzieję, natura nieraz cudów dokazuje i drwi z naszej nauki. Często bywa także przeciwnie... Takie przyznanie się nic ubliża nam, ani nauce, pokazuje tylko niesłychaną rozmaitość organizmów ludzkich. Gdyby nie to, bylibyśmy nieomylnymi.

Baron wpatrywał się w twarz mówiącego wzrokiem, w którym malowało się ogłupienie, zdudziałość. Doktor

skończył mówić, on jeszcze zdawał się słuchać; ale nic nie słyszał z jego mowy, nic nie rozumiał, prócz tych słów: „stan chorej jest zatrważający“.

Po chwili doktor zapytał go:

— Czy nie uważasz pan, czy ten stan apatyi u chorej zwiększa się, czy zmniejsza, czy też ma jakieś przerwy?..

— Zdaje mi się, że jednako.

Mówiąc tak, baron, chciał oszukać siebie, doktora i chorobę, bo nie mógł nie zauważyć, że apatya chorej coraz była większą.

— I nie domyślasz się pan powodu tej słabości?.. — pytał dalej doktor.

— Nie... — odpowiedział krótko.

Za nic w świecie nie był-by powiedział doktorowi istotnego powodu.

— Czy może jaki powód moralny... jakie cierpienie...

— Wątpię... Wszyscy ją tutaj tak kochamy...

— W takim razie — mówił doktor — będzie to powód czysto fizyczny, wielka niedokrewność...

— Tak... tak... tak... i ja się domyślam... — Potakiwał baron, gdyż mu na rękę była taka explikacya choroby, zdejmowała mu bowiem kamień z serca, uwalniała go od wielu wyrzutów. — Tak, tak... niedokrewność... — powtarzał.

— W razie, gdyby się stan pogorszył, apatya mogła-by przejść łatwo w melancholią... i to jest, czego się obawiam... Nie uważałeś pan, czy usposobienie chorej już dawniej nie było skłonne do tego stanu, w jakim jest obecnie?..

— Nigdy. Była zawsze żywą, wesołą...

— To dobrze. Wrodzone bowiem usposobienie do ponurej zadumy, odziedziczona po rodzicach skłonność do tego, czyni nieraz chorobę tę nieuleczalną.

Baron zbladł znowu na te słowa. Matka Zofii umarła w domu obłąkanych na melancholią. Doktor ani wiedział, jak silnie słowa jego, spokojnie i obojętnie wypowiedziane, ugodziły w barona; śmiertelna trwoga o Zofią owładnęła go znowu... Nie przyznał się jednak przed doktorem do powodów swéj obawy; zdawało mu się, że, oszukując doktora, oszukuje chorobę. Obawa o Zofią zrobiła go tak dziecinnym.

— Więc cóż robić?.. — spytał zgnębiony. — Radź, doktorze... Od czegóż wasza nauka?..

Doktor wątpliwie ruszył ramionami.

— Tu lekarstwami niewiele poradzi... Odżywianie organizmu... rozrywka... może wyjazd za granicę... do kąpieli żelaznych... — to są skromne środki, jakie ma medycyna na tego rodzaju choroby... Natura tu może bardzo wiele... To mię jednak zastanawia — rzekł po chwili — że, jak pan powiadasz, nie było żadnego szczególnego powodu do téj choroby. W takim razie trzeba-by przypuścić jedynie defekt familijny. Tymczasem i tego przypadku tu niéma. Wszak tak powiedziałeś, panie baronie?..

Baron udał, że nie słyszy pytania, by nie był zmuszony odpowiadać na nie, i zagadnął prędko o co innego.

— Więc jakież wody radzisz nam, doktorze?.. — spytał pośpiesznie.

— Franzensbad... Ale to tylko w tym wypadku, gdyby

stan zdrowia się nie pogorszył...

— A gdyby się pogorszył?.. — spytał baron zmienionym głosem.

— W takim razie musieli-byśmy chorą gdzieindziéj wysłać — odrzekł poważnie i smutno lekarz.

— Do innych wód?..

— Gorzéj!.. do domu obłąkanych!..

Na tém skończyła się narada lekarska. Doktor, przyrzekłszy, że za dni kilka odwiedzi chorą, odjechał, zostawiając barona w okropnym stanie. Śmierć matki Zofii stała jak widmo przed jego oczyma i zdawała się wyciągać ręce po nową ofiarę. Ostatnie słowa doktora huczały mu w uszach, jak dzwon pogrzebowy, i do rozpaczy go doprowadzały. Jedynie Franzensbad go pocieszał. Tém jedném słowem odpędzał od siebie niepokój, zwątpienie, pocieszał się i krzepił. Z dziecinną prawie wiarą uczepił się tego słowa, i wierzył, że Franzensbad uleczy Zofią zupełnie. Z niecierpliwością zajął się urzeczywistnieniem téj myśli i zaraz dnia następnego usiłował w rozmowie przygotować Zofią i namówić do téj podróży.

Wysłuchała go spokojnie, w milczeniu; potém potrząsła głową przecząco.

— Jakto?.. — spytał baron — nie chcesz jechać?..

— Nie...

— I dlaczego?..

Nic nie odpowiedziała na to pytanie.

— Tobie potrzeba rozrywki... zmiany miejsca... — mówił dalej barou — kąpiele wzmocnią cię i odświeżą... Pojedziemy na kilka tygodni...

Potrząsła znowu głową i rzekła:

— Nie...

— Zosiu... — odezwał się baron rozżalony — jeżeli nie masz już litości nad sobą, to miej nade mną, starym... Ty mnie do grobu doprowadzisz... Powiedz mi, o co ci idzie?... czego chcesz ode mnie?.. — mówił zdesperowany.

— Nic... — odrzekła i westchnęła ciężko.

— Czyż się to godzi, abyś dla lada kogo, dla jednego ło....

Zatrzymała go w zapale spojrzeniem. Poprawił się i mówił dalej;

— Dla jednego człowieka poświęcała nas wszystkich... i zasmucała nas... Wszak nic złego ci nie zrobiłem... Przecież nie możesz wymagać niepodobieństwa, nie możesz chcieć ode mnie, abym zezwolił na taki mezalians. No, przyznaj sama. Pomyśl, coby świat na to powiedział, gdybym pozwolił na coś podobnego? coby matka twoja powiedziała, gdyby żyła?..

Zofia znowu zwróciła na niego duże swe oczy. Tym razem z ciemnych ich przepaści wyglądała surowość i ciemne brwi zbiegły się do środka czoła. Tem zmarszczeniem brwi i surowym oczu wyrazem powiedziała mu, że nie wierzy w to, co jej mówił, że obraża tem pamięć jej matki.

— Jakto... nie wierzysz, że matka twoja oburzyła-by się na to?.. Powiem ci więcéj. Pisząc do mnie na kilka godzin przed śmiercią, w których odzyskała przytomność, poleciła mi czuwać nad tobą i strzedz cię od podobnego kroku, który jéj zatruł całe życie i stał się przyczyną jéj choroby... Matka

twoja zrobiła mezalians i gorzko odpokutowała za to zapomnienie. Dlatego na śmiertelném łożu pamiętała, by córkę zastrzedz od tego.

— To nie prawda... — rzekła pogardliwie.

Wargi jéj wzdęły się z odrazą, jakby się napiła gorzkiego lekarstwa. Z takiém obrzydzeniem przyjęła słowa barona, które uważała za kłamstwo, ułożone dla zwiedzenia jéj.

— Przekonam cię... — rzekł baron, który odgadł myśl jéj, i poszedł do swego gabinetu. Niezadługo wrócił ztamtąd, trzymając w ręce kawałek pożółkłego papieru i wręczył go Zofii.

Ta przeczytała powoli i uważnie list cały. W miarę im dłużéj czytała, twarz jéj posępniała, jakby ją kto coraz większemi cieniami obrzucał. Potém ręce jéj wraz z listem opadły ciężko na kolana i boleśnie jęknęła:

— O! matko!..

— Umierającéj przysiągłem dotrzymać słowa — mówił baron uroczyście. — Widzisz więc, że jestem związany i choć-bym nawet wbrew zasadom moim chciał pozwolić na to szaleństwo, przez pamięć na matkę twoję... nie mogę...

Rozmowa ta nie uleczyła wprawdzie Zofii, ale ją bardzo zmieniła. Owa duma pogardliwa i hardość, co drzemały dotąd na zastygłych rysach jéj twarzy, ustąpiły teraz miejsca jakiemuś pognębieniu i bezsilności. Dusza coraz więcéj grzęzła w smutku.

Mimo to, na wyjazd do Franzensbadu namówić się nie dała, choć zdrowie jéj w zatrważający sposób z każdym dniem się pogorszało.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Michał Bałucki](#).*

XXIII.

Wśród tego czasu zdarzył się wypadek ważny i smutny dla całéj okolicy. Burza niepamiętna, nadzwyczajna, wraz z gradem, poniszczyła bielejące już zboża, a czego grady nie wytłukły, to zniweczyły do ostatka wylewy. W skutek ciągłych i ulewnych deszczów, rzeka, przerzynająca Zalesie, wezbrała tak gwałtownie i wysoko, że nietylko domy, tuż nad rzeką stojące, zalała, ale i wyżéj nieco położonym zagrażała. Popłoch był niesłychany. Ludzie, nieprzyzwyczajeni do tego rodzaju klęski w téj okolicy, nie umieli sobie radzić, bronić się przed natarczywością rozszalałego żywiołu; to też większa część mizernego dobytku wieśniaków poszła z wodą. Niebezpieczeństwo wzrastało, gdyż burza za burzą, jak procesyą, przechodziły codzień, woda coraz bardziéj wzbierała i przestrach zwiększał się. Biedny lud, wylękniony, zrozpaczony, lamentem tylko i modlitwą radził sobie; środków obrony nie było żadnych, ze dworu żadnéj pomocy, gdyż dworscy ludzie zajęci byli pilnowaniem i wzmacnianiem wałów parku, które woda podmulała i przerwać usiłowała w kilku miejscach. Baron wyznaczył nagrodę służbie, jeżeli ochroni park od zalewu. Woda, dostawszy się do parku, porobiłaby okropne spustoszenia i poniszczyła-by niechybnie, z taką starannością przez tyle lat zaprowadzane przez barona, ulepszenia. To téż służba, wszyscy domownicy i oficyaliści, zajęci byli dzień i noc obroną wałów. Wieś zostawiono na pastwę wylewu.

Na szczęście, młody Schmidt, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie wieśniaków, pośpieszył ze swymi ludźmi na pomoc; a mógł to tém łatwiéj uczynić, gdyż u nich nie było niebezpieczeństwa. Wprawdzie ta sama rzeka, która tu takie spustoszenie robiła, przepływała powyżéj przez ich fabryki; ale przezorny Schmidt, zakładając fabryki, zamknął rzekę w wysokiém, kamienném korycie i wyrównał jéj bieg. Była to robota kosztowna która jednak teraz sowicie się wypłaciła.

Schmidt ze spokojem patrzał na rozhukane, żółte, spienione fale rzeki, które z wściekłością tłukły się, szumiały i przewalały w kamienném łożysku. Rzeka nie podniosła się nawet do połowy tam. To téż syn jego mógł bezpiecznie i bez obawy śpieszyć na pomoc zagrożonym wieśniakom z Zalesia. — Zręczny, przytomny i energiczny, kierował dzielnie obroną, ratował nieszczęśliwych z niesłychaną odwagą. Ponieważ głównym powodem nieradności był brak łodzi, Adolf posłał natychmiast do fabryk i kazał tratwy, przygotowano na brzegu do spławu cynku, spuścić na rzekę. W ten sposób kilka tratew spłynęło z biegiem rzeki na pomoc. Była to pomoc wielka, gdyż na tratwy chwytano pływające sprzęty, naczynia i przewożono je na bezpieczne miejsce. Adolf sam stał przy jednym sterze i baczny wzrok rzucał na wszystkie strony, wydając rozkazy. Wszystkich oczy były na niego zwrócone; kobiety, stojące na brzegu, ze łzami wdzięczności wyciągały do niego ręce i dziękowały, błogosławiąc wybawcę.

Jednak pomimo tak dzielnéj i energicznéj pomocy, jaką niósł Adolf ze swymi ludźmi zagrożonym mieszkańcom,

położenie stawało się coraz okropniejszém. Woda przybywała ciągłe i podnosiła się w łożysku coraz wyżej, oblewając coraz cieśniéj wzgórki, na których schroniła się większa część ludności z dobytkiem swoim. Adolf obserwował pilnie ten gwałtowny wzrost wody i coraz więcej tracił nadzieję. Na twarzy jego widać było zafrasowanie i niepokój.

Jeden tylko zostawał środek ratunku. Adolf jednak nie mógł zdecydować się na niego. Powiemy zaraz dlaczego.

Rozpatrując się w położeniu okolicy i przypływie wody, spostrzegł Adolf wprawnem okiem, że gdyby rzeka, gdzieś powyżej, swobodniejszy odpływ miała i mogła się rozlać szeroko, pęd jej na równinę, na której leżało Zalesie, byłby mniej gwałtowny i mniej obfity. Ale właśnie powyżej ludzie barona, pilnując wałów i wzmacniając je, bronili jej tego upustu. Przerwanie wałów otaczających park rozdzieliło-by masy wody, nizki teren parku stanowił-by rodzaj rezerwoaru i zmniejszył przypływ na równinę. Środek był bardzo skuteczny i zaradczy; ale Adolf nie mógł zdecydować się na niego.

Wiedział bowiem, jak baron wysoko cenił tę rozkoszną ustroń swoję, jak dumnym był z niej, a nie ulegało wątpliwości, że przerwanie wałów zniszczy i zrujnuje park mocno. W każdym innym razie powód ten nie wstrzymał-by Adolfa ani na chwilę; ale teraz, po świeżem zajściu z baronem, był pewny, że ten tylko uczuciu zemsty przypisze krok, który on chciał przedsiębrać jedynie dla ocalenia nieszczęśliwych. Dlatego wahał się i wyczekiwał.

Ale niebezpieczeństwo wzmagało się tak widocznie, że

Adolf, powodowany szlachetnem uczuciem ludzkości, odrzucił na bok wszystkie osobiste skrupuły i dał znak do przerwania wałów. Ludzie z rączością i okrzykiem rzucili się do spełnienia jego rozkazu. Niektórzy z nich sami wpadli już poprzednio na te myśl, ale bali się wykonać ją bez jego pozwolenia. To też teraz z gwałtownością i pośpiechem rzucili się do dzieła.

Ludzie barona znowu, spostrzegłszy ich biegnących ku wałom, domyślili się zamiaru i śpieszyli, — by im przeszkodzić. Rozpoczęła się bójka zażarta, wściekła. Z jednej strony służalcza gorliwość, z drugiej instynkt zachowawczy, chęć ratowania się, rozpalały do wściekłości i rozpacznych wysileń.

Rezultat bójki nie mógł być wątpliwym. Ludzie Adolfa, posiłkowani gromadą wieśniaków, byli w tak znacznej większości, że w niedługim czasie odparto łudzi barona i przekopano wały w kilku miejscach.

Woda szalonym pędem wciskać się zaczęła temi otworami, rozpierała gliniaste ściany, podmulała je, waliła i w krótkim czasie park cały stał w wodzie. Mętne, żółte falo wirowały i zataczały się koło szerokich drzew, przedzierały się przez gałęzie krzaków i zalewały coraz to dalsze przestrzenie. Za to na równinie woda przestała podnosić się, a przynajmniej przypływ jej był bardzo mało widoczny.

Stojący na wałach z łopatami i siekierami robotnicy, wznieśli okrzyk radosny na cześć Adolfa. Okrzyk ten potężny, silny, jak huragan zatrząsł drzewami parku i rozleciał się po nim w tysiącznych echach.

Okrzyk ten doleciał aż do uszu barona. Domyślił się, co

on znaczy, bo mu już doniesiono o całym wypadku, i twarz jego groźnie zasępiła się, na okrzyki owe dzikiej radości. Okrzyki zdawały się urągać z jego niemocy. Baron był sinoblady, jak gradowa chmura, nic nie mówił; ale z niespokojnie łatających oczu i drżących warg łatwo odgadnąć można było, jaka burza kłębi się w nim. Żal, oburzenie, pogarda i duma, zmieszane, лvrzały w jego sercu. Ani na chwilę nie wątpił, że Adolf wyrządził mu to umyślnie, powodowany uczuciem nienawiści i zemsty, i teraz tryumfuje i cieszy się ze swego dzieła. Duma barona cierpiała niezmiernie na tym tryumfie parweniusza, upokorzenie gryzło go i martwiło.

Gorzej jeszcze uczuł swą krzywdę, gdy mu po kilku dniach doniesiono, jakie szkody porobił wylew w parku. Woda poznosiła i porwała mostki, rozrzuciła sztuczne groty, zamuliła ścieżki i gazony; gotycką minkę podminowała tak, że się zapadła w kilku miejscach.

Ze ściśniętem sercem słuchał baron tych relacyi, nienawiść i oburzenie przeciw Adolfowi rosły w nim.

— Odpowie mi za to... — rzekł, uderzając o stół.

— Ciężko mi to odpokutuje!..

Pogróżka była nie na wiatr rzucona. Baron bowiem chciał na drodze sądowej poszukiwać swej krzywdy i dopomnieć się o ukaranie winnego. W tym celu kazał rządcy porozumieć się z adwokatem i wygotować pozew.

Rządca, trafiając w myśl barona, wystosował sążnisty pozew, przesadzając w nim całą sprawę i powiększając szkody, zrządzone przez wylew. Przesada była tak widoczną, że baron sam uznał za stosowne porobić niektóre

zmiany i kazał jeszcze raz pozew przepisać. Prawość jego nie pozwalała na kłamstwo, chciał być surowym, ale nie umiał być niesprawiedliwym.

— Nie potrzeba nam — rzekł do rządcy — udawać się do wybiegów, gdy mamy słuszność za sobą... Czyn tego fabrykanta sam go potępia; jest on dość szkaradny, by go jeszcze powiększać. Opisz pan tak, jak było...

Rządca, niekontent, że nie oceniono jego gorliwości, zabrał pozew z rąk barona dla zmienienia go. Obiecał stawie się z nim na drugi dzień rano.

Tymczasem wieczorem, baron, przeglądając dzienniki, spostrzegł między rozmaitościami artykuł, który go zastanowił; zatytułowany był bowiem „Wylew w Zalesiu“. Baron wziął się z uwagą do odczytania go. Artykuł był téj treści:

„Niepamiętne burze i grady, które przez kilka dni nawiedzały okolicę Zalesia, spowodowały tak wielki wylew rzeki, płynącej przez tę okolicę, i wyrządziły tak wielkie straty, że mieszkańcy do nędzy przyprowadzeni zostali. Za staraniem panów Schmidtów, fabrykantów sąsiedniej osady, rząd wyznaczył zapomogę dla nieszczęśliwych w kwocie 5000 talarów, a bank zastawniczy, za poręczeniem tychże fabrykantów, otworzył dla poszkodowanych gospodarzy kredyt do wysokości 30, 000 talarów“.

Baron, po przeczytaniu tego artykułu, zachmurzył się. Czyn Schmidtów zadziwiał go i upokarzał zarazem. Zrobili oni to, co do nich nie należało, co było właściwie jego obowiązkiem. A jemu nawet na myśl nie przyszło pamiętać o tych nieszczęśliwych. Zajęty sprawą przeciw Adolfowi,

myśląc o własnej tylko krzywdzie i szkodzie, nie pomyślał, że tylu biednych daleko dotkliwsze poniosło straty.

Gniewał się sam na siebie za to zapomnienie, wyrzucał sobie brak przytomności i roztargnienie.

A że baron zawsze, dla ulżenia sol)ie, zwykł był winę przypisywać innym, i tym razem skończyła się na rządcy, że nie zwrócił na to jego uwagi. Kazał go więc natychmiast przywołać i spytał:

— Czy wieśniakom, poszkodowanym przez wylew, dano jaką zapomogę?..

— Dotąd nie... — odrzekł rządca, patrząc na barona, zdziwiony tym nagłym wyskokiem dobroczynności.

— A czemu?..

— Mało który zgłaszał się o pomoc... A i tym, co byli, niechętnie udzielaliśmy, bo nie wiedzieliśmy... czy to będzie z wolą jasnego pana... — dodał rządca nieśmiało.

— Czyż zabraniałem wam kiedy być dobroczynnymi dla moich ludzi?.. — spytał baron, dotknięty tą uwagą.

— Sądziłem, że ludzie, którzy wyrządzili krzywdę jasnemu panu, którzy przyczynili się do niszczenia parku, nie są warci względów i pomocy jasnego pana...

— Za to odpowiedzą przed sądem... Zresztą byli podmówieni... Nie chcę, aby cierpieli za kogo... Skoro który zgłosi się o pomoc, proszę dać..^

— Ale co?.. — spytał rządca.

— Co?.. zboże. Wszak tego im najwięcej potrzeba...

— Spichlerze nasze także niepełne, a na świeże plony niema sic co oglądać, bo grad równie i nas nie oszczędzał...

— To dać pomoc w gotówce...

— Ależ jasny panie...

— Żadnych ale... — rzekł baron ze stanowczością. — Ja nie chcę, żeby się moimi ludźmi ktoś inny miał opiekować... Barona stać jeszcze na to, by mógł im dopomódz...

Rozkaz był tak stanowczy, że rządca zamilkł i ukłonił się posłusznie. Nie mógł pojąć, eo się stało baronowi; nigdy jeszcze z taką energią i siłą nie przemawiał do niego.

W interesach baron zwykle okazywał brak decyzyi i miękkość. Dziś zdobył się na sprężystość i stanowczość; wziął na kieł. Czyn Schmidtów był ostrogą, która podrażniła leniwstwo jego, ociężałość, i rozruszała go. Czyn ten kłuł go, niepokoił i gniewał. Lubo nie mógł nie przyznać, że to był czyn wcale szlachetny, jak na fabrykantów i spekulantów.

Następnego dnia rządca przyniósł mu gotowy już pozew. Baron niekontent był widocznie z tej zbytniej gorliwości jego. Wziął z rąk jego papier i, nie mówiąc nic, odwrócił się ku oknu.

— Czy jasny pan sam zawiezie ten pozew?.. — spytał rządca nieśmiało.

— Dlaczego?...

— Bo może-by kazać konie założyć...

— Już ja sam powiem, jak będzie potrzeba... — odrzekł nieco zniecierpliwiony obecnością i pytaniami.

Rządca zrozumiał to i cichaczem wyniósł się za drzwi, deliberując nad tém, co się mogło stać baronowi, że jest w tak kwaśnym humorze.

Baron po jego odejściu stał długo jeszcze na jednem

miejscu. Papier obracał machinalnie w ręku i namyślał się, co zrobić. Po tém, co Schmidt zrobił dla mieszkańców Zalesia, jego czyn, tyczący się zburzenia walów, mniéj strasznym już wydawał się baronowi; począł wątpić potrochu o złych intencyach jego.

Zanosić skargę do sądu na człowieka, który tyle dobrego wyświadczył nieszczęśliwym, wydawało mu się dziwnie nieszlachetnie. Ale znowu puścić całą tę sprawę w zapomnienie, znieść w milczeniu tryumf Adolfa, było-by to upokorzeniem, uwłaczało-by jego stanowisku, kompromitowało go w oczach ludzi. Baron tedy był na rozdrożu i wahał się, którą pójść drogą.

Namyślając się, przechadzał się po pokoju, potém wyszedł na balkon, następnie w ogród. Papier trzymał ciągle w ręku, czasami odczytywał go, przystanąwszy, potem składał i szedł daléj krokiem nierównym, jak nierówne były myśli jego.

W tém posłyszał na gościńcu, za ogrodem, jakąś wrzawę głuchą, niewyraźną, która coraz więcéj się zbliżała. Z chaotycznéj wrzawy poczęły dobywać się powoli tony wiejskiéj muzyki i pojedyńcze głosy ludzkie, wesołe, krzykliwe. Baron zaciekawiony poszedł na ścieżkę, zkąd przez dziurę i sztachety widać było niektórych miejscach gościniec, i zobaczył gromadę ludu, w świątecznych strojach, przeciągającą z muzyką i śpiewami głośnemi.

Jakiś podróżny zatrzymał pytaniem jednego z idących na końcu orszaku i odezwał się:

— A gdzie to idziecie? na odpust?..

— Nie, do fabryk — odrzekł chłop. — Idziewa z

podziękowaniem za zapomogę po powodzi. Bo to, widzicie, oni nasi ojcowie teraz, nasi dobroczyńcy...

— Więc dobrego macie dziedzica?..

— To nie dziedzic żaden, jeno fabrykant... Ale on milion razy lepszy, niż dziedzic...

— Więc dziedzic niedobry?..

— E!.. zwyczajnie pan wielki!.. Co jego ludzie obchodzą. Albo to on zna, co bieda...

Rozmowa ta odbywała się tuż pod parkanem, o kilkanaście kroków zaledwie od miejsca, gdzie stal baron. Mógł więc każde słowo słyszéć dokładnie. To téż nietylko je słyszał, ale uczuł. Każde słowo chłopa jak kamień upadało mu na serce; czuł się upokorzonym, zawstydzonym. — „To nasi ojcowie, nasi dobroczyńcy“. — Te słowa, jak wyrzut sumienia, szumiały mu w uszach. Obcy ludzie, ludzie bez imienia i przeszłości, są dobroczyńcami jego gminy. A on?.. — on był niczém dla niéj... Dorobkowicze tryumfowali nad nim... Baron przyznać musiał, że ci ludzie są czegoś warci. Przyznanie to było moralną klęską dla niego, wielką rewolucyą w jego duszy, niszczącą dawne przekonania i przesądy jego.

— „Oni ojcowie i dobroczyńcy“ — powtarzał sobie, wracając do domu powolnym krokiem, ze spuszczoną głową. Brzemię tych słów przygniatało jego duszę, paliło mu twarz wstydem, bał się oczu podnieść do góry, zdawało się, że na każdem drzewie zobaczy te słowa, urągające z niego. Bez oburzenia powtarzał sobie te słowa, ale z głębokim smutkiem. W twarzy znać było pognębienie i zgryzotę.

Gdy wrócił do pokoju zapalił świecę i przy jéj płomieniu z n i s z c z y ł pozew przeciwko Schmidtom.

---

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Michał Bałucki](#).*

XXIV.

Słabość Zofii coraz bardziéj zatrważające przybierała rozmiary. Od czasu ostatniéj rozmowy z baronem, owa dumna sztywność, w któréj zdawało się, że nerwy jéj stężały i ściągnęły się, rozmiękła i roztopiła się w jakąś drżącą, rzewną tkliwość. Zofia zrobiła się lękliwą, miękką jak wosk, lada co łzy jéj z oczu wyciskało, przejmowało ją febryczném drżeniem, sprowadzało silniejsze uderzenie serca. Z apatyi przeszła w niesłychanie delikatną, czułą, dziecięcą prawie wrażliwość.

Baron cieszył się tém, szczególniéj dlatego, że wraz z tą zmianą ustąpiło owo uparte milczenie, które go tak udręczało. Ale radość jego nie trwała długo. Doktor oświadczył mu, że niema już obawy melancholii, ale zbytnie rozstrojenie nerwowe i osłabienie mogą sprowadzić cierpienia sercowe, które się już objawiać zaczynają silnemi, chwilowemi atakami. Zalecił spokój, świeże powietrze, pigułki żelazne i digitalis. Baron z nadzwyczajną skrupulatnością spełniał polecenia doktora: sam podawał jéj lekarstwa, czuwał przy niéj, woził ją na spacer. Najbardziéj lubiła jeździć do ochronki, a raczéj do części parku tuż za ochronką, i godzinami całemi siedziała na kamiennéj ławce pod ową lipą, gdzie ostatni raz widziała się z Adolfem.

Raz nawet chciała zabrać się do przerwanych z Salusią lekcyi, ale parę pierwszych tonów, wyśpiewanych przez dziewczynę, wprawiły ją w tak spazmatyczny płacz, że musiała przestać. Nawet głos fortepianu drażnił ją i

rozstrajał, i dlatego Salusia wystrzegała się śpiewać przy niéj.

Za to, gdy baronówny nie było w ochronce, Salusia śpiewała przy akompaniamencie jednéj z zakonnic. Robiła to nieraz głównie dla ojca, na którego śpiew jej dziwnie działał. Kiedy piérwszy raz przyszedł do siebie po ciężkiéj chorobie i usłyszał śpiew pod sobą w izbie na dole, stary Mruk otworzył oczy, całym słuchem utonął w śpiewie, jak wyżeł wietrzący w polu, a potém zaczął płakać, jak dziecko.

Piérwsze to były łzy w jego oczach od Bóg wie jak dawnego czasu. Śpiew — dobył łzy z kamienia, twarda pierś jego zadrżała nieznaném mu dotąd wzruszeniem, zwierzę zaczynało się uczłowieczać. Gdy śpiew ustał, było mu źle bez niego i czekał niecierpliwie, rychło się znowu ten głos odezwie, co tu tak głęboko dochodził, jak się wyrażał. Gdy mu powiedziano, że to córka jego tak śpiewa, nie chciał wierzyć, aż musiała go naocznie przekonać. Wtedy twarz starego rozjaśniła się dziwném szczęściem; przycisnął córkę do piersi i nie posiadał się z radości i dumy. Musiała mu opowiadać, w jaki sposób nauczyła się tego i przy tej sposobności wychwalała dobroć swojéj opiekunki, jej anielskie serce i łagodność. Przedtem nigdy mu o tém mówić nie mogła, bo, ile razy rozpoczęła coś o baronównie, chmurzył się i rzucał, i kazał jej milczeć. Ale teraz zmienił się bardzo pod tym względem; sam rozpoczynał rozmowę o tej ich wspólnej dobrodziejce i bardzo rad był poznać ją.

Życzeniu jego niezadługo stało się zadość. Jednego dnia,

gdy już miał tyle siły, że mógł podnieść się z łóżka i usiąść przy oknie, Salusia dała mu znać, że dziedziczka będzie przechodzić do parku przez podwórko.

Stary Mruk z niepokojem i ciekawością zawlókł się do okna i czekał. Czy oczekiwanie, czy osłabienie po chorobie, czy inne jakie powody sprawiły, że Mruk drżał na całem ciele, a usta wciąż, mu zasychały, że językiem je odwilżać musiał. Salusia, która przy nim stała, zaniepokoiła się tym stanem i odezwała się:

— Wy jeszcze niebardzo zdrowi, tatusiu!... Lepiej połóżcie się; innym razem zobaczycie ją, jak się skrzepicie lepiej...

— Nie, nie!.. Ja ją muszę zobaczyć... — mówił uparcie i wychylił się za okno.

— Jedzie... — rzekła Salusia.

Rzeczywiście turkot powozu dał się słyszeć i ustał tuż za murem ochronki. Niezadługo ukazała się baronówna w czarnej sukni. Szła krokiem zmęczonym i chwiejnym, oparta na ramieniu barona.

Mruk wpatrywał się w idącą, jak w zjawisko jakie. Zdawało się, że mu oczy na wierzch wyjdą, a usta miał szeroko otwarte z podziwu i zagapienia.

— Więc to ona?.. — spytał jakby sam siebie. — Ależ to biedactwo wynędzniałe, chore, jakby się do trumny położyć miała...

Zwrócił się do córki i spytał:

— Co jéj jest?..

— Panienka się martwi i z tego poszła cała choroba...

— A dlaczego się martwi? Czy jéj kto krzywdę robi?..

— Zakochała się biedaczka.. Prawdęście tatusiu powiedzieli, że jéj kochanie nieszczęście przyniesie...

— Nie o takiém ja nieszczęściu myślałem... Ale czemuż kochanie ją martwi?.. Czy ją porzucił ten jéj?..

— To nie, ale baron nie pozwala...

— A tak się zdawał dla niej dobrym, gdy ją prowadził.

— Dobry-ć on jest zawsze dla niéj; ale pozwolić nie może, bo to widzicie, tatusiu... baronówna to wielkie państwo; a taka za byłe kogo iść nie może, żeby despektu familii nie zrobić... Nasz panicz jest anioł nie człowiek, ale zawsze nie pan...

— Co za panicz?..

— No, pan Adolf...

— Schmidt? — spytał z naciskiem Mruk.

— Tak, Schmidt...

— Więc to jego kocha panienka?..

— I bardzo go kocha!..

— I nie chcą mu jéj dać, że ona wielkiego rodu?..

— Tak!..

— A gdyby była niższego urodzenia, toby się mogła wydać za niego?..

— To się wié... Ani chwilki by nie czekała... Ale cóż, kiedy jéj tak padło być wielką panią; tu musi cierpiéć, choćby przyszło umrzéć... Dziwni to ludzie, ci państwo...

Mruk nie słuchał córki. Głowa jego widocznie pracowała nad jakimś planem. W twarzy widać było silne wzruszenie i radość, któréj powodu córka nie rozumiała.

— To dziwna rzecz... — mówił do siebie stary półgłosem. — To, czém chciałem szkodzić ludziom, dziś

się na pożytek obróci... Dziwna to moc Bozka. I ja, mizerny robak, mogę jeszcze coś zrobić na świecie.

Potém, zwracając się nagle do córki, rzekł:

— Salusiu! Ja muszę mówić z baronem... Muszę koniecznie...

Salusia wpatrzyła na niego swe jasne oczy; bała się, czy przypadkiem stary nie mówi w gorączce, ale wzrok jego czysty i pewny uspokoił ją.

— Co wam tak pilno do barona?.. — spytała.

— Nie o mnie tu chodzi... Jeżeli chcesz, aby dobrodziejka nasza była szczęśliwą, to zawieźcie mnie do barona. Ja potrzebuję z nim mówić...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

XXV.

Dla lepszego wyjaśnienia powodów, które parły Mruka do widzenia się z baronem, dla wytłómaczenia niektórych niewyraźnych pogróżek, z któremi nieraz dawał się słyszeć, musimy cofnąć się wstecz o lat ośmnaście i odsłonić parę tajemnic pałacu w Zalesiu.

Było to w nocy z dnia 26-go na 27-my Czerwca.

W dziedzińcu pałacowym, w części, na którą padał mocny cień pałacu, siedział na schodkach, za filarem, stróż nocny z halabardą, a obok niego duży, kudłaty brytan. I pies i stróż mieli lepszą przeszłość, i to nie bardzo dawno temu. Stróż był lokajem w pałacu, a brytan ulubieńcem młodego barona.

Przed kilku dopiéro miesiącami zdegradowano obu. Psa za to, że raz barona, wracającego z nocnej jakiejś wycieczki, nic poznał i chwycił za nogę. Ale lokaja, to nie wiedziano za eo. Mówili jedni, że był za domyślny i za poufały, czego baron nie lubił bardzo; inni, że się sprzeniewierzył; a byli i tacy, którzy utrzymywali, że młody baron zbałamucił narzeczoną Jakóba (bo Jakób było na imię służącemu owemu) i dlatego, czy przez obawę, czy przez wstyd, nie chciał go mieć obok siebie, i przy pierwszej sposobności za krnąbrną odpowiedź chciał wypędzić ze służby, a potem pozwolił mu zostać w pałacu za stróża.

Pozbawieni łaski pańskiej, pies i człowiek, zbliżyli się do siebie i zaprzyjaźnili, zwłaszcza, że ich łączyło podobieństwo charakterów: i pies, i człowiek mieli coś

ponurego w sobie; człowiek mruczał, pies warczał — obaj stronili od ludzi. To też i resztę losów dzielili razem. Obaj czuwali w nocy, a w dzień wysypiali się w drwalni.

W tej chwili zastajemy ich czuwających obu. Jakób podparł głowę na rękach i zagapił się przed siebie w bramę pałacową, a pies wsparł kosmatą głowę na jego kolanach i wpatrywał się mądrze w twarz jego, jakby chciał go oczyma zapytać się o co. Może chciał go się spytać: dlaczego smutny taki siedzi?.. Brakło mu mowy, aby mógł się spytać; a znowu ci, co mówić umieli, nigdy się o to Jakóba nie pytali.

Siedzieli tedy człowiek i pies w milezeniii w cieniu ściany pałacowej.

Pomimo spóźnionej pory i nieobecności młode“ go barona, który z żoną wyjechał do wód, w pałacu widać było ruch jeszcze; w kilku oknach świeciło się i po jasnych szybach cienie ludzkie się przesuwały. Od czasu do czasu wychodził jakiś mężczyzna z cygarem w ustach na ganek i prędkiemi krokami chodził po kamieniach i znowu wracał do pokojów, лvezwany przez lokaja. Był to doktor, sławny doktor położnictwa, którego sprowadzono ze stolicy do siostry barona, mającej tu odbyć połóg. Chwila ta nadeszła właśnie, ale niezbyt szczęśliwie; chora już drugą noc męczyła się. Stara jej matka na operacyą przystać nie chciała i zaklinała doktora, aby wszelkich używał starań, by ocalić i dziecko, i matkę. Śmierć dziecka zabiła-by i chorą, która była już i tak wątłego zdrowia w skutek silnej choroby mózgowej, jaką przebyła niedawno po śmierci swego męża, z którym zaledwie pół roku żyła. Śmierć jego

tak silnie podziałała na nią, że była chwila szaleństwa, w której chciała koniecznie umrzeć; jedynie wzgląd na dziecko, które nosiła w łonie, wstrzymał ją od rozpacznego kroku; śmierć więc dziecka rozstroiła-by do reszty i zniszczyła ten slaby organizm. Dlatego stara jej matka zaklinała doktora, aby użył całéj swéj sztuki, by dziecko żywe na świat przyszło.

— Pozwól jéj pan niech cierpi, ona łatwiéj zniesie cierpienia, niż wiadomość o nieżywém dziecku...

Doktor więc wyczekiwał w niepewności rozwiązania. Szło mu nie tyle o chorą i jéj potomstwo, ile o własną reputacyą. Wiedział, że dom chorej skoligacony był z wielu znacznemi rodzinami, a zatem, w razie nieudania się, sława jego lekarska ucierpiała-by bardzo. Chodził więc niespokojny, zaambarasowany; to wchodził do pokojów, to wychodził na balkon, zkąd go jęki choréj przywoływały znowu do komnat. Stróż i pies obojętnie zachowywali się wobec tego ruchu w pałacu; niewiele ich to obchodziło.

Wtém nagle pies podniósł łeb do góry, zwrócił go czujnie w stronę bramy i nastawił uszy; widać coś zwietrzył, bo szczeknął parę razy. Służący prędko wyszedł z pałacu i przykazał stróżowi, by psa uciszył, bo przestrasza chorą szczekaniem. Służący wrócił do pokojów, a stróż chwycił psa za obrożę, przyciągnął do siebie i kazał mu warować, dając znak palcem, aby milczał.

Szczeknięcie psa nie było daremne. W kilka bowiem minut potém pod bramą pałacową stanęła jakaś kobieta. Brzęknięcie żelaznéj bramy zwróciło w tę stronę czujność stróża. Obal chciał znowu szczeknąć, ale mu zagroził. Sam

podniósł głowę i ciekawie śledził kobietę, skradającą się do pałacu. Gdy weszła na dziedziniec pałacowy, obejrzała się ostrożnie wkoło, spojrzała badawczo w okna pałacowe i potém pośpiesznie poczęła iść prosto ku balkonowi. Jakób poznał tę kobietę przy jasném oświetleniu księżyca i wstrząsnął się, że aż pies cofnął się od niego z przestrachu. Potém podniósł się nieco i wpatrzył się bacznie w ową kobietę, by żadnego jéj ruchu nie stracić. Nie sama ciekawość nim powodowała. Kobieta owa nie była mu obcą. Była to córka starego kowala, Schmidta, z którą Jakób chciał się dawniéj żenić, ale jakoś szło mu to trudno. Dziewczyna może nie była-by od tego; tylko brat jéj sprzeciwiał się mocno. A tymczasem po wsi rozeszło się, że sam dziedzic, młody baron, zwrócił na nią oko, że żona jego, spostrzegłszy to, oddaliła ją ze dworu. W tych gadaniach ludzi musiało być wiele prawdy, bo niezadługo stary Schmidt, spostrzegłszy skutki tych miłostek pańskich, wypędził córkę z domu. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje; sam Jakób, który pomimo, że mu się sprzeniewierzyła, miał dla niéj dużo jeszcze pożałowania, nie mógł dowiedzieć się, gdzie się podziała. Gdy teraz nagle zobaczył ją tak blizko siebie, w piérwszéj chwili chciał wyjść ku niéj; ale wnet pomiarkował się i postanowił nie pokazać się, tylko bacznie ją obserwował.

Dziewczyna szła szybko prosto ku balkonowi; pobiegła na schody i złożyła tuż przy balustradzie jakieś zawiniątko, a potém oddaliła się tak szybko, że nim Jakób zdołał się opamiętać i przyjść do siebie, już była przy bramie. Brzęknęły znowu żelazne pręty, i Jakób ledwie tyle mógł

dojrzeć, że poszła w stronę przeciwną od wsi, ku parkowi... Cień jéj jakiś czas skakał po sztachetach, aż zlał się z cieniami drzew.

Pojawienie się i zniknięcie dziewczyny odbyło się tak nagle, że już była Bóg wié gdzie, gdy Jakóbowi przyszło na myśl, że powinien był iść za nią... Oczy jéj bowiem dzikie i błędne wznieciły w nim pewne obawy i podejrzenia. Ale już było za późno ścigać ją...

Po małéj chwili przypomniał sobie, że córka Schmidta jakieś zmwiniątko zostawiła na ganku. Chciał iść zobaczyć, coby to było, gdy z pod zawiniątka dobył się piskliwy głos dziecka... Jakób dopiero zrozumiał teraz, co znaczyła nocna potajemna wyprawa dziewczyny do pałacu. Nieszczęśliwa podrzuciła dziecko sprawcy swego nieszczęścia... Widać nic nie wiedziała o wyjeździe barona. Jakóba wzięła litość nad niemowlątkiem i wstał, by je podnieść, gdy drzwi pałacu znowu się otworzyły i wyszedł doktor, trzymając coś w ręku, a za nim sługa Mateusz.

— Więc naprawdę nieżywe, panie doktorze?.. — pytał służący wzruszonym głosem.

— Nieżywe... — odparł bezdźwięcznie, sucho doktor. — Niepodobna było ocalić...

— Ona umrze, ja ją znam... — odezwał się znowu płaczliwie służący.

Doktorowi nietyle szło o śmierć chorej, ile o siebie w tej chwili. Zły i niekontent chodził po ganku. Mateusz wziął od niego ciałko zmarłego i wpatrywał się troskliwie w trupią twarzyczkę, czy nie dostrzeże na niej jakiego śladu życia.

— Jak jej tu powiedzieć o tem... — mruczał do siebie —

ona umrze, to jak Amen w pacierzu...

W tem z pod zawiniątka powtórnie dał się słyszeć płaczliwy krzyk dziecka. Doktor i Mateusz naraz zwrócili się w tę stronę.

— A to co?.. — spytał doktor.

— Dziecko zapłakało... — odrzekł Mateusz i spojrzał znowu na dziecko, które trzymał w ręku;chciał wierzyć, że to ono mogło zapłakać.

— Głos tuż niedaleko się odezwał... — mówił doktor, rozglądając się pilnie po ganku. Dojrzał wreszcie w cieniu filaru małe zawiniątko, zbliżył się do niego i rozwinął...

— Tak, w istocie, dziecko... — rzekł, przypatrując się uważnie dziecku i oglądając je. — Dziecko... dziewczynka... Jak się pokazuje... niedawno urodzone...

— Podrzutek... — dodał Mateusz.

Doktorowi, oglądającemu dziecko, przyszła naraz jakaś myśl do głowy i zwrócił się do Mateusza:

— Nie domyślasz się, kto to mógł podrzucić?..— spytał.

Mateusz ruszył ramionami.

— Bóg to raczy wiedzieć...

— Mateuszu, umiesz ty milczeć?.. — spytał doktor po chwili.

— O cóż idzie?..

— O ocalenie chorej!..

— Ale jak?..

— Nie domyślasz się?.. To dziecko nam ją uratuje... Szczęśliwy przypadek podał nam ten środek.

— Tak; ale zawsze... kto wie, jaka to krew?..

— Zdrowsza niż w tamtem... To ci mogę zaręczyć!.. —

rzekł cynicznie i drwiąco doktor.

Mateusz nie wiedział, co zrobić. Podobny postępek zdawał mu się grzechem i' nie chciał przystać; ale znowu obawa o życie pani, do której był tak przywiązany, nie pozwalała mu odrzucać tego środka ratunku.

Gdy się tak wahał i namyślał, przez drzwi z pałacu wyszła na balkon stara baronowa, matka chorej i zapytała niespokojnie doktora:

— I cóż, żyje?..

— Żyje i niema obawy... — rzekł doktor, pokazując jej dziecię, wyjęte z zawiniątka.

— Bogu niech będą dzięki!,. Chodź pan prędzej; chora chce koniecznie widzieć swoje dziecię...

Doktor i baronowa weszli do pokoju. Mateusz, gdy przechodzili koło niego, zakrył połą trupka dzieciny, którą w ręku trzymał, by baronowa nie dostrzegła.

W taki sposób stał się mimowoli wspólnikiem czynu.

Gdy został sam-na-sam z sinym trupkiem, nie wiedział, co z nim począć. Trzeba było go ukryć starannie, by nikt nie mógł odszukać go i odgrzebać z nim nocnej tajemnicy... Przytem... to było dziecko jego panów; Mateusz miał w tym względzie skrupuły i nie zdecydował by się byłe gdzie porzucić i zagrzebać dziecko takiego rodu. Chciał je uczciwie i godnie pochować. Owinął je starannie w pieluszki podrzutka i poniósł do siebie.

W pół godziny potem wyszedł. Zamiast zawiniątka, miał małą szkatułeczkę pod pachą, i poszedł z nią w stronę kaplicy zamkowej. Tu w podziemiach spoczywały zwłoki pradziada. Wejście do grobu było już zarosłe trawą, drzwi

żelazne poczerwieniały od rdzy. Ale z tyłu kaplicy było okienko, którędy do lochu grobowego wchodziło światło. Czas i kurz zmatowały szyby jego i zrobiły je nieprzejrzystemi; ramy również zardzewiały mocno i Mateusz długo się namęczył, zanim mu się udało oderwać okno. Przez ten otwór spuścił na sznurze trumienkę, a raczéj szkatułkę z ciałkiem do lochu, odmówił klęczący „wieczne odpoczywanie“ i zamknął znowu okno.

Jakób podsunął się chyłkiem pod kaplicę i, stojąc z boku, podpatrzył go w téj robocie.

W taki sposób przyszedł do posiadania tajemnicy pałacowéj. Zachował ją sobie, jako broń przeciw baronowi do którego czuł nienawiść za uwiedzenie dziewczyny, którą kochał, i przeciw Schmidtom. Nie zdawał sobie nigdy sprawy dokładnie z tego, w jaki sposób się zemści; może, gdyby był lepiéj rozważył, zastanowił się nad tem, był-by przyszedł do przekonania, że odkrycie téj tajemnicy jedynie barona dumę mogło-by zranić, ale nigdy Schmidtom szkody przynieść nie mogło. Ale, zaślepiony zemstą, nie widział tego i ważność tajemnicy w głowie jego rosła z latami. Zdawało mu się, że posiada w niéj coś tak wielkiego, co zgruchoce na miazgę barona i przerazi Schmidtów. Dlatego chował tajemnicę, jak skarb wielki, i czasem tylko pogróżkami zdradzał się z nią przed córką, ale tak niewyraźnie, że się niczego domyślić nie mogła. Wyjawienie tajemnicy chował na czas zaślubin siostrzenicy barona. Wtedy pora zdawała mu się najstosowniejszą do odkrycia przed baronem, że dziecko, które on uważał za córkę siostry, było podrzutkiem, jego własną córką. Cieszył

się, myśląc o tej chwili, i wyczekiwał wytrwale.

Tymczasem stało się, że to, co miało zgubić Zofią, mogło teraz pomódz do jej szczęścia. Mruk ani przypuszczał, że tą tajemnicą spłaci kiedyś dług wdzięczności baronównie i Schmidtom za te dobrodziejstwa, których od nich doznawał. Nie przypuszczał nigdy, że z tego szkaradnego łopuchu, co urósł na złym gruncie jego duszy, taki kwiat wystrzeli; skruszony i poprawiony, chciał tajemnicę tę ponieść do grobu ze sobą... by nie szkodzić opiekunce swojej, gdy na raz z opowiadania córki przekonał się, że tą tajemnicą będzie jej mógł właśnie pomódz.

Dlatego tak pragnął widzieć się z baronem i powiedzieć mu wszystko. Córka nie mogła wiedzieć, co ojcu na tem widzeniu się zależało; jednak z natarczywości, z jaką domagał się tego, domyśliła się, że tu o coś ważnego chodzi, a że to tyczyć się miało jej „złotej panienki“, więc zdobyła się na śmiałość, że poszła sama do barona i prosiła go, by wstąpił do jej ojca.

Baron zdziwił się tem żądaniem i zbył ją obojętnie; ale dziewczyna tak gorąco prosiła, że tu idzie o rzecz, która barona mocno obchodzi, iż, baron, rozciekawiony, zostawił przy córce Salusię, a sam poszedł do izdebki, w której leżał Jakób.

Ku wielkiemu zdumieniu Zofii i Salusi, bawił tam przeszło pół godziny. Potem wyszedł na chwile tylko, by zawołać Mateusza, i z nim wrócił do mieszkania Jakóba. Znowu upłynęło dobre pół godziny, zanim wyszedł ztamtąd. Był dziwnie wzruszony i pogłądał na Zofią od czasu do czasu tak badawczo, że zmieszała się tym

wzrokiem jego i spytała, dlaczego jej się tak przypatruje?..

— Czy ci co powiedziano o mnie?..

— Nie, nie, moje dziecko... Nie bój się...

To mówiąc, przytulił ją do piersi i pocałował tak serdecznie, czułe, gorąco, że Zofia, skłonna do rozrzewnienia, rozpłakała się. Nigdy jeszcze baron tak silnie nie okazał jej swego przywiązania.

Gdy wsiadł do powozu baron, kazał także Mateuszowi usiąść na koźle i zabrał go z sobą do pałacu.

Kiedy wrócili do domu, kazał przywołać do siebie zaraz ogrodnika i polecił mu, aby drzwi do lochu pod kaplicą oczyścił z ziemi i trawy i otworzył. Ogrodnika niepomału zdziwił ten rozkaz i spodziewał się, że mu baron objaśni powód odgrzebywania lochu, ale baron poprzestał na tem:

— Skoro drzwi otworzysz, dasz mi znać. Rozumiesz?..

Ogrodnik się skłonił z uszanowaniem.

— Wolał-bym — dodał baron — abyś sam zajął się tem. Nikt w pałacu nie potrzebuje wiedzieć o tem...

Ogrodnik zrozumiał, że tu idzie o tajemnicę i nie pytał więcej.

Baron znał go, że umiał milczeć i dlatego jemu, a nie komu innemu, dał to zlecenie.

Przed wieczorem robota była skończona. Baron przywołał Mateusza i razem z nim udał się do kaplicy. Z małą zamykaną latarką weszli do lochu po zbutwiałych schodach. Loch był całkiem prawie pusty; jedna tylko trumna z żelaznej blachy stała na środku. Była to trumna pradziada barona, fundatora tej kaplicy, który w testamencie polecił, aby go tu pochowano. Mateusz obszedł trumnę i,

schyliwszy latarkę, upatrywał czegoś po wilgotnej ziemi. Wreszcie zatrzymał się i rzekł:

— Jest...

Baron zbliżył się w to miejsce, schylił się i zobaczył wśród zgniłych i spróchniałych kawałków drzewa maleńki szkielecik dziecka, zżółkły i poczerniały.

Teraz już nie mógł nie wierzyć Jakóbowi: szkielet dziecka wymownie go przekonywał o prawdziwości zeznania. Mimo to, baron, dla zyskania tem większej pewności, miał zamiar jeszcze zobaczyć się z doktorem. Doktor ten żył jeszcze, i w stolicy doznawał wielkiego powodzenia,jako specyalny lekarz do chorób kobiecych. Baron nieraz słyszał o nim. Postanowił widziéć się z nim koniecznie i zasięgnąć wiadomości, co do owego zdarzenia w pałacu w nocy z d. 26 na 27 Czerwca. Nie zwlekając tedy, zaraz nazajutrz wyjechał. Pytającéj go Zofii powiedział, że jedzie w interesie swego majątku do miasta i zabawi tam dui kilka.

Załatwił się jednak wcześniéj, niż sądził, i drugiego dnia wieczorem był już z powrotem. Ledwie wysiadł z powozu, zapytał zaraz o Zofią i niezwłocznie poszedł do jéj pokoju. Twarz jego była ożywiona, wesoła, oczy jasno świeciły, i z czułością spoglądały na siostrzenicę...

Ale Zofia zdawała się być jakoś niekontenta z przybycia barona; nagły przyjazd jego, zamiast ją ucieszyć, zmieszał trochę. A gdy się pytał o przyczynę, wymówiła się bólem głowy, rozdrażnieniem i sennością.

Barona dotknęło trochę to zimne przyjęcie; nie tego się spodziewał, kiedy przez całą drogę, wracając, myślał tylko

o Zofii. Miał dziś ochotę posiedzieć z nią dłużéj, serdecznie pogawędzić i to o rzeczy, która ją powinna była obchodzić; ale widząc, jak jéj powieki co chwila opadały na oczy, nie chciał dłużéj męczyć jéj swoją obecnością i odłożył rozmowę z nią na drugi dzień. Pocałował tylko w czoło swą pieszczotkę i wyszedł do salonu.

W salonie nie było nikogo. Służący, którego się zapytał, gdzie państwo, powiedział mu, że pani Irena słaba, nie wyjdzie już dziś ze swego pokoju, a pan Maurycy wyszedł na przechadzkę.

— A pan Jerzy? — spytał baron.

— Pana Jerzego nie widziałem. Musi być u siebie.

Baron niekontent był z tego rozproszenia się rodziny. Tak pragnął dziś pogadać, zabawić się w liczniejszém gronie. Był dziś bardzo do tego usposobiony. Potrzebował wygadać się trochę, pośmiać. Pobyt w mieście tak go nastroił wesoło. A tu tymczasem nikogo. Samotność ciężyła mu, nie odpowiadała wcale obecnemu jego usposobieniu. Chciał przynajmniéj znaléźć Jerzego i wstał, by przejść do jego pokoju. Idąc koło stołu, poślizgnął się na jakimś skrętku papieru, że ledwie nie upadł. Podniósł papier, by go rzucić w kąt, pierwéj jednak, więcéj przez przyzwyczajenie, niż z namysłu, rozwinął kartkę, by zobaczyć, co to jest. Na kartce były równym, drobnym charakterem wypisane dwa wiersze: „Jutro wieczorem o 9-téj w chińskiéj altance. Zaklinam — przyjdź.“

Barona zastanowiła tajemnicza treść kartki.

— Schadzka miłosna... — mruknął. — Ale kto?.. z kim?..

Naraz domysł, jak błyskawica, przeleciał mu po głowie; domysł padł na Zofią... Jéj pomieszanie dzisiaj w chwili jego przybycia, niezadowolnienie z jego nagłego zjawienia się w jéj pokoju, wszystko to potwierdzało domysł... Do tego przypomniał sobie, że Zofia, pomimo późnéj pory i bólu głowy, była ubrana staranniéj, niż zwykle, i staranniéj uczesana. Baron nic wątpił już, że ta schadzka jéj się tyczyła, nie mógł także nie domyślać się z kim... To przypuszczenie zasępiło mu twarz. Zofią tłómaczyć mogło niedoświadczenie; ale, że Adolf mógł proponować jéj podobną schadzkę... tego mu darować nie mógł.

W ostatnich czasach, baron, całkiem inne wyrobił sobie zdanie o nim, i martwiło go, że się zawiódł. Przez napisanie téj kartki Adolf stracił bardzo w jego oczach. A lubo tłómaczył sobie jego miłością do Zofii i to uciekanie się do nocnych schadzek przypisywał po części własnemu surowemu postępowaniu; to jednak nie mógł całkiem usprawiedliwić go... i miał mu to bardzo za złe.

Nie chciał jednak na ślepo go potępiać; należało piérwéj przekonać się. Baron spojrzał na zegarek. Było już pół do dziewiątej. Wziął kapelusz, laskę, i szklanemi drzwiami wyszedł ostrożnie do ogrodu.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Michał Bałucki](#).*

XXVI.

Domysł barona w połowic był słusznym. Rzeczywiście Zofia, korzystając z nieobecności jego, a wiedząc od Salusi, że Adolf jeszcze nie wyjechał, chciała się z nim widzieć raz ostatni i pożegnać. Przeczucie blizkiej śmierci, które od jakiegoś czasu owładnęło ją i stało się jej *idie fixe*, usprawiedliwiało ten krok excentryczny. Zofia chciała rozmówić się z nim,, jak na łożu śmiertelnem, wypowiedzieć mu wszystkie swoje uczucia, z któremi się przed innymi kryć musiała, i prosić go, by dobrą pamięć o niej przechował w sercu. To exaltowane trochę pragnienie skłoniło ją, że wysłała do Adolfa Salusię i prosiła go, by o zmroku przyszedł do pałacu.

Salusia przybyła właśnie w porę, gdyż młody Schmidt gotował się już do drogi i na drugi dzień miał wyjechać. Żądanie Zofii wydawało mu się trochę dziwnem; czuł całą niewłaściwość tego kroku; potajemne wkradanie się do pałacu wydawało mu się ubliżającem; ale nie mógł odmówić, zwłaszcza, gdy się dowiedział od Salusi, że baronówna jest bardzo cierpiącą.

Obiecał więc o zmierzchu stawić się pod ogrodem pałacowym koło stawów, zkąd Salusia miała go zaprowadzić do pokoju panny. Jego to przybycia oczekiwała Zofia. Właśnie gdy baron wrócił z miasta, Salusia z jéj polecenia wyszła pod stawy. Niespodziewane wejście barona pokrzyżowało ów zamiar. Barona więc spostrzeżenia względem pomieszania Zofii, jéj

nienaturalnego zachowania się, były trafne i, opierając się na nich, mógł podejrzewać Zofią o schadzkę.

Ale źle się domyślał, że kartka, którą znalazł w salonie, tyczyła się téj schadzki i że ją pisał Adolf. Kartkę tę pisał Maurycy do Ireny.

Idealna i platoniczna miłość tych dwojga ludzi z każdym dniem przybierała coraz niebezpieczniejsze rozmiary, nabierała krwi i namiętności, z fantazyi przeszła w zmysły i domagała się praw ludzkich. Był to bardzo naturalny przechód, którego Irena jednak nie przeczuwała w chwili, gdy piérwszy raz wyznała Maurycemu miłość swoję. Zdawało się jéj wtedy, że miłość ta zaspokoi pragnienia jej duszy, że Maurycy będzie kochankiem jéj myśli, że serca ich, złączone harmonijném biciem, ulatywać będą w marzeniach nad ziemią i poić się nieśmiertelnym nektarem poezyi i wspólnego zachwytu. Ale kilka dni wystarczyło, aby się przekonała, że tak nie jest. Miłość, od chwili, gdy skrzydła jéj obciążyło wyznanie, z każdym dniem spadała coraz niżéj ku ziemi, z głowy przeszła w nerwy i zburzyła je grzesznemi pragnieniami. Irena z przestrachem spostrzegła, że mogła-by się zapomnieć i upaść. Duma jej zcierpła na samo przypuszczenie tej możebności i postanowiła się ratować. Unikała Maurycego i szukała ciągle towarzystwa męża. W miarę, im bardziej czuła się bezsilną, tem bardziej w blizkości niego szukała ratunku; jak Orestes przed ścigającemi go furyami, tak ona przed gwałtowną namiętnością, co ją jak pożar ogarniała, chroniła się pod opiekę jego spokojnego, chłodnego przywiązania; potrzeba było jej widoku męża, aby sobie przypomnieć

mogła obowiązki, jakie miała względem niego; siliła się na okazywanie mu czułości, przywiązania, chciała choć tą zdawkową monetą wypłacić mu się i uspokoić swoje sumienie.

Maurycy w ponurem milczeniu przypatrywał się temu dziwnemu jej postępowaniu. Oczy jego płomienne łatały za nią rozkochane, namiętne i wyręczały milczące usta, rzucając na nią wymowne, błagalne spojrzenia, i piorunowemi błyskami spowiadając się jej z gwałtownej burzy, co mu rozrywała piersi.

Irena zdawała się nie uważać tego, nie rozumieć tej wymownej oczu jego skargi. Starannie unikała spotkania się z jego wzrokiem, a tem bardziej zostania kiedykolwiek z nim sam-na-sam, Maurycego to do rozpaczy i szaleństwa prawie przyprowadzało; nie umiał już panować nad sobą i nieraz zazdrość jego tak gwałtownie się objawiała, że trzeba było tylko tak niepodejrzliwego człowieka, jak Jerzy, aby tego nie spostrzedz.

Nieraz zdarzało się, że gdy Irena, oparta na ramieniu męża, przyjmowała ze słodkim uśmiechem pieszczoty jego wobec Maurycego, ten nagle wstawał, blady, zachmurzony i wychodził z pokoju. To znowu czasem wpadał w szaloną, dziką wesołość wobec małżonków; drwił wtedy nielitościwie z wszelkich uczuć; dwuznacznemi, jadowitemi słowami kłół Irenę i allegorycznie robił jej najdotkliwsze wyrzuty. Irena truchlała, by mąż nie odgadł ukrytego znaczenia tej rozmowy; starała się słowami, pełnemi surowej powagi i godności, przywieść do upamiętania i spokoju rozdrażnionego Maurycego i zwrócić

nieznacznie jego uwagę, na co ją i siebie tego rodzaju mowami naraża. Wtedy nagłe zmieniał się, stawał się miękkim, rzewnym i tkliwym. Całe zachowanie się jego wtedy wyrażało żal i skruchę, głos jego zdawał się prosić o przebaczenie. Często teraz czytywał im swoje wiersze. Wiersze odzwierciedlały jego dziwaczne humory: to były pełne cynicznej, hulaszczej wesołości, co to chciała-by się zatańczyć i zapić na śmierć; to znowu smutne, jak jęki dzwonu na pogrzebie, a tak nawskroś przejmujące, że każde słowo łzy dobywało z oczu.

Irena, słuchając tych pieśni, przechodziła ciężkie próby, straszne męczarnie. Domyślała się, jak okropnie cierpiéć musi Maurycy, a nie mogła i nie chciała dać mu żadnéj pociechy, i udanym spokojem pokrywała silne wzruszenia, by mu odjąć wszelką nadzieję. Im więcéj czuła swą niemoc i chwiejność, tém więcéj wymyślała środków obrony. W obawie o siebie, do ascetyzmu prawie posuwała ostrożność. I dumną była z téj niewzruszonéj, nieskazitelnéj cnoty, w któréj marmurową trwałość wierzyła; tymczasem był to tylko posąg z lodu, który się trzymał twardo sztucznym chłodem. Jedna chwila rozpłomienienia groziła mu zniszczeniem. Ta chwila się zbliżała.

Maurycy chciał odjechać. Irena wiedziała dobrze, dla czego, i nie namawiała go wcale, aby pozostał. Było to wielkie, kosztowne przezwyciężenie się z jéj strony; a jednak zdobyła się na nie. Dzień odjazdu — nie był jeszcze oznaczony; ale to miało nastąpić niezadługo. Irena omdlewała na myśl o tém rozstaniu się, a jednak niecierpliwie go oczekiwała, jak skazany na śmierć

ostatniego uderzenia kata. Chciała, by się to stało przed wyjazdem Jerzego, który miał udać się na Ukrainę na czas dłuższy, dla uregulowania majątku.

Tymczasem jednego dnia, gdy po herbacie siedzieli w salonie, a Jerzy, chcąc im coś ciekawego przeczytać, poszedł do drugiego pokoju po gazetę, Maurycy, nic nie mówiąc, położył przed Ireną małą, karteczkę. Irena spojrzała na niego surowo i szybkim ruchem ręki odsunęła kartkę od siebie. Maurycy jednak nie wziął jéj, wstał i odsunął się, zostawiając kartkę na stole.

Mąż wrócił; Irena niespokojne spojrzenie rzuciła na stół, na miejsce, gdzie leżała fatalna kartka. Właśnie przed tém miejscem usiadł Jerzy z gazetą. Irena zadrżała; lada chwila wzrok Jerzego mógł dostrzedz kartkę... Kto wié, co tam było napisane. Wahać się nie było można; położyła więc rękę na tém miejscu i nieznacznie zsunęła kartkę na kolana, a potém ścisnęła ją konwulsyjnie w ręku. Maurycy widział to i niebawem potém udał się na spoczynek, by Irena nie znalazła sposobności oddania mu napowrót téj kartki.

Małżonkowie długo jeszcze siedzieli z sobą, rozmawiając o różnych rzeczach, a między innemi o chorobie Zosi, której postępy zatrważały Jerzego, to o nagłym wyjeździe barona do miasta, przyczém Jerzy wyraził zdziwienie nad tajemniczém zachowaniem się i niezwyczajném roztargnieniem jego w dniach ostatnich.

Po północy już było, kiedy Jerzy wstał i, pocałowawszy żonę w czoło i w rękę, udał się do swego pokoju. Irena została jeszcze. Kartkę trzymała ciągle w zaciśniętych rękach; ta kartka paliła ją w dłoń przez cały ciąg rozmowy z

mężem. Była nawet chwila, że Jerzy wziął ją raz za tę rękę i trzymał dość długo. Serce Ireny było wtedy na torturach. Obawa, by Jerzy nie zauważył,, że coś ukrywa w ręce, ciągle ją niepokoiła. Dopiero po jego odejściu odetchnęła swobodniej. Nie miała jednak odwagi przeczytać kartki; bała się jej treści.

Wreszcie zdecydowała się otworzyć i przeczytać. Na kartce stało: „jutro wieczorem o dziewiątej w chińskiej altanie. Zaklinam, przyjdź“.

Irena w pierwszej chwili gwałtownym ruchem odrzuciła kartkę i rzekła pośpiesznie:

— Nie, nie, nie... nigdy!

Po chwili jednak osłabło i zmiękło to silne postanowienie, gdy pomyślała, że już nigdy, nigdy nie zejdą się więcej w życiu. Odmawiać Maurycemu zadosyćuczynienia tej jednej, skromnej prośbie, wydawało jej się zbyt wielkiem okrucieństwem.

— Czyż nie znajdę — mówiła sobie — dość siły, aby w tej krótkiej chwili zapanować nad sobą i nie zapomnieć się?

Obawa wydawała się jej niegodną i ubliżała jej dumie. A przytem litość nad Maurycym silnie także przemawiała ze swej strony. Nie miała odwagi rozłączyć się z nim, nie powiedziawszy słowa pociechy, nie wytłómaczywszy mu powodów swego postępowania w dniach ostatnich. Postanowiła więc być jutro w chińskiej altanie.

Przez cały następny dzień Maurycy unikał spotkania się z nią. Przed wieczorem wyszedł na dalszy spacer za wieś i, okrążywszy duży kawał pola, zbliżał się z przeciwnej strony do ogrodu groblą między stawami. Już dobry zmrok

był, kiedy wszedł w grabową aleję.

Było to właśnie w chwili, w której Salusia, przyprowadziwszy Adolfa, zostawiła go w alei grabowej, a sama poszła uwiadomić swą panią.

Adolf czuł się upokorzonym sytuacyą, w jakiej go życzenie Zofii obecnie postawiło. Wstydziło go, że musi potajemnie skradać się do obcego domu i kryć się przed wzrokiem ludzkim. Nawet nadzieja zobaczenia Zofii nie osładzała przykrości położenia. Dałby był wiele za to, żeby w inny sposób mógł się zbliżyć do niej. Ale to było niepodobnem. Musiał więc zgodzić się z losem i niecierpliwie czekał powrotu Salusi.

Wtem posłyszał czyjeś kroki, nie od strony pałacu, ale od stawów i niezadługo przy wejściu do alei, na tle nieba zarysowała się postać mężczyzny. Adolf, bojąc się być spostrzeżonym, cofnął się prędko i, wysunąwszy się z alei, przeszedł gazon i skrył się za altanę. Była to właśnie owa chińska altana. Wnętrze jej stanowił sześciokątny pokoik, którego ściany rznięte były w przezroczyste arabeski i róże. Naokoło altanki szła galeryjka, otoczona słupkami, na których się wspierał wygięty z chińska daszek. Galeryjka była gęsto osłonięta dzikiém winem i bluszczami, i miała cztery ławeczki, zkąd piękny otwierał się widok na cztery strony ogrodu.

Na tę galeryjkę schronił się teraz Adolf, by tam przeczekać, aż ów mężczyzna, idący aleją, minie go. Potém chciał wrócić na dawne stanowisko.

Ale mężczyzna ów, zamiast ku pałacowi, szedł prosto ku altanie. Adolf słyszał, jak wstępował po skrzypiących

schodkach do wnętrza i tam zatrzymał się.

Adolfowi niepodobna było ruszyć się ze swego ukrycia, by szelestem kroków nie zdradził się przed znajdującym się w altanie mężczyzną. Miał nadzieję, że wnet odejdzie. Ale długi czas minął, a mężczyzna ów nie wychodził.

Był to, jak wiemy, Maurycy, który oczekiwał przybycia Ireny.

Ireny jednak widać nie było. Zatrzymał ją Jerzy, który w chwili, gdy po długiéj walce ze sobą zdecydowała się iść do altany, wszedł do jéj mieszkania. Troskliwość o jéj zdrowie sprowadziła go tam, dowiedział się bowiem od służącego, że jest słabą. Zdziwił się, zastawszy ją ubraną i wychodzącą. Spotkali się właśnie we drzwiach. Widok męża w téj chwili dla Ireny był tak niespodziewany, że się cofnęła z przestrachem i zbladła.

— Co tobie jest? — spytał Jerzy, biorąc ją za rękę.

Ręka jéj drżała.

— Wszedłeś tak nagle — odrzekła, zbierając przytomność.

— Przepraszam cię. Słyszałem, żeś słaba i chciałem się dowiedzieć, co ci jest.

— Silny ból głowy, nic więcéj. Dlatego chciałam się przejść trochę.

— Chodźmy więc.

— Skoroś przyszedł, możemy i tu zostać. Tylko otwórz okno.

Jerzy poszedł spełnić jéj życzenie. Ona tymczasem szybko dobyła zegarka i spojrzała. Było już dziesięć minut po dziewiątéj.

— Jaka noc ciemna i parna. Zdaje się, że będzie deszcz — odezwał się Jerzy, patrząc w ogród. Potém spytał, zwracając się ku niéj; — Czy nie wiész, gdzie jest Maurycy?

Pytanie, tak proste i naturalne, w téj chwili zmieszało ją; czuła, jak krew biła jéj do głowy. Zdawało się jéj, że Jerzy odkrył ich schadzkę. Spojrzała mu niespokojnie w oczy, chcąc go wybadać. Ale w twarzy Jerzego nie zdradzało się najmniejsze podejrzenie. To dodało jéj odwagi.

— Zkądże ja miała-bym wiedzieć, gdzie Maurycy znajduje się w téj chwili? — rzekła, wzruszając ramionami.

— Sądziłem, żeś się z nim widziała.

— Ja?

Nieczyste sumienie znowu przeszyło obawą jej serce.

— Cóżby w tem było dziwnego — rzekł Jerzy spokojnie. — Maurycy wolał zawsze twoje towarzystwo, niż moje. Od pewnego nawet czasu uważam widocznie mnie unika. Ogromnie stracił na humorze. Zaczynam być niespokojnym o niego. Musi mieć jakieś głębokie zmartwienie. Czy ci nie mówił co o tem?

Pytania Jerzego na torturach rozpinały serce Ireny; Jerzy bezwiednie ranił ją najboleśniej. Rada była co prędzej skończyć tę męczącą rozmowę i odezwała się:

— Zdaje mi się, że będzie to jeden z kapryśnych objawów humoru jego... Wiesz, jak jest drażliwym, jak mało mu potrzeba, aby się zasępił.

— To prawda; ale tym razem powód jego smutku zdaje mi się być ważniejszym. Chodzi jak błędny, nieprzytomny. Wczoraj byłem w jego pokoju... nie zastałem go. Na biurku

leżał papier, na nim jakieś wiersze. Zbliżyłem się przez ciekawość i wiesz, co przeczytałem?

Irena wyczekująco wpatrzyła się czarnemi przepaścistemi oczyma w twarz męża.

— Tytuł wiersza był: Mój testament.

Irena zadrżała. Teraz poczęła być coraz niespokojniejsza o Maurycego; mąż zwrócił jéj uwagę na to, co jéj nigdy nie przyszło na myśl, że Maurycy w rozpaczy gotów posunąć się do ostateczności, że ten jego odjazd może jest tylko zamaskowaniem innego, dłuższego odjazdu tam, zkąd się nie powraca więcéj. Przypomniała sobie w téj obwili, z jaką pogardą mówił jéj nieraz Maurycy o życiu, jak narzekał na przesyt, na brak celu, i domysł Jerzego nabierał w jéj oczach coraz więcéj prawdopodobieństwa. Może w téj chwili, nie mogąc się doczekać jéj przybycia, myśli spełnić czyn straszny. Irena na tę myśl osłabła, nogi się pod nią zachwiały, musiała usiąść... Zegar w salonie wybił kwadrans.

Ireny oczy błądziły po pokoju, jak spłoszone jaskółki; nie wiedziała, co zrobić... Obecność Jerzego przykuwała ją na miejscu w chwili, gdy chciała-by co prędzéj wybiedz i ratować go.

Na szczęście, Jerzy, pogadawszy jeszcze chwilę, wyszedł. Zaledwie drzwi za odchodzącym się zamknęły, zerwała się, zarzuciła szał na ramiona i wyszła szybko do ogrodu.

Szła tak pośpiesznie i nieoględnie, że nie uważała wcale stojącego w cieniu sosny amerykańskiéj barona, który bystro wpatrywał się w nią, gdy go mijała i poszedł zwolna

za nią.

Zdyszana, niespokojna, przypadła do altany. Oddech jej był przyśpieszony, gorący, wszystkie pulsa biły gwałtownie. Z przestrachem spojrzała w ciemny pokój altany i stłumionym głosem zawołała:

— Maurycy!...

Zamiast odpowiedzi, dwa ramiona wychyliły się z ciemności i objęły ją namiętnym, silnym uściskiem. Irena nie miała siły wzbronić tego; na pół omdlała zawisła na jego ramionach, i cichy, i miękki odgłos przeciągłego pocałunku obił się o akustyczne ściany altany. Nie przypuszczała pewnie, biegnąc na ratunek Maurycego, że tak prędko sama zginie bez ratunku... Jedna chwila wystarczyła, by zapomniała o postanowieniach, powziętych wśród długich namysłów. Posąg lodowy topniał od gorąca pocałunków Maurycego...

Wszystkie przygotowane frazesy, któremi uzbroiła się przeciw jego wyznaniom, odbiegły ją i zostawiły słabą, bezsilną w jego ramionach, niemogącą zdobyć się na nic więcej, jak na jedno ciche słowo, które z westchnieniem wybiegło z jej piersi:

— Maurycy!...

W słowie tem pomieściła wszystko. Wypowiedziała niem wszystkie pragnienia serca.

On pocałunkami okrywał jej twarz i ręce i szeptał w rozkosznem rozmarzeniu;

— Najdroższa moja!...

Po chwili ona mówiła:

— Bóg widzi, iż chciałam walczyć, że broniłam się, jak

mogłam, przed tém uczuciem. Ale ono było silniejsze, niż wszelka moc moja... Co ty sobie teraz o mnie pomyślisz, Maurycy, że tak nizko upadłam?...

I nagle dodała z ogniem i siłą:

— Nie! ty jeden nie możesz mnie potępić; bo to było-by okropnie. Ty jeden powinieneś to zrozumieć, jak musiałam kochać, aby się tak zapomnieć, aby się przyznać do tego uczucia... Wszak mnie znałeś lepiéj, niż wszyscy?...

Maurycy odpowiadał namiętnemi pocałunkami na jéj pytania. Upojony, rozmarzony, trzymał ją w objęciach i rozkoszował się szczęściem swojém, że Galatea zstąpiła wreszcie z piedestału w jego ramiona, i dumne, milczące jéj usta wyszeptały słowo miłości.

Nagle Irena, jakby sobie coś przypomniała, wyrwała się z jego ramion i rzekła:

— Zostaw mnie Maurycy w spokoju. Dziś jeszcze nie należę do ciebie... dziś wiążą mnie inne obowiązki... Muszę je pierwéj stargać, aby należéć do ciebie... Nie umiała-bym ci się oddać w połowie; chcę całkiem być twoją... Trzeba nam będzie wyjechać ztąd... Ja-bym tu nie umiała żyć, udawać miłość, któréj nie mam dla niego... Kłamać nie umiem i nie chcę...

Maurycy słuchał jej w milczeniu. Na twarzy jego, osłoniętej ciemnością, trudno było dostrzedz, jakie wrażenie zrobiło na nim to niespodziewane jej odezwanie się.

— Czy *on* wie, kiedy masz odjechać? — spytała.

To „on“ dziwnie brzmiało w jej ustach.

— Nie... — odrzekł Maurycy.

— Wstrzymaj więc swój wyjazd na czas jakiś... Tymczasem ułożymy się, co dalej robić należy.

Jakiś szelest w ogrodzie spłoszył resztę słów z jej ust; urwała i nasłuchywała z trwogą.

— To wiatr szeleszcze wśród drzew... — uspokajał ją Maurycy.

— Już iść muszę... Boję się czegoś... Dopóki nie zrobimy stanowczego kroku, nikt domyślać się nie powinien. Byłoby to okropnem dla mnie... Do widzenia...

Pochyliła ku niemu twarz rozpaloną i znowu długi pocałunek skleił ich usta. Maurycy zatrzymał ją w uścisku... i nie chciał jej puścić od siebie. Muszkuły jego drżały, rozstrojone namiętnością, oddech jego palił ogniem jej szyję... Zrozumiała go... i wyrwawszy się z wysileniem z ramion jego, wybiegła nieprzytoma z altany i poszła śpiesznie ku pałacowi.

Maurycy czas jakiś stał; potrzebował ochłonąć, zebrać przytomność; wreszcie nie chciał wychodzić tuż za Ireną, by ktoś z domowników nei spostrzegł tego... Po niejakim dopiero czasie zdecydował się wyjść.

Gdy już był we drzwiach, jakaś postać ciemna zatrzymała go i rzekła surowym głosem!

— Za pozwoleniem...

— Kto tu?... — spytał Maurycy, zmieszany obecnością człowieka. Przyszło mu zaraz na myśl, że może podsłuchywał jego rozmowę z Ireną.

— Jestem Adolf Schmidt — odrzekł przybyły

Maurycy cofnął się, zdziwiony tem niespodziewanem zjawieniem się Schmidta. Adolf postąpił za nim do wnętrza

altany.

— Czego pan chcesz tutaj? — odezwał się Maurycy dumnie — W jakim zamiarze wkradasz się pan po nocy do obcego domu?

— W uczciwszym, to panu zaręczyć mogę, niż pan, który tu za dnia przyszedłeś.

Maurycy nie mógł już wątpić, że Adolf słyszał wszystko. Mimo to, nie chciał dać mu poznać obawy swojej i spytał znowu:

— Czego pan chcesz tutaj? Czyż nie dość panu było, że go baron raz już wypędził ze swych posiadłości. Przyszedłeś pan powtórnie probować tego?

— Co zaszło między mną a baronem, to do pana nie należy. Barona życiem mojem przekonam, że nieuczciwie postąpił, zarzucając mi podłość. Będzie to lepiej, niżbym go o tem przekonać chciał szpadą lub pistoletem. Mam czas na to. Dziś, chcę się z panem rozmówić. Przypadek odkrył mi tajemnicę brudną, której wołałbym był nie znać. Ale kiedy już poznałem, obowiązkiem moim jest z niej korzystać.

— I donieść mężowi — rzekł drwiąco Maurycy. — Taka rola przypada dobrze do pańskiego charakteru i urodzenia.

Adolf zapanował nad sobą i na obelgę odpowiedział z wymuszonym spokojem:

— Nie, panie; sądzę, że nie przyjdzie do tej ostateczności. Skoro Jerzy dowiedział-by się raz o wiarołomności żony, już nie było-by środka uratowania jego spokoju, naprawienia złego. A ja chcę zrobić jedno i drugie.

— I jakiż pan sposób obrałeś do tego? — spytał w tym

samym tonie, eo poprzednio, Maurycy.

— Chcę pana skłonić, abyś ztąd wyjechał — bezzwłocznie.

— Co?

Maurycy zmarszczył groźnie brwi i zmierzył od góry do dołu Adolfa. Ten nie zmieszał się i z pewnością i ze spokojem mówił dalej:

— Tak, odjedziesz pan natychmiast i zobowiążesz się słowem, że nigdy nie będziesz się starał widzieć z nią, ani uwiadomisz jej nigdy, co cię skłoniło do tak nagłego wyjazdu. Lepiej niech pomyśli, że oszukałeś ją nikczemnie i uciekłeś, niż żeby, wierząc w twą miłość, zhańbiła siebie i męża. Taka ucieczka będzie może niepoetyczna, niebohaterska, ale, wierz mi pan, uczciwsza.

Maurycy słuchał tego kazania, nie nie mówiąc ale wszystkie nerwy szarpały się w nim z oburzeniem, oczy ciskały płomienie gniewu.

— Jakiem prawem — rzekł z gwałtownością — mieszasz się pan w tę sprawę?

— Jakiem prawem? Prawem uczciwego człowieka. A jeżeli panu to nie wystarcza, to dodam, że, jako kolega i przyjaciel Jerzego, nie pozwolę na zhańbienie jego domu.

— A ja nie odjadę. Kto mnie zmusi do tego? — Sumienie — odrzekł Adolf. — Czyż ta myśl, że niszczysz spokój człowieka, który był ci przyjacielem, nie wystarcza panu do wstrzymania cię od tego kroku? Pomyśl pan trzeźwo, co robisz?

— Dla szczęścia innych nie mogę poświęcić własnego — rzekł z uporem Maurycy. — Miłość moja istnieje, a

skoro jest, ma prawo bytu. Wszak to zasada, którąś pan uznać powinien, bo wylęgła się z waszych teoryi.

— Miłość? To nie miłość, to tylko namiętność.

— Mniejsza o nazwę. Ja kocham tę kobietę i nie mam prawa poświęcać jej dla nikogo.

— Tu nie idzie o poświęcenie, ale o spełnienie obowiązku.

— Obowiązkiem moim jest odpłacać miłość miłością. Bez tego ani ona, ani ja nie będziemy szczęśliwi.

— Panie Maurycy! — spytał łagodniej już Adolf. — Czy wolno cię zapytać, czy to pierwsza miłość twoja?

Maurycy nie chciał odpowiedzieć na to pytanie; odpowiedź była-by go potępiła.

— Więc nie pierwsza; byłem tego pewnym. Znam trochę pańską przeszłość i wiem, że to nie jest pierwsza miłość. Jest ona. Bóg wić, którą z kolei. A jednak tamte przeszły i zapomniałeś pan o nich, bo wrażliwy umysł pański, o ile prędko się zapalał i entuzyazmował, o tyle prędko przesycał się i zmieniał. A kto panu zaręczy, że miłość tej kobiety nie stanie się panu za kilka miesięcy ciężarem, że się nie znudzisz tą miłością, zwłaszcza, gdy jej towarzyszyć będą wyrzuty i pogarda ludzi? Co pan zrobisz wtedy z tą kobietą, którą teraz chcesz, dla zaspokojenia pragnień duszy czy nerwów, wyrwać z otoczenia ludzi, którzy ją kochają, i pozbawić szacunku?

Maurycego niecierpliwić poczynały te uwagi; im więcej musiał w duszy przyznać słuszności Adolfowi, tem więcej drażnił go mentorskim tonem, jaki przybrał wobec niego.

— Nie jestem żakiem — rzekł ostro — abym słuchał

kazań i morałów pańskich. Jeżeli chcesz stanąć w obronie praw męża, oznacz pan czas i miejsce, a stawię się. Teraz nie mamy co więcej ze sobą mówić. Żegnam.

— Więc jedynie pojedynek ma rozstrzygać? — spytał Adolf.

— Tak. Jest to jedyny punkt wyjścia dla nas obu.

— Więc dobrze, niech pojedynek rozstrzyga — odezwał się, ale nie Adolf, tylko jakiś głos inny od drzwi wchodowych.

Adolf i Maurycy zwrócili się w tę stronę i zobaczyli kogoś, wchodzącego do altany.

— Kto tu? — spytał Maurycy.

— To ja, baron.

Maurycy zmieszał się i zadrżał.

— Przychodzę — mówił baron dalej — dać panu satysfakcyą. Pan Adolf jest obcym w tej sprawie, ale ranie, jako ojcu, należy się upomnieć o honor córki. Jeżeli nic innego nie zdoła pana usunąć. z tego domu, w takim razie służę panu. Jeżeli zabijesz ojca, będzie ci wolno bezkarnie hańbić córkę. A teraz żegnam. Panie Adolfie, proszę z sobą.

Wziął pod rękę Adolfa i wyszedł z nim na ogród.

Cała ta scena, choć w niéj zachował się z dumną powagą i spokojnie się trzymał, podziałała silnie na niego. Był cały wzburzony i drżący. Potrzebował jakiegoś czasu, aby się uspokoił. Wtedy przystanął, wziął za rękę Adolfa, który dotąd w milczeniu szedł obok niego i nie wiedział co mówić, i rzekł:

— Panie Adolfie! Dziękuję ci, żeś się ujął za honor mego domu. Znalazłeś się godnie i zacnie. Przekonałeś mnie pan,

że cyrkiel i cyfry nie wypędzają z duszy człowieka szlachetnych uczuć, że łoskot machin nie zagłusza głosu sumienia i fabrykant może miéć więcéj poezyi w duszy, niż ci, co się głoszą jéj kapłanami. Przebacz mi, że cię tak dotkliwie obraziłem; nie poznałem się na tobie. Teraz żałuję tego, mocno żałuję, i będę chciał naprawić krzywdę. Chciałem dziś jeszcze to zrobić; ale dziś jestem zbyt wzburzony, zirytowany tą sceną z tym... tym...

Nie chciał wypowiedzieć imienia Maurycego, takie obrzydzenie mu to sprawiało.

— Tak odpłacił się Jerzemu za przyjaźń, jaką mu ten okazywał. To nieuczciwie, nieszlachetnie!

— Panie baronie, bywają chwile słabości, zapomnienia. A on był słabszym może, niż inni.

— Ha, zobaczymy, co zrobi teraz. Od niego zależy, czy go nazwę lekkomyślnym, czy podłym.

Przypomnienie sceny w altanie zaprzątnęło znowu uwagę barona tak dalece, że, idąc długi czas obok Adolfa, nic nie mówił. Adolf uważał za stosowne wytłómaczyć mu teraz powód swego znalezienia się w ogrodzie i rzekł:

— Panie baronie, zapewne przez delikatność nie spytałeś mnie pan dotąd, jakim sposobem znalazłem się tutaj. Powinienem się wytłómaczyć. Panna Zofia...

Przerwał mu baron i rzekł:

— Nie tłómacz się pan. Znam pana już o tyle, iż na pewno przypuszczać mogę, że nie przyszedłeś w nieuczciwym zamiarze.

— Przyszedłem na wezwanie panny Zofii. Nie mogłem nie uszanować jéj woli. Miało to być ostatnie widzenie się

nasze, pożegnanie.

Westchnął, mówiąc te słowa.

— Ty ją kochasz? — spytał baron, wpatrując się w niego z uczuciem; i prędko dodał:

— No, no; nie martw się, chłopcze, wszystko będzie dobrze.

Mówiąc to, poklepał go po ramieniu i przycisnął do piersi.

— Jakto? — zawołał Adolf, podnosząc z radością oczy na barona. — Miałżebyś pan, panie baronie...

— Tylko sekret przed Zofią do czasu. Trzeba ją przysposobić do tego, bo gwałtowne wzruszenie zaszkodzić-by jéj mogło. Ona jest tak słabą teraz, tak pomizerniała biedaczka. Czy widziałeś ją?

— Nie.

— To dobrze, Wstrzymaj się dni kilka. Dajcie mi czas do ułożenia wszystkiego.

— Panie baronie, nie słowami, ale życiem całém podziękuję ci za to szczęście, jakiem mnie darzysz.

Głos jego drżał od radości i szczęścia.

— Dziś wracaj do siebie. Nie trzeba, aby wiedziano o twojej tu bytności dzisiejszej. Ja idę do Zofii uspokoić ją. Będę się starał przygotować ją do tego.

— A ja mojego starego wyleczę tymczasem z niektórych uprzedzeń.

— Jakto? Czy ojciec twój nie życzy sobie tego związku?

— Nie dziw mu się, baronie. Jeżeli wy macie przesądy i uprzedzenia, i my mamy swoje. Ojciec mój nie wierzy, by kobieta, urodzona w pałacu, mogła być dobrą żoną dla

fabrykanta.

— Więc ten tylko powód? Jeżeli tak, to ja biorę na siebie przekonać twego starego, że się myli. Jutro będę u was.

— Baronie, jakże jesteś dobry i szlachetny! — rzekł z uniesieniem Adolf, ściskając jego rękę.

— Czy chciałbyś, aby baron dał się wam zawstydzić i był gorszym od was? — odrzekł z godnością. — Na tém polu nie dam się wam zwyciężyć. No, do widzenia, mój chłopcze.

Skinął mu ręką i wrócił do pałacu, a Adolf zniknął w ciemnościach na drodze, prowadzącéj ku stawom. Tak mu było lekko, że zdawało mu się, jakby w téj chwili skrzydła mu urosły u ramion i unosiły go wysoko ponad ziemię. Był zachwycony i wniebowzięty szczęściem swojém.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Michał Bałucki.*

XXVII.

— Czy wiecie? Maurycego niéma! — rzekł pomieszany Jerzy, wchodząc na balkon, gdzie baron z Ireną siedzieli przy śniadaniu.

Irena upuściła filiżankę z bezwładnéj dłoni i zbladła. Baron spojrzał na nią długiém, wytrzymaném spojrzeniem, potém rzekł do Jerzego:

— Pewnie wyszedł gdzie na spacer. — Mówił tak dla uspokojenia Jerzego, ale w duszy szczerze pragnął, aby domysł o wyjeździe Maurycego się sprawdził. Ułatwiało to rozwiązanie całéj sprawcy, bez użycia gwałtownych środków.

— Ależ nie nocował w domu. Jak wczoraj przed wieczorem wyszedł na spacer, nie wrócił więcej i nikt go nie widział.

— Nikt go nie widział potem? — powtórzył umyślnie pytanie baron. — To dziwna rzecz.

— Jestem niespokojny, czy mu się co nie stało — mówił zafrasowany Jerzy. — Porozsyłałem ludzi na wszystkie strony, czy go gdzie nie widziano.

— Powinna-byś być zazdrosną, Ireno — rzekł baron do córki.

— Ja... o co? — spytała, jakby ze snu nagle obudzona.

— Jerzy tak martwi się zgubą Maurycego, że nie wiem, czyby mógł być więcej niespokojny, gdybyś i ty mu zginęła.

Uśmiechnęła się przymuszonym, jałowym uśmiechem,

zakrywając tem pomieszanie, jakie ten żart wywołał na jej twarzy.

— Usiądź do herbaty — rzekł baron do Jerzego — nie masz się czego kłopotać. I cóżby Maurycemu stać się takiego mogło? Przecież on nie dziecko. Może się gdzie zaawanturował za jaką piękną twarzyczką, i cała historya.

— Ależ, ojcze — odparł Jerzy, zgorszony tem posądzeniem. — Maurycy był pod tym względem bardzo przykładny.

— Cicha woda brzegi rwie. Tacy ludzie są najniebezpieczniejsi dla kobiet. W procesach, gdzie wiarołomstwo grało rolę, widywałem stojących przed sądem takich kochanków, których-by nikt był o to nie posądził.

Irena zachmurzyła się; sposób, w jaki baron traktował zniknięcie Maurycego i wyrażał się o nim, drażnił ją i oburzał. Jerzemu także nie w smak była jowialność barona, i milcząc, usiadł do herbaty.

Wtem koło bramy pałacowej ukazał się jeden z ludzi, którego Jerzy wysłał dla szukania Maurycego. Obok niego szedł jakiś mały pastuch. Jerzy, zobaczywszy ich, zerwał się i zeszedł po schodkach na dół.

— No, cóż?

— Ten chłopiec ma jakieś pisanie do Jasnego Pana — rzekł służący, wskazując na pastuszka.

Jerzy prędko rozwinął kartkę, napisaną ołówkiem.

— Kto ci oddal tę kartkę? — spytał potem chłopca.

— No, ten pan, co to pisał.

— Gdzie?

— Ano, na pastwisku, gdziem pasł. Ten pan mnie zawołał i powiedział: zanieś to do pałacu, dał srebrnego na piwo; potem siadł znowu w bryczkę i pojechał.

Jerzy odprawił ludzi i wszedł na balkon.

— Czy od Maurycego? — spytał baron.

— Tak.

Irena niespokojnie ruszyła się na krześle.

— Zawsze dziwak był z tego Maurycego. Nie rozumiem tego człowieka — mówił Jerzy, wpatrując się w kartkę.

— Cóż takiego?

— Przeczytaj sam.

Baron wziął kartkę z rąk Jerzego i przeczytał:

„Zdziwi cię może, Jerzy, mój dziwaczny wyjazd. Ale wiesz, że nie trzymam się ściśle form. W ten czy w inny sposób zawsze byłbym musiał wyjechać. Im wcześniej, tem lepiej, i dla mnie, i dla was. Pamiętaj o mnie w chwilach wolnych od pamiętania o czem innem.

Maurycy“.

— No i cóż ty na to? — spytał Jerzy.

— Dość oryginalnie. Widocznie pan Maurycy nie lubi smutnych scen pożegnalna i oszczędził sobie i wam wiele przykrości. Podoba mi się za tę excentryczność.

— A ty, Ireno, co mówisz na to? — spytał żony, nie mogąc uspokoić się i wytłómaczyć sobie tego postępku Maurycego.

— Musiał się tu niebardzo bawić, skoro tak się pośpieszył z odjazdem — rzekła obojętnie.

A jednak ona najwięcej cierpiała. Odjazd Maurycego był dla niej strasznem ubliżeniem,bo wyglądało to tak, jakby chciał tylko doświadczyć jej, czy mogła-by się zapomnieć, a skoro miał tę pewność, odjechał, gardząc łatwem zwycięztwem. Dla kobiety, tak dumnej, jak Irena, tak ufnej w swoję wyższość umysłową i charakter, myśl ta była okropną torturą; czuła się poniżoną, upokorzoną niesłychanie. Wyrzucała sobie wczorajsze zapomnienie się i oddała-by była w tej chwili pół życia, żeby jej wolno było cofnąć tę chwilę i wymazać z czystych kart swego życia. Była to plama, która w niej wstyd budziła. Duma jej więcej cierpiała, niż miłość. Oburzenie przeszło po jej miłosnych uczuciach, jak pożar przez stepy, i zostawiło żgliszcze i pustkę za sobą. Rumieniła się teraz za chwilę słabości. Cóż dopiero, gdyby była wiedziała, że jest ktoś, kto zna tę ciemną chwilę z jej życia i widział ją w chwili zapomnienia się. Ale baron żadnym giestem, ani słowem nie zdradził się, że wić o wszystkiem; wystarczało mu, gdy widział, jak silnie lekarstwo skutkowało. Teraz mógł być spokojnym, że drugi raz podobna chwila nie powtórzy się w życiu.

O Maurycym już więcej mowy nie było.

Po obiedzie baron, stosownie do obietnicy, wyjechał do Schmidtów, nie mówiąc jednak nikomu w pałacu, dokąd jedzie. Przybywszy tam, po przywitaniu się z Adolfem, poszedł prosto do mieszkania starego Schmidta. Bawił tam przeszło pół godziny. Treść ich rozmowy tyczyła się owéj spowiedzi Jakóba. Potém wyszli obaj przed dom, gdzie Adolf czekał na nich. Stary Schmidt miał twarz rozjaśnioną i rozrzewnioną nieco. Idąc obok barona, był nieco

żenowany serdecznością i przyjaźnią człowieka, któremu przyzwyczaił się dawniéj kłaniać uniżenie. Jednak nie dał tego poznać po sobie i nastrajał się do tego samego poufałego tonu.

— No, panie Schmidt, więc już nic nic jesteśmy sobie winni — rzekł baron, klepiąc go po ramieniu.

— Nie, panie baronie. Zkwitowaliśmy się zupełnie.

— A w procencie przyjmijcie moję przyjaźń i życzliwość.

— Panie baronie, to nie procent, to już lichwa — rzekł żartobliwie Schmidt. — Mój chłopak przecież miał słuszność, broniąc tak zawsze pana barona.

— Więc bronił mnie? — spytał baron, patrząc z wdzięcznością na Adolfa. — Dziękuję ci, panie Adolfie. Panie Schmidt, możesz być dumnym z takiego syna.

Schmidtowi staremu ta pochwała oblała zwiędłą twarz rumieńcem zadowolenia i radości.

Potém wspólnie we trzech udali się na oglądanie fabryk. Baron z podziwem i ciekawością oglądał wszystko. Życie fabryczne, pełne ruchu, gwaru i rozmaitości, nietylko go nie raziło ale bawiło i ożywiało.

Wprawdzie nieobytego z podobnym widokiem, z początku trwogą nabawiał ten nieustanny łoskot machin, piece, buchające ogniem, około których kręciły się czarne, zasmolone postacie robotników, krztusił się dymną atmosferą kuźnie, ale powoli oswajał się z tém wszystkiém i coraz wiecéj zajmowało wszystko jego uwagę i fantazyą.

— Czy wiecie — rzekł, gdy stanęli w kuźnicach że piérwszy raz jestem w tego rodzaju fabrykach. Unikałem

zawsze tego widoku; raził on mój gust; zdawało mi się, że wszystko, co piękne, wspaniałe i szlachetne, uciekać musi od dymu fabryki. Tymczasem widzę, że tu nietylko przemysł, ale i sztuka, i fantazya zasilić się mogą. Życie to wasze nie jest bez uroku, bez poezyi. Łoskot machin i uderzenia młotów, to rytm téj poezyi. Owe machiny, co, jak apokaliptyczne potwory, ujarzmione ręką człowieka, pracują dzień i noc niezmordowanie, mają pewien urok; człowiek, tu może być dumnym i wielkim. Pojmuję, ze można rozmiłować się w tém życiu i z pasyą temu się oddać.

— Jak widzę — rzekł stary Schmidt wesoło — pan baron gotów jeszcze zostać sam fabrykantem.

— Do tego już jestem za stary. Wychowałem się w innych warunkach, mam inne potrzeby i pragnienia. Mogę umieć uczuć wartość i piękne strony tego życia, ale-bym tak żyć nie mógł. Nasze ideały były inne! Szturmowaliśmy niebo, jak tytany, chcieliśmy ztamtąd dostać dla ludzkości ognia świętego, i upadliśmy. Wy idziecie inną drogą: wy tego ognia, co ma oświecić ludzkość, szukacie w ziemi i na ziemi; może będziecie szczęśliwsi. Kto wié? Przyszłość to rozwiąże. To pewna, że obecność jest waszą, że my ustąpić wam miejsca musimy. Zwyciężyliście nas.

Słowa te mówił baron z powagą i uroczystością, w niezwykłym, podniesionym nastroju duszy. Stary i młody Schmidt w milczeniu przyjęli jego słowa i wszyscy głęboko się zamyślili nad niemi.

Dopiéro uderzenie dzwonu, zapowiadającego ukończenie pracy w fabrykach, obudziło ich z tej zadumy: Baron

spojrzał na zegarek:

— Któraż to godzina?

— Szósta.

— I wy już kończycie robotę?

— Tak. Skróciliśmy godziny pracy, aby robotnik miał wiecéj wytchnienia i czasu dla siebie aby nietylko w niedzielę mógł ucieszyć się widokiem dnia i odetchnąć świeżém powietrzém. Wieczorem idą wszyscy do pastora, do czytelni. Widzisz pan, panie baronie, że się tu i o duszy pamięta.

— Widzę, widzę; widzę tu wiele rzeczy, o których nigdy nie myślałem — rzekł baron z zastanowieniem. — Rad jestem, że będę mógł przypatrzyć się wam z blizka. I ja coś skorzystam na tem.

— A my od barona — rzekł Adolf. — Będzie to zamiana.

— Zgoda. No, ale czas nam jechać.

— Jakto? — spytał stary Schmidt — gdzie mamy jechać.

— Zabieram was ze sobą. Ułożyłem bowiem pewien plan na dziś, który wspólnie wykonać mamy. Zobaczycie...

Schmidt kazał zaprzęgać i niezadługo wszyscy trzej ruszyli w drogę do Zalesia...

Kiedy przejeżdżali przez park, baron, zwracając się do Adolfa, rzekł:

— No! teraz będziesz mógł dowolnie gospodarzyć tutaj. Majętność moja cała będzie teraz twoją własnością, a raczej Zofii; ale to podobno na jedno wyjdzie. Co?

Mówiąc to, popatrzył z uśmiechem pełnym przywiązania i życzliwości na zarumienionego Adolfa i ciągnął dalej: ‘

— Leniwe muzy będą musiały ustąpić przed pracowitym przemysłem. Dla siebie zastrzegam tylko Zofijówkę. Zostawicie ten kąt staremu, żeby miał gdzie pokłonić się starym bożyszczom swoim. Dobrze?

— Bądź pewnym panie baronie, że muzy twoje będą z nas zadowolone — rzekł Adolf wesoło — i nie uciekną przed naszym przemysłem. Może nam się uda pożenić je z tym dorobkiewiczem.

— Wyborna myśl — rzekł baron. — Co mówisz na to, panie Schmidt?

Stary Schmidt tylko uśmiechnął się zadowolony, pokiwał głową potakująco i z radosną dumą patrzał na swego jedynaka.

Tak rozmawiając pół seryo, pół żartem, zajechali przed pałac, kiedy już dobrze ciemno było na dworze. Baron wprowadził gości wprost do swego pokoju, i tu ich zatrzymał aż do herbaty. Służącemu zaś kazał nakryć na sześć osób i dać mu znać, skoro podadzą herbatę. Widocznie baron z gości swoich chciał zrobić niespodziankę wszystkim i cieszył się już naprzód zdziwieniem jakie wywoła.

Niezadługo służący poprosił do herbaty.

— Czy jest już kto w sali jadalnéj? — spytał baron.

— Pan Jerzy tylko. Pani kazała sobie herbatę podać do swego pokoju, a panienka nie wyjdzie całkiem, bo słaba.

Baron mrugnął na Adolfa znacząco i szepnął z uśmiechem:

— Już my ją uleczymy.

Adolf w milczeniu uścisnął mu rękę za te słowa. Potem

przeszli do sali jadalnej.

Zdziwienie Jerzego, gdy zobaczył Schmidtów wchodzących, było tak wielkie, że zapomniał nawet przywitać się z Adolfem. Baron bawił się krótko tem osłupieniem Jerzego, a po chwili rzeki;

— Cóż to, Jerzy, nie witasz pana Adolfa? Czy go nie poznajesz?

Jerzy, odurzony tym widokiem, machinalnie podał rękę Adolfowi i patrzał na barona, jakby czekał od niego wytłómaczenia, co to wszystko znaczy.

— Przedstawiłeś mi kiedyś pana Adolfa — rzekł baron — jako twego kolegę, a ja ci go przedstawiam jako swego przyjaciela — naszego przyjaciela. To przedstawienie powinno ci wystarczyć, abyś go tak, jak ja, pokochał, bo wart tego. A to ojciec jego. Mój zięć, Jerzy; — dodał, przedstawiając Jerzego staremu Schmidtowi.

To powiedziawszy, zatarł ręce ucieszony i poszedł po Zosię.

Ta siedziała w swoim pokoju, smutna, znękana. Wczorajsze dziwne zniknięcie Adolfa z ogrodu, gdzie go napróżno potem Salusia szukała, martwiło ją i niepokoiło. Nie pojmowała, co mogło go skłonić do odejścia, gdy ona z takiem upragnieniem go oczekiwała; bała się, czy nic odjechał już, nie pożegnawszy się z nią. Było-by to dla niej okropnem. Chęć zobaczenia go — to była jedyna nadzieja, jaką żywiła w opustoszałej i odartej ze wszystkich innych nadziei, duszy, i ta nadzieja miała ją zawieść! Nie mogła zgodzić się i oswoić z tą myślą; spodziewała się przez dzień cały, że ją w jaki sposób uwiadomi o sobie, wytłómaczy

swoje odejście; a nie mogąc doczekać się tego, wysłała sama Salusię do fabryk i teraz właśnie z bijącem sercem oczekiwała jej powrotu.

Gdy drzwi skrzypnęły, wstała żywo i spytała:

— Czy to ty, Salusiu?

— Nie, to ja — odrzekł baron.

— A, to ty? — powiedziała obojętnie.

— Cóż to, nie chcesz z nami dziś pić herbaty?

— Nie, czuję się słabą.

— Ależ, moja kochana — odezwał sic baron z udanym gniewem — dokądże będziesz ciągle słabą i smutną? To już w końcu zniecierpliwić może. Zrobiłaś mi z domu szpital i cmentarz, że mi zbrzydło życie w tym dworze. Z nikim ja teraz pogadać, ani pośmiać się nie mogę! to desperacya doprawdy. Myślicie wszyscy tylko o sobie, a o mnie starego nikt już nie dba. To się nie godzi.

Zofia wpatrzyła w niego martwe swe oczy z osłupieniem. Nigdy jeszcze baron w ten sposób nie przemawiał. Nie pojmowała, co mu się stało. Rozkazujący i szorstki ton jego mowy, dotknął ją boleśnie.

— Jestem ci ciężarem, wuju? — spytała, tłumiąc łzy.

— Tego nie mówię. Ale stroisz mi, moja droga, miny, jakbym ci Bóg wié co zrobił. Chowasz się w swoim pokoju, stronisz od ludzi, że doprawdy, kto przyjedzie tutaj, myśli, że ja cię wiążę, że jestem katem dla ciebie.

— Cóż więc mam robić? — spytała z rezygnacyą i poddaniem się.

Barona te słowa tak rozmiękczyły, że omal nic wyszedł z roli. Z trudnością tylko utrzymał się w przybranym tonie.

— Co robić? co robić? Nie wymagam nadzwyczajnych rzeczy; ale chciał-bym tylko, żebyś się rozerwała trochę, żebyś nie stroniła od ludzi, żebyś była więcéj z nami. Dziś naprzykład mamy parę osób na herbacie. Cóż-by ci szkodziło wyjść, posiedzieć trochę, porozmawiać, rozweselić się?

— Chodźmy więc — rzekła sucho, cierpko, stłumionym głosem i wstała. Nogi chwiały się pod nią, że baron musiał podać jéj rękę, by nie upadła, i poprowadził do sali jadalnéj.

Gdy weszła i zobaczyła przy stole Adolfa z ojcem, którzy wstali na jéj powitanie, stanęła jak skamieniała; patrzała na nich, na barona, wzrokiem błędnym, niespokojnym i naraz oczy jej martwe ożywiły się, twarz rozpromieniła się rumieńcem; z miny barona odgadła wszystko; krzyknęła z radości i upadła w objęcia barona. Po tem wysileniu nastąpiło lekkie omdlenie; Adolf i Jerzy, przestraszeni, pobiegli na pomoc; ale otworzyła wnet powieki i, uśmiechając się do nich i patrząc oczyma rozmarzonemi, na pół przysłoniętemi rzęsami, mówiła cichym głosem:

— Nie bójcie się o mnie; teraz nie umrę; teraz pragnę życia.

I rzeczywiście, od owej chwili zdrowie jej z każdym dniem się polepszało. Przy słońcu, które zaświeciło teraz jej życiu, odradzała się, jak kwiat po burzy, nabierała siły i kolorów.

W miesiąc potem Salusia drżącą od radości ręką przypinała jej ślubny wianeczek do jasnych włosów.

Tak zakończyła się walka o kawał ziemi.

Kraków 1872 r.

Koniec.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Michał Bałucki](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: O kawał ziemi

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Anwar2
- Ankry
- Seboloidus
- Anagram16
- Piotr433
- Wieralee
- NiktWażny
- Joanna Le
- Rocket000
- ChrisiPK
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR
- Rei-artur
- Zanimum

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/
3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium